







ROZRYWKI
DLA MŁODOCIANEGO WIEKU.

ROZRYWKI

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU

DZIEŁO ZBIOROWE W 4-eh TOMACH

OBEJMUJĄCE

POWIEŚCI, POEZYJE, PODRÓŻE

LITERATURĘ I ROZMAITOŚCI

przez

Sew. z Żochowskich Pruszkową
(Duchińską).

Wydane staraniem Redakcyi Bluszczu.

~~~~~  
TOM III.  
~~~~~

WARSZAWA.

NAKLADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1884.



115996

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 21 Мая 1884 года.

Jan Kochanowski.

Trzechsetletnia rocznica zgonu Jana Kochanowskiego, obchodzona w tym roku, upoważnia nas, abyśmy uwagę naszych młodych czytelników zatrzymali przez chwilę nad wspomnieniem o życiu i pismach wielkiego poety.

Najpierwszym i najbardziej wpływowym ze wszystkich poetów XVI-go wieku, był niezaprzeczenie Jan Kochanowski. Imię jego uczczone godnie od współczesnych, jest podziśdzień prawdziwą chwałą narodu, który go wypiastował. Wszyscy niemal pisarze późniejszych wieków, brali go za wzór i usiłowali zbadać tajemnicę tego potężnego uroku, który odbija w każdym jego słowie. I jakież to potężny węzeł tak ściśle spoił ducha śpiewaka z duchem współczesnych i potomnych? Oto ten, że poeta miał bogobojne, szczeropolskie serce, w którym, jakby w ognisku zespolił uczucia przepelniające pierś narodu, że słowo jego było jakby zwierciadłem odbijającym myśl powszechną. Swobodnym był naród pod mądrymi rządami

ostatnich Jagiellonów, pod silnem berłem Batorego, to też i pieśń Jana płynęła swobodnie, jakby czysta krynica, która powtarza błękit nieba, niezamglony chmurą. Naród kochał prostotę, lubił ciche prace rolnicze; tak i Kochanowski, nie nęcony pragnieniem dostatków i dostojęństw, porzuca świetny blask dworu, przenosi się pod wiejską strzechę, słucha szumu Czarnoleskiej lipy, chodzi za pługiem poganiając woły, odnosi z pola do domu małe koźleta które matka odbiegła, siaduje w piekarni z wierną i pocziwą czeladką i rad przestaje na małym; bo przy szczupłych dostatkach i *myśl ma bezpieczniejszą i serce wolniejsze*. Naród szczęśliwie usposobiony, nie zna burzliwych i chorobliwych uniesień, ale za to czuje głęboko uczuciem rzewnem, krzepkiem a prawdziwem; wszelkie piękno i dobro miłuje, kocha Boga, kocha kraj, szanuje rodzinne związki, czei niewiastę; tak i Kochanowski, choć długo obcem oddychał powietrzem, nie przesiąkł niem, ale na wskroś przejęty miłością Boga i kraju, na wzniosły ton nastraja zawsze lutnię swoją i nie rad pali kadzidła światowym bożyszczom. Tak więc śpiewak nasz, zespolony sercem i myślą z narodem, kość z jego kości, musiał zjednać sobie powszechne ocenienie, musiał wywierać potężny wpływ na współczesnych i przejść do potomności, niezgasłą uwieńczony sławą.

Jan Kochanowski urodził się we wsi Sycynie, w ziemi Sandomierskiej, 1530 roku, z Piotra Kochanowskiego i Anny Białaczewskiej. Osierocy po ojcu w pierwszej młodości, wraz z pięciu braćmi, wychowany był staraniem matki, niewiasty znanej z cnót staropolskich i bogobojnego żywota. Ona to cichym wpływem swoim, zaszczerpiła w sercu syna głęboką pobożność, miłość kraju, i tę prawdziwą zacność, to szczere zamiłowanie w pro-

stych obyczajach przodków, które odbijają nietylko w każdym słowie poety, ale w całym pasmie jego życia, a których nie zatarł wpływ świata, ani długi pobyt między obcymi.

W roku 1544 spotykamy Kochanowskiego na uniwersytecie krakowskim, a około roku 1550, młody Jan, obyczajem ówczesnym, udał się za granicę. Najprzód zabawił czas jakiś w Niemczech, następnie udał się do Włoch, które wtedy były głównem ogniskiem światła w Europie. Odwiedził Wenecję i Rzym, nakoniec zaś obrał stałe siedlisko w Padwie, gdzie od roku 1552 pobierał nauki w słynnej akademji. Tam zawarł niezmienną przyjaźń z bawiącymi podówczas polakami: Nideckim, Łukaszem Górnickim i innymi. Przez ciąg kilkoletniego pobytu we Włoszech, obeznawszy się z literaturą Greków i Rzymian, udał się do Paryża. Były to czasy klasycznego odrodzenia; nowy zwrót literatury objawił się tak we Francyi, jak we Włoszech. Rzucono się powszechnie do naśladowania rzymskich klasyków; na czele francuzkiej szkoły stanął wtedy Ronsard, wysoko ceniony od współczesnych. Nasz poeta poznał go i przyjazne zawiązał z nim stosunki.

Przez czas pobytu za granicą, Kochanowski dał się poznać światu jako biegły poeta łaciński. W Paryżu popróbował sił swoich w ojczystej pieśni, między innymi wyśpiewał jedną cudnie piękną i posłał ją do kraju. Był to ów hymn znany powszechnie, zaczynający się od tych słów:

Czego chcesz po nas, Panie! za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary;
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi i w niebie.

Czytano tę pieśń na zjeździe sandomierskim w licz-
nem gronie, wszyscy słuchali z uniesieniem; stary Rej po-
wstał i powtórzył zaimprovizowany wiersz, w którym Ja-
nowi przyznał pierwszeństwo nad sobą, jako poecie, i po-
stanowił nigdy odtąd wierszy nie pisać.

Wkrótce potem poprzedzony rozgłosem sławy, po-
wrócił Jan Kochanowski do kraju w 1557 roku, po sie-
dmioletnim pobycie między obcymi. Skłoniła go do tego
wiadomość o śmierci matki i potrzeba rozdzielenia się
z braćmi pozostałą po rodzicach chudobą.

Sława poetycka utorowała mu wstęp do dworu i
zjednała względy biskupa Padniewskiego, który umieścił
go w liczbie królewskich sekretarzy, torując mu drogę do
wyższych na przyszłość zaszczytów. Ale życie dworskie
nie odpowiadało usposobieniu poety; gdyby nie przyjaźń
i opieka Myszkowskiego, który po Padniewskim na bi-
skupstwo nastąpił, Kochanowski stęskniony za swobodą
i niezależnością, byłby niewątpliwie wcześniej uciekł od
dworskiej wrzawy.

Myszkowski prawdziwie przychylny poecie, aby go
dłużej zatrzymać, ustąpił mu znacznych dochodów z pro-
bostwa poznańskiego. Mógłby był Kochanowski dostać
wielkich dostojęństw duchownych, ale nie czuł się
powołanym do kapłańskiego stanu; pragnął przedewszyst-
kiem swobody wiejskiej i cichego szczęścia wśród rodziny.

Skoro więc Myszkowski usunął się od dworu, około
1567 roku i Kochanowski opuścił także Kraków po kilko-
letnim pobycie, a zamieszkał w spokojnym Czarnolesie,
który mu przypadł w działach. Wówczas poślubił Dorotę
Podlodowską i odtąd zaczyna się dla niego nieprzerwane
pasma pomysłności. Dobra żona umiała zagoić rany ser-
ca dotkniętego nieraz smutnym zawodem, umiała pogodzić

go z życiem i ludźmi, tkliwą miłością odganiała troski z jego czoła, a zamiłowana w ciszy i prostocie, dała mu poznać całą słodycz domowego pożycia, całą wartość owych skarbów, jakie człowiek gromadzi w duszy przy domowym ognisku. Pod jej to wpływem poeta zadowolony ze swego stanu, nie przyjął kasztelanji połonieckiej, którą wyjednał mu kanclerz Jan Zamojski, tłumacząc się, że nie wpuści w progi swoje dumnego kasztelana, aby nie roztrwonił tego, co zapracował Kochanowski. Przyjął jedynie godność wojskiego Sandomierskiej ziemi, ta bowiem nie oddalała go od domowej strzechy, którą nad wszystko umiłował.

Życie spokojne, wśród licznej rodziny, nie stępiło w Kochanowskim ducha poetycznego; zabiegi o chleb powszedni nie przykuły go zbyt wyłącznie do ziemi; przeciwnie, coraz to swobodniej wybiegał myślą w górę, coraz to dzielniej władał językiem rodowitym, czyniąc go narzędziem posłusznem swojej woli. Świadczy o tem wykonany podówczas przekład psalmów Dawidowych w którym Kochanowski doprowadził język do zadziwiającej mocy i ogłady.

Pracując na chwałę Bożą nie przepominał poeta obywatelskich uczuć, rozpoczął poemat bohaterski o Władysławie Warneńczyku, odzywał się niemniej do narodu przy każdej zdarzonej okoliczności, a nawet mimo zamiłowania w życiu domowym, ukazywał się na sejmach, to w Stężycy, to w Warszawie, po ucieczce Henryka Walezysza. Obiór Batorego napełnił go pociechą, przeczuwał ztąd bowiem chwałę i szczęście dla narodu. W owym to czasie stanął Kochanowski na najwyższym szczyblu pomysłności. Obraz chwały narodowej napełniał pociechą i chlubą obywatelskie jego serce, zacna małżonka zapra-

wiała dni jego słodyczą, zasłużeni w kraju przyjaciele ze czcią nawiedzali jego progi, liczne dziatki rozwijały się jak kwiaty pod ojcowskim jego okiem, a jedna z szesciu córek, Urszulka, obdarzona od kolebki cudownym darem poetycznym, najpiękniejsze na przyszłość wróżyła mu nadzieje.

Ale podobało się Bogu doświadczyć serca poety; dotknął je najboleśniej ciosem, odbierając mu drogą Urszulkę. Złamany cierpieniem ojciec, wyplakał żal swój nie tylko łzami, ale i najcudniejszą pieśnią, jaką kiedykolwiek boleść wycisnęła z męskiego serca. Treny po śmierci Urszuli, należą do najpiękniejszych utworów Kochanowskiego i stanowią podziśdzień prawdziwy skarb polskiej literatury.

Zgon ukochanego dziecięcia położył kres szczęściu poety, za Urszulką poszła siostra jej Hanna, a wkrótce potem w 1583 roku, Podlodowski, brat żony i serdeczny jego przyjaciel, wysłany z poselstwem na Turecczyznę, zabity został przez Turków. Nieszczęście to skłoniło Kochanowskiego do oddalenia się z domu i stawienia przed królem Stefanem na trybunale w Lublinie, w sprawie o zabójstwo dokonane na bracie. Żal i oburzenie spowodowały napad apopleksyi, skutkiem której umarł Jan Kochanowski w Lublinie, w Sierpniu 1584 roku. Zwłoki jego przewieziono do grobu rodzinnego w Zwoleniu.

Poznawszy cokolwiek życie wielkiego poety, przypatrzmy się teraz wiekopomnym jego dziełom, w których, jak w zwierciadle, odbija piękna i podniosła jego dusza.

Na czele utworów poetycznych Kochanowskiego, postawimy Psalterz Dawida, który, lubo jest przekładem, niemniej jest dziełem wysokiego natchnienia. Kochanowski nie tak tłumaczył psalmy, jak raczej odtwarzał je

w duchu, a ogrzane uczuciem, wylewał ojczyzną mową. To też Psalterz jego jest najpiękniejszym pomnikiem poezji religijnej w Polsce. O ile go ceniono, widzimy dowód w tem, że w ciągu niespełna wieku doczekał się dwudziestu wydań. Oprócz Psalmów, wyśpiewał także poeta kilka hymnów oryginalnych, pełnych niezrównanej prostoty i prawdziwie wyższego namaszczenia.

W światowych poezjach, Kochanowski próbuje wszelkich rodzajów starożytnej literatury, zaczawszy od epepei, kończąc na epigrammacie. Widzimy tam dramat, satyrę, odę, elegję. Przyswoił on sobie wszelkie piękności celniejszych pisarzy Grecyi i Rzymu, a pomimo formy pożyczanej od starożytnych, tyle umiał wlać w te utwory szczeropolskiego ducha, że wymownie przemówił niemi do serca współrodaków.

W każdej pieśni Kochanowskiego, jakby w czystej krynicy, odbija myśl pogodna; wszystkie malują nam dokładnie jego duszę prostą, bogobojną i prawą. W rzeczach wiary, mimo powszechnego popędu, nie chwycił się nowości zagranicznych, nie wdawał w żadne uczone rozprawy, ale wierzył po prostu, jak wierzyli ojcowie. Oto wyznanie jego:

Nie uczyłem się w Lipsku, ani w Pradze wiary,
I nie wiem jako każą w Genewie u Fary.

Bracie, nie chcę się z tobą wdawać w rzecz o wierze,
Bo ja sam zasię wyznam, żem prostak w tej mierze,
Dobrym chrześcijaninem nie tego ja zowę,
Co umie dysputować i ma gładką mowę;
Ale kto żyje według woli Pana swego,
Tego ja bardziej chwaleń niżli wymownego.

Miłość cnoty i prawdy, głęboko wrosła w jego serce; żywot też cały poety nie przyćmiony żadną plamą, harmonijnie odpowiada tym słowom:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda:
Nad wszystkim innem panuje przygoda.

Cnota tak jest bogatą, nie może wziąć szkody,
Ani się też oglądać na ludzkie przygody;
Sama ona nagrodą i płacą jest sobie,
I krom nabytych przypraw, świetna w swej ozdobie.

Nic też dziwnego, że w zacnej duszy panował głę-
boki i niezmacony pokój, który sprawiał, że świat Boży
w wdzięcznych barwach przedstawiał się przed oczyma
poety; żywo maluje on wiosnę:

Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły;
Lody zeszły, a po czystej wodzie,
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;
Ptacy sobie gniazda obmyślają,
A przededniem śpiewać poczynają.

Dobra myśli, której nie przywabi,
Choć kto ściany drogo ujedwabi,
Nie gardź moim chłodnikiem chróścianym.

Czuł on potęgę wieszczego ducha, który przepęłniał
piers jego, to też uniesiony nadziemskim zachwytem, wo-
ła w zapale pod wpływem natchnienia:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióro?
Kto tak wysoko postawił, że z góry
Cały świat widzę!

Już mi skóra chropawa rośnie na goleni,
Już mi ptaka białego wierzch głowy się mieni,
Na palcach wszędy nowe pióra się puszczejają,
A z ramion sążeniste pióra wyrastają.

Wie on, że świat nie zdoła go pojąć jeszcze, bo nie
dorósł do jego wysokości:

Sobie śpiewam a muzom, bo ktoś jest na ziemi,
Ktoby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?

Ale dodaje mu otuchy myśl, że przyszłość złoży mu
wieniec na grobie:

Jednak mam tę nadzieję, że przed się za laty,
Nie będą moje nocy czułe bez zapłaty,

A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że popiół kości moich nie będzie wzgardzony!

Wierny miłośnik dawnej prostoty, radby poe-
ta przelać to zamiłowanie w serca współziomków, którym
zaczynała już smakować zagraniczna miękkość. Upomina

rodziców, aby wychowywali dziatki w dawnej prostocie jeżeli chcą się doczekać z nich pociechy:

A niech nie będą nazbyt pieszczonemi,
Niech się nauczą spać na gołej ziemi.

Ostro powstaje na szerzące się już zbytki. a za niemi idące w ślad skażenie obyczajów. Chwali dawne czasy:

Kiedy był zawsze koń na stajni rzeźwy,
Drzewo, tarcz pewna i oręż na ścianie,
Szabla przy boku, sam pacholek trzeźwy,
Nie szukać pierza, wyspał się na sianie,
A bił się dobrze.

Szerzące się już huczne biesiady, budziły wstręt w umiarkowanej duszy poety. Lubił on wprowadzić wesołą zabawę z przyjaciół, *dzban pełny* uczcił nie jedną pieśnią, a oburzał się na wszelki zbytek. Nie wiele cenił owe skore przyjaźni, zawiązywane przy kieliszku, trafnie też mówi :

My się przyjaźni piwem dobić chcemy,
Zaprawdę, lekce przyjaźń szacujemy.

Cenił on jednak przyjaźń szczerą a prawdziwą, to też malując tęskny żywot człowieka opływającego w dostatki, a trawiącego dni smutnie, bez przyjaciół, dodaje:

Uchowaj Boże takiego żywota,
Daj raczej miłość, chociażby mniej złota.

Każdy ważniejszy wypadek w kraju, był dla naszego poety źródłem natchnienia. Czyli to naród zbiera się

na elekcję nowego króla, czy zbrojne rycerstwo gromadzi się na odparcie Tatarów, czy dzielny król Stefan nowe odnosi zwycięstwo, brzmi natychmiast pochwalną pieśnią lutnia Kochanowskiego. Był on zarówno obywatelem, jak i poetą, czczył i ogłaszał z chlubą cnoty współrodaków: cudną też pieśnią opłakał zgon Jana Tarnowskiego, który po długim a przesławnym żywocie :

Nakoniec pełen wieku i przystojnej chwały,
Sam się prawie położył jako kłos dojrzały.

Szczęście domowe, jakiego stale doznawał nasz poeta, błyska nieraz z pod pióra jego, jakby promyk słoneczny. Wielokrotnie wspominał on swoją miłą Hannę, a cnoty jej domowe unieśmiertelnił w wierszu, w którym opiewa szacunek dobrej żony:

Żona uczciwa ozdoba mężowi;
I najpewniejsza podpora domowi,
Na niej rząd wszystkim, swego męża ona
Głowy korona.

Ona mężowym kłopotom zabiega,
I jego wczasu we wszystkim przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy,
Słodkimi słowy.

Trzykroć szczęśliwy, któremu Ty zdarzysz
Ten związek, Panie! ale zły towarzysz
Odejmie wszystko, że troski w pół wieka,
Zgryzą człowieka.

W pieśniach opisujących Sobótki, stanął Kochanowski najbliżej czystego źródła ludowej poezyi, ale czerp-

nął z niegę nieśmiało i myśl rodzinną w obce przystłonił szaty. Owe dziewoje skaczące przez zapalone ognisko i przepasane bylicą, nie zupełnie na swojską odzywają się nutę; niemniej jednak w niektórych zwrotkach przebija duch szczeropolski :

Dni gorące nastawają,
Suche role się padają,
Polny świerszcz co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.

Już mdłe bydło szuka cienia,
I ciekącego strumienia,
I pasterze chodząc za niem,
Budzą lasy swoim graniem.

Pracowite wołki moje,
Przy tym lesie chłodne zdroje,
I łąka nie przepasiona,
Kosą nigdy nie sieczona.

Tu wasza dziś pasza będzie,
A ja mając oko wszędzie,
Będę nad wami siedziała,
I na łące kwiaty rwała.

Pracowite wołki moje,
Wam te chłodne płyną zdroje,
Wam kwitnie łąka zielona,
Kosą nigdy nie sieczona.

W satyrze pióra Kochanowskiego więcej jest ojcowskiego ostrzeżenia, aniżeli chłosty. W poemacie p. n. Sa-

tyr, zostawił nam poeta wierny obraz Polski XVI-go wieku. Leśne to bożyszcze, ukryte w ciemnej puszczy, przemawia do Zygmunta-Augusta, narzekając na psujące się coraz bardziej obyczaje, i przepowiadając smutną przyszłość. Powstaje najprzód na szerzący się zbytek, na upadek rycerskiego ducha i na wzrastającą chciwość, g'woli której padają pod toporem lasy wycinane na klepki i potaże, tak, iż biedny satyr niezadługo nie znajdzie żadnej dla siebie ochrony. Dziś, mówi on, nikt nie jedzie na Tatara, wolą wszyscy płynąć do Gdańska za bitymi talarami. Inaczej niegdyś bywało:

Wówczas kto się sławy dobił,
Lepiej się nią, niż złotym łańcuchem ozdobił.

A teraz mówi Satyr, wyrzucając zbyteczną nieogłędność:

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi,
W przyłbicach kwoczki siedzą, albo owies mierzą.

Wystawia wymownie klęski, jakie w ciągu ostatnich lat kilku dotknęły naród: pięciokrotny napad Tatarów, utratę Połocka i inne. Za główną przyczynę złego uważa cudzoziemskie wychowanie młodzieży. Napomina wreszcie, aby się ludzie rychło upamiętali, człowiek samą budową tak różny od zwierza, wzbudzić powinien w sobie uczucie wewnętrznej godności.

Nie rozumiem, żeby to darmo uczyniono,
Iż wszelaki zwierz inny pochyłym stworzono.

A człowiek twarz wyniosłą niesie przed wszystkiemi,
Patrząc w ozdobne niebo oczyma jasnemi.
Chciał nam Bóg tem myśl swoją opowiedzieć prawie,
Iż bydło, a człowieka, k'róznej stworzył sprawie;
Bydło więcej nie szuka, jedno aby było,
Tego samego patrząc, co ciała jest miło.
Ale człeku, którego dusza poszła z nieba,
O tem czuć, o tem marzyć ustawicznie trzeba,
Jakoby się mógł wrócić na miejsca ojczyście,
Gdzie spólnie przebywają duchy wiekuiste.

Poeta nasz próbował niemniej sił i w dramacie; obrał za przedmiot ów sławny ustęp *Iliady*, gdy poselstwo Greków przybywa do Trojan, upominając się o Helenę. Poszedł on w ślady Eschillesa i Sofoklesa, a trajedyja jego, lubo nie stała się popularną, albowiem przedmiot obcy nie mógł przypadać do polskiego ducha, przecież zaleca się prawdziwie starożytną wzniosłością i prostotą.

Odprawę posłów greckich grano w teatrze przed królem Stefanem Batorym i królową Anną Jagiellonką, w Jazdowie pod Warszawą, dnia 12-go Stycznia 1578 roku, na weselu Jana Zamojskiego W. kanclerza, z Krystyną Radziwiłłówną.

Poemat p. n. *Proporzec*, zasługuje na baczną uwagę, gdyż jest ściśle narodowym, ze względu samego przedmiotu; poeta opisuje w nim hołd księcia Alberta pruskiego, złożony Zygmunтови Augustowi. Rozpoczyna rzecz wspaiałym obrazem:

Oto w zacnym ubiorze i w złotej koronie
Siadł pomazaniec Boży na swym pańskim tronie,
Jabłko złote i złotą laskę w ręku mając,
I zakon Najwyższego na łonie trzymając.

Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi,
Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi;
Z obu stron zacny senat koronny, a wkoło
Sprawiony zastęp stoi, i rycerstwa czoło,
— Przystąp Olbrychcie młody, zacnych królów plemie,
Który trzymasz w swej władzy piękną pruską ziemię,
Z łaski cnych królów polskich.

Olbrycht składa u stóp majestatu przysięgę wierności i odbiera z rąk króla wspaniałą proporzec. Gdy wiatr rozwał go w całej wielkości, oczy obecnych olśnił blask niezrównany; proporzec bowiem zdobny był w pyszne malowidło, przedstawiające najważniejsze wypadki z pruskich dziejów. Opis proporca i poetyczny zwrot na historię Prus, stanowi treść poematu. Uderza nas w nim prześliczny obraz Wisły:

Środkiem tego wszystkiego srebrna Wisła płynie,
Którą, leżąc pod skałą, przy powiewnej trzcinie,
Rozciąga Wisła leje kruzem marmurowym,
Głowę mając odzianą wieńcem rokitowym,
A do morza dochodząc drze się na trzy części.

Kończąc piękny obraz hołdu, poeta dodaje gorące życzenie, aby serca wszystkich zjednoczyły się wzajemną miłością i zgodą:

A niechaj już Uniej w skrzyniach nie chowamy,
Ale ją w pewny zamek do serca podamy,
Gdzie jej ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
Ani wiek wszystko-krótny, starością dolęże,
Ale syuom od ojców przez ręce podana,
Nieodgarnione lata przetrwa niestargana.

Wziął się także Kochanowski do epopei, obierając za przedmiot skona Władysława Warneńczyka pod Warną. Szkoda nieodżałowana, że nie wykończył tego poematu, z którego tylko krótki pozostał urywek. Godne chwały młodego króla-bohatera, są te słowa wielkiego poety:

Grób jego Europa, sęp śnieżne Bałkany,
Napis: wieczna pamiątka między chrześcijany.

Obok ważniejszych utworów Jana Kochanowskiego, zasługują niemniej na uwagę jego fraszki. Są to małe, kilkowerszowe arcydzieła, rzucane swobodnie na papier w chwili wesołego humoru, nacechowane szczerym, staropolskim dowcipem. Niektóre z nich straciły dziś dla nas znaczenie, jako wywołane wpływem okoliczności. Inne za to malują nam wybornie pogodny umysł poety i wiernym są obrazem jego duszy:

Fraszki, to wszystko cokolwiek myślemy,
Fraszki, to wszystko cokolwiek czyniemy,
Nie masz na świecie żadnej pewnej rzeczy,
Próżno tu człowiek ma co mieć na pieczy,
Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława,
Wszystko to minie, jako polna trawa.

Nie przebacza w nich poeta żadnej ludzkiej ułomności, smaga wszelkie zło, szczerym i otwartym żartem, bez żółci, bez szyderstwa, śmieje się tylko z ludzkiej ślepoty:

Wy tedy co kto lubi, moi towarzysze,
Pijcie, grajcie, hulajcie, Jan niech fraszki pisze.

Do fraszek liczy się ów śliczny wiersz uwieńczony na domu Czarnoleskim, który jest raczej najpiękniejszą modlitwą do Boga:

Panie! to moja praca, a zrządzenie Twoje.

Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje;

Inszy niechaj pałace marmurowe mają,

I szczerym złotogłowiem ściany objijają,

Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,

A ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,

Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,

Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością.

Nie przepomniał poeta i zielonej lipy, która wdzięcznie oceniała jego strzechę. Owa lipa, pod którą zwykle siadał z lutnią. tak do cudnych pieśni nawykła, że jak mówi fraszka, wiął i spadał jej liść, gdy ją zaleciały wiersze złego poety. Wdzięcznie ona wzywa gościa. aby siadł pod jej cieniem.

Gościu! siądź pod mym cieniem, a odpocznij sobie,

Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie;

Choć się najwyżej wzbije, a proste promienie

Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelone cienie!

Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają,

Tu słowicy, tu szpacy, wdzięcznie narzekają;

Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły

Biorą miód, który potem syci pańskie stoły,

A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,

Że człowiekowi łącno słodki sen przypadnie!

Wszystkie utwory Kochanowskiego pełne są głębokiego i prawdziwego uczucia, nigdzie jednak to uczucie

nie objawia się z taką siłą, jak w trenach na śmierć ukochanej Urszulki. Poeta dotknięty do żywego, oplakał ciężką stratę w dziewiętnastu żałosnych pieśniach, w których skreślił wymownie dzieje serca swego, nie pomijając najmniejszego odcienia boleści. Z serdecznym żalem wspomina on swoją ucieśzną śpiewaczkę, przyszlą Safonę słowiańską, dziedziczkę złotej lutni jego, która lubo małeńka, śpiewała już sobie po całych dniach jak słowiczek w krzaku zielonym, aż w końcu umilkła, spłoszona srogą śmiercią. Każde słowo poety, to głos serca rozdartego cierpieniem:

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja wdzięczna Urszulo, tem zniknięciem twoim;
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było,
Jedną małą duszyczką tak wiele ubyło.
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.
Urszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała,
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszelkie nieba wysoko wzniesiona,
I tam w liczbę aniołów małych policzona?
Czyliś do rajy wzięta, czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim;
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze;
Czyli się w czyscu czyścisz, jeśli z strony ciała,
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?

Czyś po śmierci tam poszła kędyś pierwej była,
Niżes się na mą ciężką żalność urodziła?
Pociesz mnie jako możesz, a staw się przedemną,
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą niekzemną!

Wyśpiewawszy całą boleść rodzicielskiego serca, w ostatniej pieśni poeta opowiada widzenie. Sam nie wie, we śnie, czy na jawie stanęła przed nim matka, trzymając Urszulkę na ręku; dziecina odziana biało, cała jasna, promienista, z śmiejącemi się oczkami, wyciągła rączki przed siebie, jak gdyby biegła witać ojca powracającego z drogi, albo odmówić przy łóżku paciorek.

— Synu mój — rzekła matka — czyż wy nas z drugiego świata macie już za straconych? my żyjemy doskonałem życiem, ziemia wróciła do ziemi a duch do niebieskiej powrócił ojczyzny. Przyniosłam ci Urszulkę w dawnej postaci, bo tam między aniołami świeci jako jasna jutrenka i modli się za was, coście pozostali na ziemi. Czyli tego żałujesz, że słodyczy ziemskich nie doznała, że nie kupiła sobie pana posagiem swoim, że nie słuchała dotkliwych pogrózek? Synu, gdzie twoja wiara, gdzie moc duszy? Wiek cały straciłeś nad księgami, nie dbając o zabawy tego świata. I jakież owoc z twojej pracy? Wznies się duchem do Boga i czekaj, aż cię zawoła tam, gdzie nie będzie łez, ani boleści.

Kończymy na tem, żałując, iż niepodobna nam wykazać wszystkich piękności, zawartych w pismach naszego poety. Każde jego słowo ma właściwy sobie urok, każde bowiem nacechowane jest prawdą, uczuciem i samodzielnością siłą. Kochanowski pozostanie na zawsze najwyższym wyrazem ducha narodowego, mistrzem i ojcem wszystkich poetów polskich. Cześć mu i chwała, że

pierwszy wdarł się na tę wyżynę, gdzie przed nim nie było znaku polskiej stopy ¹⁾).

Ze wszystkich stron kraju dochodzą wieści, że w bieżącym, jako jubileuszowym roku, uczczoną będzie pamięć ojca naszej poezji. Uczeni i literaci warszawscy postanowili w tym celu wydać ozdobnie, wiernie według pierwotnych edycji, z objaśnieniami miejsc dla dzisiejszego czytelnika niejasnych — wszystkie dzieła Jana z Czarnolasu. Pierwszy tom daje już dowody, że obietnicę spełniono, bo jednogłośnie krytyka przyznała mu zalety, jakie od najpiękniejszych wydawnictw są wymagane. Co chwila oczekujemy ukazania się tomu drugiego. W czwartym i ostatnim tomie zapowiedziano wyczerpującą rozprawę o życiu i pismach poety. Krakowska Akademia umiejętności zajęła się znowu z tego powodu wydaniem poetów łacińskich, poprzedzających Kochanowskiego, oraz zawiadzała na dzień 28 Maja uczonych i literatów polskich do wspólnych obrad nad postępem literatury teraźniejszej.

¹⁾ W przypisaniu psalmów Myszkowskiemu, znajdujemy te dwa wiersze poety:

I wdarłem się na skałę pięknej Kaliopy,
Gdzie nie było przedemną śladu polskiej stopy.

SIEJBA.

Błysło świtem zranie
Pomrok spada powoli,
Idę z wiarą o Panie
Ziarno posiać na roli!

Trud mnie dzienny nie zmoże,
Nie ustraszy znój,
Jedno łaską o Boże
Siew błogosław mój.

Zaszumiała dąbrowa,
Z gniazd ruszyli się ptacy,
Już dłoń moja gotowa,
Duch ochoczy do pracy.

Lecz wprzód Panie do Ciebie
Śię błagalny śpiew,

Użycz łaski w potrzebie
Błogosław mój siew.

Wszak ty żywisz pisklęta,
Choć nie orzą ni sieją,
Twoja panie moc święta
Ziemie krzepi nadzieją.

Na ten zagon o Boże,
Spuść Twej łaski zdroj,
Błagam Ciebie w pokorze,
Siew błogosław mój.

Niech to ziarnko tak małe,
Wsiane w rolę o wiosnie,
Tobie Panie na chwałę,
W plon się latem rozrośnie.

Nie szcędź słońca i rosy
Ciepłem tchnieniem wioń,
O to, Panie, w Niebiosy
Wznoszę korną dłoń.

Niech zielona ta niwa
Wolna burzy i sloty,
Pod twem okiem dojrzewa
Aż wybuja w kłos złoty.

Wtedy z sierpem niech żeńce
Z mnogich ciągną stron,
Niech uwiją ci wieńce,
Te Twój Panie plon.

Więc do pracy, do trudu,
Ile siły i ducha,
Nie poszczędzi Pan cudu,
W Panu wiara — otucha.

Rzucam ziarno!... o Boże,
Ty spuść łaski zdroj,
Wzywam Ciebie w pokorze
Siew błogosław mój!

HELENA KRĘPIANKA I BENEDYKTYNA

Z RODU PILAWITÓW,

(wspomnienie z roku 1260—1287).

Za panowania Władysława Wstydliwego, napad dziczy tatarskiej w r. 1241, pod wodzą słynnego w dziejach Battego, który krwią i pożogą pochód swój nazna-
czył, zachował się dotąd w pamięci ludu naszego, pomi-
mo, że sześć już z górą wieków przepłynęło nad Polską.
W okolicach Iłży, dawnej ziemi Sandomierskiej, która
najcięższe wtedy otrzymała ciosy, dotąd wieśniacy okazu-
ją szlak na polu i nazywają *drogą* albo *gościńcem* Battego,
którym ta szarańcza niszcząca odbywała swój pochód.
Wtedy zdobyty przez nią Sandomierz spalony, a miesz-
kańcy wycięci. Za ledwie w 19-ie lat później gród ten
powstał nieco z pożogi i gruzów, a mieszkańcy, co uni-
knęli szabli tatarskiej, zabudowali się w spokoju, gdy no-
wy napad zagroził powstałemu z popiołów Sandomierzo-

wi. Tatarzy w roku 1260 pod wodzą Nagaja i Teleboga, przebywszy Wisłę, złupili Zawichost. 60 zakonnic, 12 księży i całą ludność wymordowawszy, podstąpili pod Sandomierz. W murach jego Piotr z Krępy, herbowego godła *Natęcz*, Wojewoda Sandomierski z 500 zbrojnego żołnierza zamknął się, a przyłączyło się mnóstwo szlachty, co przed mordem uciekając z dworków swoich i zaścianków, z rodzinami i mieniem, szukali bezpiecznej uchrony w warowniejszych murach Sandomierza. Tatarzy przypuszczają szterm do grodu. odparci, wielką stratą niezrażeni, przez trzy dni następne ponawiali napady, zawsze każdy drogo okupując. Sandomierzanie, mimo braku żywności, której dla natłoku ludu z okolic, zapasów zgromadzić dostatecznych nie zdążono, ufni w Opatrzność Bożą, pełni zapału, nieustraszeni stali na murach i mężnie z nich zrzucali zuchwalsze zastępy dziezy, co z wściekłym okrzykiem wdzierali się naprzód.

Wodzowie tatarscy, widząc, że otwartym bojem nie potrafią zdobyć grodu, użyli podejścia. *Teleboga* wysyła jako posła jednego ze starszyny tatarskiej, z oświadczeniem, że odstąpią od Sandomierza, ale pod warunkiem, o który z samym Wojewodą porozumieć się muszą. Piotr Wojewoda wychowany w prawach szlchetnego rycerstwa, bez podejrzenia zdrady, udał się do obozu nieprzyjaciół, ale zaledwie pierwsze przeszedł strażę, pochwycony, okuty w kajdany, przywleczony do *Telebogi* został. Dziki i okrutny poganin wydarł mu oczy, a oblanego krwią starca, kazał wzniesić na dzidach w górę i ukazać Sandomierzanom, na murach stojącym. Krępa dobywa sił ostatnich: „Brońcie się a niepoddajcie“—zawołał i skonał.

Ale widok wodza ich, tak strasznie okaleczonego, niesionego na dzidach skrwawionych, z wyciem zwierzę-

cym tłuszczy dzikiej, przejął wszystkich nieznaną trwogą; równie upadło od razu tak rycerstwo, jak i szlachta na sercu i ręce osłabły. Tatarzy szturm ponawiają i jednym zapędem zdobywają wały, wycinają w pień obrońców, wdzierają się do miasta.

Mieszczanie w rozpacz zapalają domy swoje i giną to w płomieniach własnych siedzib, to od miecza najezdników. Dostali się wtedy i do zamku i załogę wycięli. Zmordowani bojem i mordem spoczęli chwilę tatarzy, obległszy w około kościół Ś-go Jakóba.

Właśnie w czasie szturmu, zebrani Dominkanie pod przewodem *Sadoka*, przeora, będąc na jutrzni, gdy ten kazał klerykowi czytać martyrologium (męczeństwo świętych), na dzień przyszły, młodzieniec ujrzał w księdze wyrazy złotemi literami wypisane po łacinie: „*W Sandomierzu 49-iu męczenników*,” z przestraczem je przeczytał i wszystkim zakonnikom ukazał. Przeor Dominikanów, *Sadok*, wziął tę przepowiednię za ostateczny wyrok Boga, z poświęceniem upominał braci, aby poddali głowy pod miecz niewiernych, a chociaż mury klasztoru grube i silne, i rąk gotowych nie brakło do obrony, zostawił bez opatrzenia, żadnego oporu nie zarządził i dziec bez trudu w otwarte niemal wrota wpadła do kościoła. Tu klęczeli rzędem przygotowani już na śmierć zakonnicy, widząc błyszczące miecze pogańskie, słysząc ich krzyki, chórem zaśpiewali antyfonę: *Solve Regina* i nim ją skończyli, wszyscy zamordowani, krwią zleli kamienną posadzkę kościoła. Dziec, wymordowawszy 8,000 polaków różnego stanu i wieku, zdobywszy bogate łupy, świeże zgliszcza Sandomierza opuściła.

Bogufał, burgrabia zamkowy, ujrzawszy wzniesionego na dzidach wojewodę Piotra, słysząc ostatnie jego wy-

razy, gdy spojrzął na wybladłych obrońców Sandomierza, zwątpiwszy o odporze, córkę jego Helenę, niemowlę jeszcze porywa i wśród płonących domostw, unosi w mury kościoła Ś-go Jakóba i tam krętymi schody i po drabinach wdziera się na szczyt wieży, gdzie bezpieczną znalazł z dzieciną uchronę. Widział cały krwawy obraz mordy i pożogi jak na dłoni, ujrzał w końcu niknące w oddali najezdnicze tłumy. Wtedy uniósł Helenę do domu Pilawitów, w którym odebrała należne wychowanie. Z tego rodu, Jan Pilawa, kasztelan Sandomierski pojął ją za małżonkę i Helena we 27 lat później, wróciła na dawną ojca swego siedzibę.

Było to w roku 1287, mąż jej, mężny wojownik, wyruszył przeciw hordzie tatarów, ażeby połączywszy się z rycerstwem krakowskim, wstrzymać jej napad i rozboje. Ciągnął trzy dni ku Krakowu, wszakże nigdzie ich śladu nie znalazł. Ale o świcie czwartej doby ukazały się z lasu znaczne hufce tatarów, których strzały zaciemniły chmurą wschodzące słońce i wielkie straty zrzędziły w zastępie Sandomierzan. Za przykładem dzielnego kasztelana Pilawy, rzuciło się rycerstwo do szabel i uderzyło mężnie. Chwiało się długo zwycięztwo, lecz gdy kasztelan przygnieciony zabitym koniem, bronić się nie mógł i rozsiekany poległ, cały zastęp sandomierski otoczony w około, mężnie na polu bitwy wyginał. W stosie trupów ocalał tylko jeden z rycerzy ranny, *Derśław z Obreżczy*, i był on zwiastunem okropnej wieści dla Heleny, że została wdową, i Sandomierz musi co chwila oczekiwać napadu tatarskiego.

Mężna niewiasta, Bogu ofiarowawszy łzy i boleść swoją, stanęła na czele obrońców Sandomierza, *Witkon*, wójt miejski i też sam *Derśław*, przysposobili się do

dzielnej obrony. Kasztelanowa dodawała wszystkim serca i odwagi; stawała na wałach, gorącemi słowy przemawiając do załogi, bo postanowiła umrzeć lub zemścić się śmierci ojca i męża.

Równy ze świtem z dzikim okrzykiem rzuciła się czerń tatarska na Sandomierz, wdarła się na drewniany ostrokół i zapaliła, z kąd ogień guany wiatrem, rzucił się na blizkie domy, pożar wybuchnął w mieście. Uderzyły dzwony kościelne na gwałt. Krzyk i rozpacz ogarnęły wszystkich. Kasztelanowa Helena staje wśród strwożonych z gronem niewiast; Witkon roztropne wydaje rozporządzenia, kobiety za jej przewodem rzucają się do obrony palących się domostw i wkrótce gaszą pożar. Dzielni obrońcy Sandomierza nieustępują ani kroku, stoją niezachwianie, chociaż z boleścią patrzeć muszą na śmierć walecznego Dersława z Obręczny, przesytego strzałą. Szturm odparty, wszystkie piersi odetchnęły swobodnie. Wtedy tatarzy wysłali posła, żądając okupu, a zapewniając życie i całość mieszkańcom.

— Nikczemny kłamco! — zawołała kasztelanowa — znamy wasze przyrzeczenia i przysięgi. Mój ojciec wam szlachetnie zaufał i zginął śmiercią męczennika. Precz z oczu podłe plemię! I posła kazała wyrzucić jak śmiecie za bramę wjazdową.

Przypuszczony szturm drugi dzielnie odparto, tatarzy poniosłszy wielkie straty, cofnąć się musieli, a Sandomierz ocalenie swoje zawdzięcza mężnej niewieście, której imię dotąd się jeszcze w podaniach starych ludzi utrzymuje.

Z tegoż samego rodu Pilawitów, pochodziła zakonnica świętego Norberta, imieniem *Benedykta*, w klasztorze Krzeszowskim, o której kronikarze nasi z uwielbieniem

wspominają. Było to w roku 1326, w lat 39 po opowiedzianym przez nas zdarzeniu.

Najeźdniczy pogańskich litwinów silny zastęp, napadł na klasztor Krzeszowski, a zdobywszy go złupił i z zakonnic i mieszkańców, co nie wymordował, uprowadzał w niewolę. Pomiedzy brankami była wspomniona *Benedykta*, cudnej urody dziewica, która przewidując hańbę, jaka ją czeka w ohydnej niewoli, umiejąc nieco litewskiej mowy, użyła szczególnego fortelu na swe ocalenie. Przynęcała temu, co ją jako zdobycz własną uprowadzał, że mu wyjawi tajemnicę, którą posiadając, nigdy go żadne żelazo ani szabli, ani strzały, ranić nie miało. Zdumiony poganin pyta, coby to było takiego? Wtedy *Benedykta* opowiada mu, że talizmanem tym jest, aby nosił przy sobie z jej głowy cząstkę jaką kości, a ciało jego żadnej rany nie odniesie. Ucieszony dziki litwin, tak łatwą a tyle drogą dla siebie tajemnicą, dobywa szablę krwią już dobrze napojoną; *Benedykta* ukłękła, a przenosząc śmierć nad hańbę, wyciąga śmiało szyję z cicha się modląc, poganin jednym zamachem ścina jej głowę i gdy chciwie pochwytuje ją za włosy, zabrzmiały wojenne trąby, pada chorągiew konna na najeźdzców i zabójca cnotliwej *Benedykty*, pada trupem, przebity kopją od mężnego Dawida Grodeckiego. Ciało *Benedykty* z należną czcią pochowanem zostało w Krzeszowie, w grobach klasztornych.

K. Wł. W.

OBRAZY PRZESZŁOŚCI.

KACPER MIAKOWSKI,

POETA Z EPOKI ZYGMUNTÓW.

I.

Zorzą wieczorną modre niebo płonie,
Słońce zstępuje ku zachodniej stronie,
Chyląc pomału tarczę cudnej krasy
Po za cieniste, nadwiślańskie lasy.
Których usłane mchem piastuje łono,
Dęby, trzechwieczną dostojne koroną;
Świerki i sosny co olbrzymiem czołem,
Nad Mazowieckim panują padołem,
Czekając, rychło po Wiślanym grzbiecie,
One prostaki wyrosłe w powiecie,
Między przemysłne popłyną Bretony,
I w maszt ciosane, okiem nieścigniony,



Pomkną przez wody oceanu słońce,
W nieznaną światu, kuli ziemskiej stronę,
Wśród boru rzesza pogwarza skrzydlata,
Rozradowana ciepłem tchnieniem lata,
Na łąkach młeczne kłosa zielenieją,
Serce rolnika skrzepiając nadzieją.
W dolinach jęczmień, na pagórkach żyto
Zaściela ziemię bujno i obfito,
Uboga wioska tuli się pod borem;
Wśród chat wieśniaczych, zlepien starym wzorem,
Jaśniej zdała snopami odziany
Gliniany dworek z bielonemi ściany.
Pod ścianą róża i bukszpanu ziele
Z lawendą mały wirydarzyk ściele.
A cichy dworek chrustem ogrodzony,
Półkrągłym wiankiem stroi sad zielony,
Kędy tu owdzie, pod liści koroną,
Połyska wisien koralowe grono.
W owej to cichej a skromnej ustroni,
Młody poeta za natchnieniem goni.
Jaskrawa światła nie znęca go dola,
Milsze mu stokroć Włoszczonowskie pola,
Gdzie próżen żółci, niezaprawion jadem,
Składa rym, Jana z Czarnolasu śladem,
Który tak cudnie słowiańskimi słowy
Potrafił struny harfy Dawidowej.
O! drogież jemu Nadwiślańskie knieje!
Tu wykołysał uroczą nadzieję
Co pierś śpiewaka natchnieniem unosi
Ku jego pięknej — modrookiej Zosi.

Choć tu poeta, jak wędrowne ptasze,
Chwilowo zasiadł słomiane poddasze;
Sercem jednakże wrósł do Włoszczonowa.
Tu on sąsiady w czci serdecznej chowa,
Tu garnie kmiecie jak kokosz piskłeta,
O ornym wołkach od pługa pamięta,
Człeka ni zwierza nie przeciąża pracą,
A wszyscy miłość, miłością mu płacą!
Dziś też we włości ponuro jak w grobie,
Bo ją poeta w rychłej rzuca dobie,
Czas mu za Wartą, przy ojczystym płocie,
Nowe rozpocząć trudy w czoła pocie,
I z młodą Zosią precudnej urody,
Roztlić ognisko domowej zagrody.

Lubo pogodną dolę Kacper tuszy,
Alić tęsknota siadła mu na duszy,
Choć mu tak wdzięcznie z przeszłości powiewa,
Wielkopolskiego pamięć Smogorzewa ¹⁾,
Gdzie chwilę gwiazda świeciła mu złota,
Nim próg rodzinny porzucił sierota.
Niemniej mu drogie pełne świeżej krasy,
Knieje Mazowsza i cieniste lasy,
Których żywiczne poiły go wonie,
Gdy po raz pierwszy ujął lutnię w dłonie,
I czuł, w niezieskim tworząc pieśń zachwycie
Piersi młodzieńczej podwojone bicie.

¹⁾ Miejsce rodzinne Kacpra Miaskowskiego.

Patrzmy, jak krąży śpiewak z czołem bladym
Pomiędzy stawkiem a wiśniowym sadem,
Pochylił głowę, wzrok zanurzył w ziemię,
Snać pierś mu ciężkie gniecie dumań brzemię,
I milcząc czeka na chwilę godową,
Gdy myśl związana w czarodziejskie słowo,
Z tajników łona przez usta wypłynie,
I błysnie hoża jak kwiat na dolinie.
Ugania przeszłość piewcy myśl skrzydlata
Wspomniał z westchnieniem swe dziecięce lata,
I widzi matkę, jak z pochyłą głową
Ponad kołyską śpiewa mu lipową.
Ze łzawem okiem i w żałobnej szacie,
Niepocieszona po małżonka stracie,
Co krzepkie ramię złożył pod mogiłą
Nim pogrobowe dziecko zakwiliło.
Widzi tę matkę, jak dotknięta morem.
Z wklęsłą żrenicą i obliczem chorem,
Krzyżykiem dziatwę żegnała w dzień skonu,
I niby słyszy pogrzebny jęk dzwonu.
Wszystko mu jasno lśni na tle wspomnienia
Odblaski gromnic i kapłanów pienia,
I drobnych sierot żal nieutulony.
Widzi rodzinę rozpierzchną na strony,
Jak obie siostry pod obcą opieką,
Własnego gniazda odbiegły daleko;
Jak z miłych braci, młodszego Balcera
Gwoli kapłaństwu chęć pociąga szczerą;
Tylko z pięciorga jeden Michał młody
Strzeże ogniska domowej zagrody.
I wspomniał siebie, jak drobne pachole
W Benedyktyńskiej karmi ducha szkole,

Jak ojciec Bernard ¹⁾, starzec srebrnogłowy,
 Bogobojnemi pokrzepia go słowa,
 I młodociane prostując pojęcie
 Uczy żyć czynnie, pobożnie i święcie.
 Pomni, gdy rzucił klasztorną zaciszę,
 Jak myśl uroczem marzeniem kołysze,
 Jak go w ojczystej wyćwiczają mowie
 W uczonym świecie słynni Herbestowie ²⁾.
 Jak Lubrańskiego ³⁾ szkoły uczeń pilny
 Poważnych mistrzów zyskał wzgląd przychylny,
 A świecąc szkole blaskiem pierwszej gwiazdy
 Gładkimi rymy czczył Biskupie wjazdy.
 Wspomniał jak rychło po szkolnym mozole.
 Obiega Halicz i piękne Podole,
 Pragnąc się ze rdzy otrząsnąć domowej
 I w zdroju światła czerpnąć siły nowej!
 Jak wiatr po świecie goniąc w Imię Boże
 Oparł się w końcu na Herburta dworze,
 W słynnych w te czasy murach Dobromila,
 Gdzie bystry dowcip potężnie wysila.

1) Ojciec Bernard, starzec wielkiej świątobliwości, był pod te czasy zakonikiem u ojców Benedyktynów w Lubianiu w Wielkopolsce.

2) Herbestowie, słynni w XVI-ym wieku profesorowie Akademji Krakowskiej, wysłani byli w te czasy do urządzanej na nowo szkoły wyższej, czyli Akademji Poznańskiej, jeden z nich był rektorem Akademji, drugi professorem.

3) Jan Lubrański, niegdyś professor Akademji Krakowskiej, następnie biskup poznański, założył w 1500 roku szkołę wyższą czyli Akademję w Poznaniu i sprowadził do niej profesorów z Krakowa.

By gromić młodzież dworskiego orszaku,
Która z jaszczurką litą na szyszaku,
Wśród wiernej Polski rozrosła bez miary,
Dzwoni nowiny od Genewskiej Fary ¹⁾.
Wspomniał na koniec jak przy Baltazarze ²⁾
 Co chroni skrzydły Kujawskie ołtarze,
 Ze stóp otrząsa proch długiej podróży.
 Jak go bezczynny w końcu żywot nuży;
 Nad dworski kołach, jak stokroć on woli
 Chleb własną pracą wyorany z roli;
 Aż jął po Bogu szczerze a pocziwie
 Na Włoszczonowskiej orać skibę niwie;
 A Bóg w nagrodę, perłowemi rosy
 Obficie młode potrząsa mu kłosy.
 Nadto, potęgą nieprzebranej łaski,
 W głąb ducha prawdy tchnie urocze blaski,
 I w coraz wyższe myśl wprowadza koła
 Gwoli jej straży stawiając anioła.

I teraz w świetle nieziemskich promieni
 Oblicze piewcy nadobnie się mieni.
 Na wirydarzu uszczknał wonną różę,
 Wzniósł modre oko od ziemi ku górze,
 I Mazowieckie objął niem obszary,

¹⁾ Herburt z Dobromila gorliwym był wyznawcą kalwińskiej wiary, której gniazdem była Genewa. Słowa *podkreślone* wzięte są prosto z rymów Kacpra Miaskowskiego.

²⁾ Baltazar Miaskowski, brat Kacpra, był sufraganem Kujawskim.

Na które zwolna spływa pomrok szary.
I z ust bieży drżący a tkliwy.

- Żegnam was, rzeczce Włoszczonowskie niwy
Ty cicha wiosko, coś w trzyletniej dobie
Tęskne me serce zniewoliła sobie;
Żegnam was kmiotki, coście z czoła potem
Brogi me ziarnem napęlniali złotem,
A na mój zagon wiodąc orne woły,
Z skowronkiem niebu ślali hymn wesoly.
Żegnam cię domku słomą przyodziany,
Miły ogródku i płocie chróściany,
I ciebie jasny domowy kominie
Coś myśl o szarej rozwidniał godzinie,
I tak poczciwie strzegł śpiewaka głowy,
By wątku pieśni nie zwiął chłód zimowy!
I ciebie żegnam Gombiński kościele,
Kędym pobożnych widząc ludzi wiele,
Głos mój z ich głosem jednoczył nieśmiało,
Chcąc niehios Pana uczcić ziemską chwałą!
Sługo Chrystusa! Marku, żegnam ciebie ¹⁾.
Tyś mi ojczyznę ukazował w niebie,
Myśl mą z grzesznego zmywając barłogu,
Bezsilną w górę dźwigałeś ku Bogu.
A gdy ją w zradne świat wikłał manidła,
W żarliwe wiary zbroiłeś ją skrzydła.

¹⁾ Ksiądz Marek był naówczas proboszczem w Gombinie. Miąskowski wspomina o nim w rymach swoich, mianowicie wierszu pożegnalnym, pod napisem *Waleta Włoszczonowska*.

I chlebem Bożym warując od zguby.
Słałeś ją z pieśnią pomiędzy cheruby.

I umilkł Kacper, utkwiał w niebo oczy.
Łza po obliczu jak perła się toczy,
I duchem z ziemi oderwan na poły
Zda się z białemi rozprawia anioły.
I cóż za postać do poety boku
Zbliża się pełna świętego uroku?
Długa Lewity przysłania go szata,
Barki sędziwe nagięły już lata,
Lecz uśmiech tkliwy, uroczy a młody,
Promień wewnętrznej zwiastuje pogody.
To ojciec Marek: spojrzął, skłonił głowę,
Widząc jak zorzy odblaski różowe,
Wieńcem poety okrążyły czoło,
Cisza panuje uroczyista w koło,
Tylko dźwięk pieśni przerywa ją czasem,
Albo pachole zafleci pod lasem,
Albo po zwirze zdrój żywiej pobieży.
Tu dzwon w oddali zajęknął na wieży,
Słabo i głucho, a rosa perłowa
Dźwięk jego niesie w pola Włoszczonowa,
Słyszy go Kacper, przykłęka w pokorze,
Drżącemi usty głosi imię Boże,
I ojciec Marek w niebo wznosząc oczy,
Z pieśnią poety głos własny jednoczy,
Umilkły dzwony, Kacper w Imię Pana
Wita w swym domu Bożego kapłana.
Dębową ławę zasiadają oba;
Smutnaż nadchodzi pożegnania doba,

Bo jutro Kacper wyrusza o świcie.
Na nowe trudy, zawody i życie.
Milczą... głos żalność zdławiła im w łonie,
Aż Marek uniósł drżące w niebo dłonie,
I po nad głową złożył je poecie:
— Kacprze, wyrzecz, ducha mego dziecie!
Gdziekolwiek wyrok powoła cię Boży
Serce się moje o Ciebie nie trwoży,
Bom pewien synu, że zawsze i wszędzie
Niezlomna wiara puklerzem ci będzie.
Skruszą się o nią jak o twardą skałę,
Szermierzy fałszu okrzyki zuchwałe:
Co tak złowrogo brzmią na polskiej ziemi,
Którą stopami zdeптаło świętymi.
Jej męczenników i wyznawców grono!
Gdzie wy, niebieską ozdobi koroną
O Stanisławie! Wojciechu! Jacenty!
Janie! Czesławie! Kazimierzu święty!
Gdzie wy matrony zdobne wieczną sławą,
Mężna Jadwiga, czysta Bronisława!
Cna Kunegundo i ty Salomeo!
Słyszycież z niebios, jak ponuro wieją
Wichry z zachodu na Polskie obszary,
W tę niegdyś arkę Chrystusowej wiary?
Czyż wy słyszycie zradnej pieśni tony
Które tu sieją Zwingle, Melanchtony ¹⁾,

¹⁾ Zwingliusz i Melanchton, ówczesni różnowiercy, których zdania głoszone w obcych krajach, wprowadzały w błąd umysły wiernych dotąd polaków.

Patrzcie! ta zlana krwią świętych kraina
W niwecz butwieje pod tchnieniem Socyna ¹⁾,
W górnych przybytkach płaczcież o patroni,
Bo ślepy naród czczą ułudę goni,
Bo w grzesznym ziemskiej mądrości zapale,
Chce Boga zmierzyć na rozumu skalę,
W twoich posadach o ziemio Lechowa,
Lęże się sprośnie hydra siedmiogłowa,
Naród w obłędzie złych poszeptów słucha,
I trwoni łaskę i zatracą ducha.
I jedno patrzeć jak na wieków wieki;
Odrąci skrzydła anielskiej opieki!
— Nie, ojcze! Kacper zawoła donośnie,
Nim w Piastów roli kąkol się rozrośnie,
Wprzód błysnie kłosem Bożej prawdy ziarno,
Krew apostołów nie wsiąka tu marno,
Nie darmo w niebo ku Maryi bieży,
Pieśń z Jasnogórskiej i Marjackiej wieży.
Boga-Rodzicy Polska nie zapomni,
Czcily ją dziady, czcic będą potomni,
A jako w Kanie, za Matki przyczyną.
Pan zmienił wodę w bursztynowe wino,
Tak skamieniałych serc występłą pychę
Przemieni w miłość i pokorę cichę,
Różgą pokuty hardo serca skruszy,
Jak zdrój ze skały łyzy dobędzie z duszy,
Aż biały anioł w tym żywota lesie,
Bożej mądrości promienie rozniesie,

¹⁾ Faust i Leljusz, wypędzeni z Włoch, przybyli do Polski w XVI-ym wieku i szepчили tu błędną naukę. Ich sektarzy zwano Arjanami czyli Socynianami.

Wszakże sam ojciec nauczałeś wierne,
Że miłosierdzie Pańskie tak niezmierne
Jak przestwór Niebios, jakby morza tonie;
Że Bóg z miłością piastuje na łonie
Świat, rąk swych dzieło, że jak ojciec strzeże
By go szatańskie nie zmogły grabieże?
Wszak sam uczyłeś, że w czasach zamętu
Siew Bożej prawdy nie zginie do szczętu,
Lecz uprawiany na serc wiernych roli
Z pogańskich chwastów świat w końcu wyzwoli?

— Synu, rzekł Marek, potrząsając głową.
Wiem, że odkupion świat krwią Chrystusową,
Że złe, on smutny plon rajskiego drzewa
W proch się rozwieje jak znikoma plewa
Nie o to chodzi, ależ miły synu.
Kto z ludów zbudzon do świętego czynu,
Pierwszy ramiona ku Panu otworzy,
Z wiarą do serca przytuli krzyż Boży.
Kto z przekonania niezłomną potęgą
Stanie jak tarcza nad zakonu księgą,
Kto łez strumieniem zmyty z wszelkiej winy
Przekroczy szczeble Jakóba drabiny,
I mocą ducha zbawiwszy sam siebie
Wyrok zbawienia wykołacze w niebie?
Czyż tym o synu siły zbawczej stanie
Co radzi grzęzną w ciemności otchłanie.
I świętokradzko drą porporzec święty
Pracą wiekową w tę ziemię zatknięty!
I umilkł Marek, wzrok poniósł ku górze,
A tam rozsiane po ciemnym lazurze

Gwiazd milijony, promieńmi drżącemi
W łono umilkłej poglądają ziemi,
Wróżąc z jej cichych obrotów z oddali
Co się na czasów wykołyszże fali.

I milczą oba, po ust wolnym ruchu
Znać, że się Bogu modli kapłan w duchu,
A wzrok płomienny i twarz piewcy blada,
Świadczą że w duszy hymn proroczy składa,
W chatach wieśniaczych ognisko już zgasło
A kur opiewa pierwsze nocy hasło.
Pobożny kapłan milczący a łzawy,
Nie rad z dębowej znać powstaje ławy;
Którą z sąsiadem zasiadł raz ostatni,
Kędy go codzien duch pociąga bratni,
Bo tu on świadom, że z ust jego słowo,
Nie padnie marnie na rolę jałową,
Lecz je poeta w tła swych marzeń wplecie,
I z pieśnią zaśle szeroko po świecie.

— Ojczy, rzekł Kacper, w tej dobie żywota
Gdy przyszłość nowe roztwiera mi wrota,
Gdy Sakramentem jak tarczą odziany
Podeprę znowu stare ojców ściany,
Gdy miłą w dom mój wprowadzę dziewoję,
By cichych zasług plon zbierać we dwoje;
Ty pobłogosław mi kapłanie Boży;
Niech anioł pióra srebrzyste rozłoży,
Po nad domostwem mych ojców ubogiem,
Niechaj mi dola zaświeci nad progim,

Niech dni żywota wiernie a poczcziwie
Spłyną mi w Bogu, na rodzinnej niwie.

Marek z ufnością w górę podniósł ręce,
Panie! zawoła. jać kornie poświęcę
Dni mych gasnących ostatnie godziny,
Lecz nad tą głową rozwij pomrok siny,
Sprostuj mu ścieżki co ku tobie wiodą,
Niezlomnym hartem otocz pierś tę młodą,
Nie szczędź dla ducha powszedniego chleba,
Idoli gwiazdę zapal mu wśród nieba.
Nie o tę dolę ja śmiem błagać Ciebie,
Co ludziom w ziemskiej przyświeca potrzebie;
A blednąc zwolna z rannych dni ubiegiem.
Gaśnie, starości przysypana śniegiem,
Nie o tę dolę, co w kwieciste wieńce
Chwilowo strci swoje ulubieńce.
Co wąтли ducha, a zbezwładnia ramię,
Przyrzeka cuda a nikczemnie kłamie,
Co człeku w ziemskiej tułaczce migota
Czczym blaskiem sławy. rozkoszy i złota.
A przed złudzonym płasając wesoło,
Coraz ciaśniejsze zakreśla mu koło.

Inna niech dola zabłyśnie ci górą,
Za mgłą żywota, za tęsknoty chmurą,
Wyższe, twe oko niech ogarnia cele.
Tam duch twój synu niech gniazdo uściele,
Gdzie go żywota nie dosięgną gromy,
Nie zmrozi powiew zawiści znikomej,

Tam niech podoła, siłą dzielnej woli,
Na gruzach ziemskiej zdruzgotanej doli,
Miasto daremne ronić łzy i żale
Spocząć swobodnie choć na pustej skale.
Do takiej synu nieziemskiej przystani
Od wieków pańscy zdążają wybrani.
W znojnym pochodzie ich stopy nie mdleją
Bo idą świętą skrzepieni nadzieją,
Bo ich modlitwy czysta rzeźwi rosa
A cel przed nimi wytknięty. Niebiosa!

I wskazał Marek gwiazdziste przestworze
Obliczem upadł na ziemię w pokorze,
Jak gdyby dzieła wiekuistej chwały
Raz pierwszy oczy jego oglądały.
Powstał, krzyż skreślił nad poety głową.
Błogosławieństwa ciche wyrzekł słowo,
Z lekka skrzypnęły w pół otwarte wrota
I sam pozostał Kacper jak sierota,
I słyszy zdala jak powiew wieczoru
Słowa kapłana roznosi po boru,
Drżący ich odgłos wpływa mu w głąb duszy
A sowa kwili żałośnie na gruszy,
I cudne gwiazdy co lśniły tak jaśno
Zwolna po jednej blednieją i gasną.

II.

I kędyż poeto ułudne te kwiaty,
Wyrósłe na niwie nadziei bogatej,
Coś niemi domowe oplatał ognisko?
Gdy siedząc wieczorem nad syna kołyską.
Łączyłeś dźwięk lutni do pieśni matczynej,
By do snu utulić oczęta dzieciny,
I czemuż ognisko w komnacie nie błyska?
Gdzież Janka sennego lipowa kołyska ¹⁾,
Dla czego pieśń tkliwa nadobnej twej Zosi,
Z pod serca nadziei uroczu nie głosi?
Dla czego na licu i zżółkłem twem czole,
Czas rylcem złowieszczu wyrzeźbił niedolę?
Dla czego poeto błękitne tve oko,
Wtłoczone boleścią zakłęśło głęboko?
Dla czego twa ręka bezsilna i drżąca,
Zrdzewionych strun lutni do pieśni nie trąca?
W tym dworku ubogim dni temu nie wiele,
Tak kwitła nadzieja, tak brzmiało wesele.
A dziś tak samotno i głucho, dla czego?
Czyż święci anieli twych progów nie strzegą?

O! strzegą ich święcie niebiescy anieli,
Spojrz oto ku górze, jak czyści i bieli,
W promieniach gwiazd krążą nad cichą zagrodą,
I kiedyż myśl twoją w swe ślady powiodą,

¹⁾ Kacper Miaskowski wkrótce po zawarciu małżeńskich związków postradał małżonkę Zofję i małego syna Jana.

I rychłóż pogromią szatana rozpaczy,
Nim piętnem zaguby twe czoło naznaczy?
Patrz w górę poeto! wszak piewcy potrzeba,
Nie ziemi, nie kwiatów. lecz światła a nieba,
Coć ziemia wydarła na pastwę zdaj ziemi,
Nie wskrzesić umarłych strumieńmi łzawemi,
Niech kwiaty co dni twych drożynę krasily,
Uwieńczą murawę ich głuchej mogiły.
Już pękły na wieki te złote ogniwa,
Po których płynęła pieśń twoja szczęśliwa,
Uroczo, przed tronu Boskiego podnóże;
Spaliły ją gromy, rozniosły ją burze,
Dziś jednak śpiewaku nie zmilknąć twej pieśni,
Gdy lutnie złożyli śpiewacy spółcześni.
Jan ¹⁾, mistrz twój natchniony w zwolenkim legł
[grobie;
Klonowicz zanurzon w zwątpienia chorobie,
Tę lutnię, co niegdyś tak pełna swobody.
Wiślanych flisaków głosiła przygody.
Dziś, wpływem niedoli i zdrady niewieściej,
Przesyca goryczą i jadem boleści,
A w serca niesforne satyry śle grotty.
Lecz panu kto z wiarą wydzwoni hymn złoty?
Dalejże o piewco, ochoczo a śmiało
Podejmij z nad łoża twą lutnię zrdzewiałą,
Już prosto ku Bogu perłowa łez rosa,
Samotnąć dróżynę wytknęły w niebiosa.
Do góry, nad gwiazdy, wzbij skrzydła sokole
Rzuć ziemskie tęsknoty, żałoby i bóle,

¹⁾ Jan Kochanowski umarł 1584 r., pochowany w Zwoleniu.

Wyśpiewaj hymn Panu, pokornie a szczerze,
I braci prostaczków w gasnącej skrzep wierze.
Gdy inni w bezbożne wikłają ich sieci,
Pieśń twoja, niech płomień w ich piersi roznieci,
Jej dźwiękiem porwani, niech zstąpią z bezdroża
A pójdą gdzie prawdy przyświeca im zorza.
Nie na to Bóg wieszczę natchnienie dał tobie
Byś śpiewał bezpłodnie umarłym na grobie.
I w słowo zaplatał jęk własnej niedoli;
Choć skrzepła tęsknotą pierś łaknie i boli,
Z modlitwą ją pōty bij w żalu i skrusze,
Aż miłość nadziemska rozpali twą duszę,
Aż śnieżne ci skrzydła od ramion wyrosną,
Aż w sercu twem będzie tak cicho, radosno
Jak wtedy gdyś czystą chrztu wodą skąpany
Od piersi matczynej w świat spojrział nieznany,
I anioł ci jasne wskazując obrazy,
Uśmiechem spromienił twe usta bez skazy.
O! chcesz-li umarłym dowodzić twej cześci,
Nie łzami je uczcij nie jękiem boleści.
Lecz ochłódź je świętych uczynków twych rosą!
Łzy słońce wypije, jęk słoty rozniosą.
A czynów twych ziarno gdy w ziemię się wszczepi
To będzie twym zmarłym swobodniej i lepiej:
Bo z niemi, wiecznemi związany ogniw,
Swe zmarłe od kary wyzwala świat żywy.
Do życia, do pieśni, o rozbudź się jeszcze,
Rzuć próżne marzenia, rzuć trwogi złowieszcze,
Ze drżących strun lutni wydobądź dźwięk złoty.
Pój mlekiem twych pieśni łaknące sieroty;
Gdy w koło zapada zwątpienia noc głucha,
Nadzieją i wiarą rozkołysz im ducha.

Dość inni sławili pogańskie bałwany,
Ty mocą tej lutni od Boga ci danej,
Gasnącą zbudź wiarę, ucz świętej pokory.
Na próżną dziś chwałę, na pychę świat chory!
Ty miotaj wciąż w serca twych bliźnich leniwe
Odwiecznych prawd Bożych skry jasne i żywe.
Pchnij rączy lot myśli w kraj cudów szeroki,
Gdzie cedry Libanu szczyt niosą w obłoki,
Tam w ciemnym a głuchym człowieczych dni lesie
Czy widzisz, jak światu kaganiec Pan niesie?
Czy słyszysz jak zadrżał Lewiatan zuchwały
Gdy cichych pastuszków zabrzmiała pieśń chwały?
Ty głosem anielskim posłuszny jak oni,
Natchnioną twą lutnię do kornej weź dłoni.
Nim naród zagrzęźnie w zwątpieniu jak w grobie
Wyśpiewaj pieśń cudną dziecięciu przy żłobie,
Co rychło swą chwałę od morza do morza,
Rozsieje na ziemi i niebios przestworza,
Co chleb da łaknącym, schorzałym da zdrowie,
Tarcz ludzkiej da piersi, przyłbicę da głowie.
Pręt zatknie zielony w Piotrowym kościele.
Miód w uściech rozmnoży, a w sercach wesele,
Pogodę nieziemską tchnie w łono człowiecze
Uzbroi swe wierne na gromy i miecze,
Pokorne żeglarze ocali od toni,
I krzyża ramieniem świat cały osłoni.

Do lutni śpiewaku! o! rozbudź się żywo,
Patrz! w pieśni dziedzinie jak bujne tve żniwo,
Wzbudź wiarę w zamarłym współbraci twych
[łonie,
Nim jasny jej płomień do szczytu nie spłonie;

O! rozbudź ich słowa czarowną podniętą.
Do życia, do pieśni dalejże poeto!

Ocknął się Kacper, dłonią wsparł czoło,
Patrzy na białe komnaty ściany,
Zgasło ognisko, cisza w około,
Umilkły dźwięki pieśni nieznanej,
Co mu szeptała nad senną głową,
Na rozbudzenie urocze słowo.

Pieśń-że to czysta stróża anioła,
Co skrzydły cichej zagrody strzeże?
On-że śpiewaka do lutni woła?
Karmi nadzieją, pokrzepia w wierze,
On-że nadziejskie chce dobyć tony,
Z piersi boleścią w popiół spalonej?

Może to Marka duch świętobliwy
W ciszy wieczornej zbiega z za świata.
Związany wiecznemi z piewcą ogniwy,
Niebieskie tony w myśl jego wplata,
I czystym duchom mocą właściwą,
Zdrojem natchnienia poi pierś żywą?

W tych złotych dźwiękach odbija może,
Pieśń zaświatowa małżonki młodej,
Co w cichej ziemi poniosła łożę,
Ledwie rozkwitły kwiat swej urody,
Może pieśń wtórzy w aniołów kole
Janek z niewinną gwiazdą na czole?

Powstał poeta, na blade lica
Nadobnie spływa odbłask rumiany,
Płomiennym żarem błyska źrenica.
Chyżo porywa lutnię ze ściany,
Ciśnie ją drżąco do ust i łona,
„Witaj mi, woła, błogosławiona!

„Błogosławiona, o lutni złota,
Śpiewaka piersi niebieska tarczo,
Manno w pustyni głuchej żywota,
Gdy znojne siły w biegu nie starczą,
Ty łzę dobywasz jak źródło ze skały,
Z piersi boleścią w lód skamieniały.“

„Ty przedsmak dajesz niebieskiej doli,
Ośladzasz gorzkie życia zawody,
Z pęt rozwiązujesz ducha powoli.
Skrzepiasz w krynicy przeczystej wody,
I gołębiemi słońcąc go pióry,
Wiedziesz nad mętne zwątpienia chmury!“

Upadł na ziemię śpiewak w milczeniu,
Modli się Panu myślą skruszoną,
A pokój spływa po gwiazd promieniu,
W jego boleścią stargane łono;
Na struny lutni strumień łez pada,
A lutnia dźwiękiem łzom odpowiada.

Czyż to Dawida psalm wiecznej chwały,
Śladem dróg mlecznych w górę się wzbija?
Czy harf anielskich struny zabrzmiały,
Ziemię-to dźwięki? pieśń-że to czyja?

Pieśń to pokory łąą potrącona,
W niebiosą płynie od ziemi łona.

A kwiat zaściela rodzinne błonie,
Rychłóż go naród w wieńce zaplecie?
I na zorane niedolą skronie,
W oznakę cześci złoży poecie,
Gdy lutnię same łąy potrącały,
Jemuż przystoi kwiat ziemskiej chwały?

O tak, przystoi! tylko wybrany,
Łąą czarodziejskie potrąca dźwięki,
Niech mu żywota kwiat potargany
Zapłaci wieniec z braterskiej ręki,
O! bo wybrany w śpiewaków tłumie,
Kto łzawą pieśnią zapłakać umie.

Dokończenie w tomie IV-tym „Rozrywek.”

ŻYCIE DOMOWE W AMERYCE.

PRZEZ

FRYDERYKĘ BREMER.

Ciąg dalszy.

List XX.

Do radcy Oerstedta w Kopenhadze.

Nad morzem w New-Jersey (Nowy Dżersey) — 1850.

Ileż to razy, szanowny przyjacielu, myślałam o tobie w tej części świata, tak dalekiej od twojej ojczyzny! Ileż razy pragnęłam mówić z tobą o tym nowym świecie, który rozwija się tak szybko, na którym wzrok twój tak bada-wczo spoczywa! Ze wszystkich przyjaciół w Kopenhadze, sam jeden pojąłeś czemu chcę odwiedzić Amerykę, sam jeden zachęcałeś mnie do spełnienia mego zamiaru. Otóż rzeczywistość przeszła moje przeczucia, nie umiem sobie jeszcze dostatecznie zdać sprawy z wielkich skarbów, jakie

mam przed oczyma i byłabym niewątpliwie z napisaniem tego listu czekała aż do chwili, w której wrażenia moje bardziej określone przybiorą kształty, gdybym nie czuła potrzeby podziękować ci, dobry przyjacielu, za miłe chwile które tu spędziłam, z uprzejmie ofiarowaniem mi w Kopenhadze dziełem. Dzięki twym słowom, serce moje wzrosło, jaśniejszy blask otoczył każdą gwiazdę w oczach moich, myśl moja śmielej wybiega w przestrzeń, wsparta powagą twojej myśli.

Nie raz w Nowym Świecie słyszałam, zacny przyjacielu, imię twoje wspomniane obok imion Linneusza i Berzeliusza. Professor Henry dał tu pierwszy poznać twoje uczone dzieła. Miłoby ci było widzieć z jaką szybkością amerykanie stosują do ogólnego pożytku wszelkie nowe odkrycia dokonane w dziedzinie nauk przyrodzonych. Twój wynalazek telegrafu elektryczno-magnetycznego, tu nasamprzód został zastosowany. Gdzie obrócić oczy, wzdłuż kolei żelaznych, od kraju do kraju, od miasta do miasta, widać tu już elektryczne telegrafy. Nowy-Jork rozmawia z Nowym-Orleanem, zawiera układy za ich pośrednictwem, a tutejsi uczeni pragną myśli twojej coraz szersze nadać rozwinięcie.

Wszystko w ogólności co nadaje ruch, co ułatwia zbliżenie się ludzi i wspólne ich porozumienie, budzi zajęcie w tym kraju. Widziałam w Waszyngtonie przeszło dwanaście tysięcy wzorów machin, których wynalazcy otrzymali na nie patenta swobody, uważałam, że wszystkie te maszyny miały na celu przyspieszyć ruch, zaoszczędzić czas i siłę. Widać nawet pomiędzy dziećmi popęd tego rodzaju. Będąc raz w szkole małych chłopców, uważałam, że gdy im kazano nakreślić na tablicy to, co w pierwszej chwili przeleci im przez głowę, wszyscy niemal wzięli

się do statków parowych i lokomotyw. W życiu amerykańców ogromny też ruch panuje. Rzeki i strumienie przecinające tę część ziemi w rozmaitych kierunkach, ułatwiają wzajemną styczność między ludźmi. Ludzie i towary, myśli i wszelkie przedmioty, przebiegają z kraju do kraju, ze wschodu na zachód, z północy na południe; nic tu nie zostaje na miejscu, nie nie odpoczywa, chyba wyjątkowo.

Instynkt wrodzony, który wiedzie amerykańczyka do spożytkowania całej swej części ziemi, nadaje mu czynność niezmordowaną. Ztąd to i rządy i prywatni ułatwiają wszelkimi siłami rozwinięcie nauk praktycznych. Geologia, chemia, fizyka i t. p. nauki kwitną tu w całym znaczeniu. Uczniowie zwiedzają tłumnie nowe kraje przyłączone do Związku; powstają wszędzie coraz to nowe instytucje, których celem jest rozpowszechniać pożyteczne wiadomości, mianowicie pod względem nauk przyrodzonych i mechaniki. Takimi są: instytut Franklina w Filadelfji, tudzież Zakład Smitha w Waszyngtonie, którego pyszne gotyckie budowle przegładają się w wodach Potomaku.

Przelotnie tylko wspomnę o życiu w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Rozpoczęłam przegląd tej części świata od Stanów położonych na wschodzie. Spostrzegłam tam wielką powagę i chęć pracy. Siła jakaś wewnętrzna pcha naprzód i ręce i umysły. Wszelkie tamtejsze zakłady naukowe, rękodzielnie, przytułki dla cierpiących, instytucje przeznaczone na podźwignienie upadłej ludzkości, godne są rzeczywiście uwielbienia. Całe społeczeństwo idzie niewątpliwie drogą postępu. Widziałam przed zimą wspaniałą Hudson i brzegi jego zarosłe różnobarwnymi lasami i widziałam rzeki, doliny i góry Connecticutu i Massachusettsu i patrząc na nie pomyślałam mimowoli o Szwecyi, przyroda mego kraju i tych okolic, zbliżona w nieje-

dnem do siebie, też sama tu i tam zima, też same pociechy i niedole.

Widziałam potem na południu piękną Karolinę i Georgję, wielkie bogactwo przyrody zachwycało mnie tu nad wyraz. Radabym umieć opisać te rzeki ezerwonem płynące korytem, te dziewicze lasy po brzegach, nie tknięte ręką człowieka, gdzie nie ma śladu ludzkich siedzib, gdzie zwoje bluszczu i pnących roślin, fantastycznie oplatają drzew wierzchołki. Wszędzie tu przyroda młodzieńcza, zaledwie z oddechu wyzwolona. Olbrzymie kształty dziewiczego lasu przedstawiają na przemiany portyki i sklepienia, piramidy, grotty, sfinksy, smoki, pilastry uwieńczone kwiatami, ołtarze, tryumfalne bramy i tajemnicze grobowce. Las dziewiczy, to senne marzenie świata, pełne uroczej poezyi! Zdało mi się, że jestem tu w trzeci dzień stworzenia, gdy na słowo Boże *stań się*, ziemia otworzyła macierzyńskie łono i wydała z siebie tysiące najpyszniejszych roślin, zdobnych bogatą krasą młodości.

Jeżeli w Stanach północnych życie nazwać można wielką epoką dydaktyczną, na południu nazwać je można rzewną romantyczną pieśnią. Murzyni, ze swoim zagałkowem usposobieniem, ich pieśni i religijne obrzędy, miasta ocienione pomarańczowemi gajami, tarasy zdobne wiecznie kwitnącą różą i kaprifolją, gdzie spoczywają blade i piękne kobiety; liczne roje kolibrów i świecących muszek, ciemne sosnowe lasy, wśród których kwitną piękne azalje jakby anioły światłości, gdzie świegoczą stujęczyczne kosy, wreszcie uprawa bawełny i ryżu, wszystko to nada je romantyczną postać tym stronom.

Każdy stan jest niejako oddzielną, zamkniętą w sobie całością. Każdy z osobna, wydobywa z siebie wszystkie siły, rozgląda się w swoich własnych skarbach.

W tych krajach otwarte szerokie pole wszelkim próbom i doświadczeniom. Człowiek wszystkiego gotów tu popróbować, nawet niepodobieństwa, myśl nawet szalona z pozorów, znajduje tu swoich stronników. Słyszałam, jak amerykańkanie mówili żartobliwie, że gdyby kto usiłował dowieść, że lepiej chodzić na głowie niż na nogach, znalazłby wnet i szkołę i uczniów, którzyby chcieli sprawdzić jego dowodzenie. Nie jedno przedsięwzięcie, równie prawie zuchwałe, otrzymało tu pożądaną owoc. Tak się niedawno stało z przywożeniem lodu w strony podzwrotnikowe. Pierwszy który tę myśl powziął, uważany był długo za waryata. Dziś wywóz lodu na południe stanowi główną gałąź handlu Ameryki północnej. Niezliczone okręta przywożą wielkie jego bryły z jezior pod Nowym Jorkiem, tudzież z okolic Massachussetsu. Gdy pierwszy statek naładowany lodem przybił do Hawanny, wrzucono w morze cały ładunek, w mniemaniu, że lód był zatruty. Ameryka północna jest krajem doświadczeń i pomysłów. Pierwsze dzieła dokonane na tem szerokim polu, dalekie widoki otworzyły na przyszłość. Jeden z synów północnej Ameryki ściągnął piorun z łona chmury i odebrał mu palną siłę, drugi za pomocą pary przypiął skrzydła wszystkim ludom ziemi, trzeci, błogosławionym pomysłem zobojętnił boleść fizyczną, uspił męczennika w chwili męki. Wszystkiego tego dokonał naród w poranku dni swoich, w pierwszym wieku istnienia. I jakież będzie południe takiego narodu? Spełni on więcej jeszcze, bo śmiało podąża do celu, nie oglądając się na nic, bo ma wzrok baczny, szlachetną odwagę i wytrwałość nieustraszoną. Gdy po skończonym tygodniu pracy przyjdzie jego niedziela, wtedy z większym niż dotąd zapałem podniesie oczy w górę, spojrzy w świat nadzmysłowy, poczyni w nim odkrycia

i na ostatek wnuknie w owe sfery, które ludzkość ściga dotąd nadzieją i przecuciem.

Chej przyjąć, miły przyjacielu te uwagi, jakby kłóśców kilka zerwanych w przelocie na szerokim polu. Gdy skończę moją wędrówkę i powrócę do was, kto wie, może bogatsze przyniosę wam plony. Zwiedzę tymczasem północne krańce Stanów Zjednoczonych, białe góry Nowego Hampshire (Hampszyru). indyan w Minesota i ogromny *Zachód*, cudowny *Zachód*, jak go tu nazywają i tę niezmierną dolinę Mississipi, gdzie jak powiadają, dwieście pięćdziesiąt milionów ludności znajdzie chleb i wygodne pomieszczenie, gdzie najpiękniejsze zboża amerykańskie rosną w takiej obfitości, że mogłyby wystarczyć, jak mówią na potrzeby całych Stanów Zjednoczonych. Tam dopiero można pochwycić wzrost i życie amerykańskiej cywilizacji.

Jeżeli matka moja i siostry pozwolą, przepędzę jeszcze jedną zimę w Ameryce. Gościnność niezrównana z jaką mnie tu podejmują, ułatwi mi sposób odwiedzenia dalszych okolic. Naród ten ma ciepłe młodzieńcze serce, należy mu to przyznać; łatwo przyjmuje wrażenia intelektualne, co także udziałem bywa młodości. Ameryka jest ziemią gościnną, nie tylko dla ludzi, ale i dla myśli ludzkiej, widać to po czci, jaką otacza uczonych i literatów europejskich. Czuję, że tu się rozwinie w przyszłości nie jedno ziarno posiane przez poetów i myślicieli skandynawskich.

Zamieszczam w tym liście kilka słów do Andersona. Jego „Przygody,” mają tu zarówno jak i u nas, wielu tak małych, jak i dorosłych czytelników. „Czyż on nie myśli zajrzeć do Ameryki?” — zapytują mnie często. Za wiele pomiędzy wami wody, odpowiadam na to, w duszy zaś do-

dają — i za wiele ognia. Gdyby jednak Anderson mógł przetrwać szczęśliwie próbę ognia i wody, dziękowałby Bogu, poznawszy tę zachodnią półkulę i jej ludność.

Bogdajbym mogła zająć miejsce w twej pamięci szanowny panie, jako wdzięczna i szczerą przyjaciółką.

XXI.

Rose-Cottage (Willa róż) 20 Sierpnia 1850.

Z wielką radością odebrałam list twój, droga Agato. Cieszę się, że ratujesz zdrowie kąpielami w Marstoand. Jakże mi boleśnie, że nie mogę być przy tobie! Podróż moja z konieczności przeciągnąć się musi. Niepodobna naglić jej, chcąc aby jakąkolwiek przynieść mogła korzyść. Na zachodzie muszę zabawić przynajmniej trzy miesiące, to jest do listopada. Mogłabym wprawdzie powrócić do was w grudniu, ale obawiam się żeglugi zimowej, a wreszcie pominęłabym wiele ciekawych przedmiotów w Ameryce, które usilnie poznać pragnę. Dorzuciwszy pięć miesięcy do zakreślonego na wędrówkę czasu, w Bogu nadzieja, że wszystkiemu podołam.

Umyśliłam jechać z Markusem i Rebeką do Cony-Island, w okolice Nowego-Jorku, gdzie wezmę jeszcze kilkanaście kąpeli. Potem, przyjaciele moi odprowadzą mnie trochę ku zachodowi. Popłyniemy w górę Hudsonem, aby poznać sektę *Drżących* („Szecherów“) w New Libanon. Zastanę tam Lowellów (Lauelów) i udam się z nimi do Niagary. Żałuję bardzo, że mi czas nie pozwala

odwiedzić Downingów (Dauningów), poświęcę im za to kilka ostatnich tygodni mego pobytu w Ameryce.

Rose-Cottage 24 Sierpnia.

Cały Nowy-Jork, podobny teraz do ogromnej owocarni pełnej moreli i brzoskwiń; a jakie to tu brzoskwinie! Zda się, że pochodzą z Hesperyjskich Ogrodów. Mnóstwo tu owoców wszelkiego rodzaju, wszyscy od bogatych do najuboższych mogą się nimi nasycić do woli.

Obeszło bardzo przyjaciół moich zapadłe na kongresie prawo, obowiązujące wydawać zbiegłych murzynów. Mnóstwo tych biedaków opuszcza na gwałt Stany północnej Ameryki, gdzie się oddawna osiedlili i ucieka do Kanady lub przez Ocean do Anglii. Właścicielowi. Naród oburzył się wszystkim, ale nie śmiał okazać jawnego oporu. Dzwony Bostonu zabrzmiały żałobnie. Dzielę boleść przyjaciół moich nad hańbą swego kraju. Czują oni głęboki żal, nie do mieszkańców południowych, ale do tej części współrodaków własnych, co dla miłości bawełny, odrzucili najszlachetniejsze swoje prawo. W mojem przekonaniu jednak, ten wsteczny krok nie wstrzyma postępu. Prawda musi nakoniec wyjść zwycięzko.

Zajmują się tu bardzo w tej chwili straceniem profesora Werbstera. We wszystkich zakątkach Stanów Zjednoczonych ta smutna przygoda celem jest powszechnych rozmów. Webster wyznał nakoniec, że był mordercą; dowodzą jednak, że popełnił zabójstwo w osobistej obronie. Niemniej jednak sędziowie z Massachusettsu skazali go na karę śmierci. Ksiądz unitaryusz Pibody (Peebody) był

przy nim do ostatniej chwili. Przestępca szedł na rusztowanie ze spokojną rezygnacją. Zona i biedne dzieci przekonane były długo o jego niewinności; postępują bardzo uczciwie i szlachetnie, pracują na utrzymanie życia i odmówiły stanowczo pieniężnego wsparcia od wdowy po zamordowanym. Jedna z córek zamężna mieszka w Maderze. Szczęście dla niej, że nie patrzy na ojcowską hańbę. Pomimo dowiedzionej Websterowi zbrodni, opinja powszechna w Stanach Zjednoczonych potępia karę śmierci, w tej nawet okoliczności żądano jej obalenia. Egzekucye w Ameryce odbywają się po więzieniach.

Cony-Island 26 Sierpnia.

Otóż jestem znowu nad morzem. Miejsce to smutne i trochę dzikie, ma jednak pewien niezwyčajny powab. Księżyc rozstrzela srebrne promienie po szumiącej fali. Przechadzam się wieczorem po tamie z Markusem i Rebeą. W domu Rebea opowiada mi zajmujące szczegóły swego cichego życia. Nocą, okrągłe lub podługowate światełka błyszcą na piasku nadbrzeżnym, pomiędzy zarastającymi go drzewami. Jest to rodzaj czarnych ślimaków morskich, których tu używają na wieczerzę, przypiekając je nad lekkim ogniem; podług mnie lepsze są nierównie od ostryg. Powietrze znacznie ochłodło, kąpiele wzmaeniają nadzwyczaj; jesteśmy tu swobodni i szczęśliwi.

27 Sierpnia.

Zabieram się więc stanowczo do wyjazdu na zachód. Kraj ten roztacza się przedemną przysłonięty niby bajecz-

nym pół cieniem, niby mgłą tajemniczą, wiem tylko o nim, że wielki, bardzo wielki. Ale czy go zaludniają bogowie, czy olbrzymy, lub też inne duchy pogańskie, tego nie wiem i o tem właśnie pragnę się naocznie przekonać. Przeczuję, że Thor i Loke ¹⁾ toczą tam jeszcze zawzięte walki ze sobą, że djabły aż się roją w owych stronach. Wnoszę to z mnóstwa krążących tam podań o duchach, które dobiegły moich uszu. Dzienniki zachodnie zajmują się niemi bezskutecznie: jedne mówią o nich napół żartem, drugie z całą powagą. Góry Alleghany i wodospad Niagara, są to olbrzymie strażnice, rozstawione na czatach u bram tego nowego raj, najświeższego ludzkiego ogniska. Tylko, że cherubiny nie bronią tam przystępu.

Ludy europejskie garną się na zachód całą siłą. Zachód, to wielki raj, przecięty ogromnemi rzekami, kędy rośnie drzewo życia i śmierci, gdzie głos Boży i słowa zdradliwego węża mówią niebawem do nowych śmiertelników.

Zobaczę więc ten wielki, zagadkowy zachód, jego rzeki i wodospady, jego olbrzymie jeziora i dolinę Missisipi i góry Skaliste i kraj po nad Oceanem Spokojnym, zobaczę ojczyznę bawołów i kolibrów; kraj, w którym miasta, pod okiem jednego pokolenia olbrzymich dorastają rozmiarów, kędy hasłem wzrost i postęp. Ujrzę tę ziemię obiecaną, tę ziemię przyszłości. Ona jak wyrocznia starożytna, rozwiąże mi nie jedno pytanie.

Mam koszyczek pełen bananów i brzoskwiń. Duch mój opiekuńczy jest ze mną, twój list ostatni położyłam blisko serca, jadę więc wesoło na zachód.

¹⁾ Bóg siły i Bóg złego z mitologii skandynawskiej.

XXII.

Albany, Nowy-Jork (New-York) nad Hudsonem.

Deszcz okropny, istny potop, nie pozwala mi obejrzeć się po mieście, biorę więc pióro do ręki i rozpoczynam na nowo przerwana z tobą gawędę. Mówiłam ci podobno w ostatnim liście, że Rebeka i Markus mieli mi towarzyszyć do New- (Niu) Libanon, gdzie miałam poznać towarzystwo *Drżących*. Popłynęłam więc Hudsonem w dzień prześliczny, ujrzałam znów górzyste brzegi tej rzeki, rzuciłam okiem na gościnny dach Downing'ów i używałam życia, z naturą, z Rebeką i z małą Eddy, podczas gdy wspaniały nasz statek, postępował wzdłuż rzeki. Nad wieczorem przybyliśmy do Hudsonu, niewielkiego miasteczka, gdzieśmy wylądowali i najętym powozem ruszyliśmy do New-Libanon, miejsca sławnego mineralnym źródłem, z kąd o parę staj leży osada *Drżących*. Tegoż samego wieczora poszłam tam z Markusem, pragnąc prędzej powziąć o nich jakiegokolwiek wyobrażenie.

Widzieliśmy domy drewniane, pomalowane żółto, o dwóch piętrach, zbudowane kształtnie, pokryte dachówką. Stawiane są na wzgórzach, a wyższe jeszcze pagórki panują po za niemi, co malowniczą nadaje im postać. Widok z domów rozległy, szyby wielkie. Życie *Drżących* nie tak ponure, jak je sobie wyobrażałam. Widzieliśmy kilku braci w polu; zbierali wspólnie potraw, ale po mału, bez pośpiechu.

Wczoraj, jako w dzień niedzielny, byliśmy na nabożeństwie. Kościół jest w kształcie wielkiej sali, może

objąć do trzech tysięcy zgromadzonych. Okna w nim wielkie, ale żadnej nie dojrzeć nigdzie ozdoby. Wchodząc, zdziwiłam się na widok mnóstwa śmiertelnie białych kobiet, siedziały wzdłuż muru na rozstawionych rzędem krzesłach, jakby trupy albo mumje; były to niewiasty z towarzystwa *Drżących*. Ten obraz prawdziwie okropny, miał swoją zajmującą, bo nadzwyczajną stronę. Wszystkie siostry miały spódnice białe, szare, lub jasno-żółte w pasy, trzewiki na wysokich obcasach, chustki białe, obwiązane w około piersi. Suknie ich zrobione bez żadnego wcięcia, nadawały im kształt grubych kłoców. Na głowach miały czepki, z nasuniętymi na twarz welonami, które przyniebieszczone trochę, nadawały ich cerze trupią barwę.

Bracia *Drżący* weszli orszakiem i stanęli po drugiej stronie sali; mieli wszyscy pończochy, trzewiki na obcasach, kamizele bez rękawów, koszule czyste, włosy przystrzyżone nisko nad czołem, a na kark spadające w długich kędziorach. Zgromadzenie, złożone z czterechset około osób, zasiadło na ławkach naprzeciwko siebie. Dwie siostry przyniosły grzecznie kilka ławek cudzoziemcom, których była znaczna liczba. Wkrótce *Drżący* powstali co żywo, pousuwano ławki, bracia i siostry zatrzymali się chwilę, jedni naprzeciwko drugich; starzec jakiś wystąpił, przemówił słów kilka, ale nie mogłam dosłyszeć jego słów. Nakoniec bracia i siostry zaczęli śpiewać i tańczyć, to postępując naprzód, to usuwając się w tył drobnym krokiem. Nuta pieśni dość była wesoła. Powtarzano za każdą zwrotką jednakową przygrywkę, podczas której wszyscy wybijali takt obcasami i klaskali ochoczo w ręce.

Na chwilę umilkła pieśń i tańce ustały. Nowy mówca wystąpił. Poczem znowu rozpoczęto płąsy. Wszyst-

ko razem było nudne i nieożywione. Te blade kobiety, ubrane jednakowo, drepczące w kółko ze spuszczone mi ku ziemi oczyma, wydały mi się podobniejsze do maryone-tek, niżeli do żywych istot. Twarze ich dość miłe, ale im brak wyrazu, żadnej nie widziałam prawdziwie ładnej między niemi. Mężczyźni trochę byli swobodniejsi, tańczyli z większem życiem, ale śmiesznie. Umilkli powtórnie i znów obsiedli ławy. Wtedy brat czterdziesto-letni z wą-kiem czołem i zakłęśniętymi oczyma, stanął naprzeciw wi-dzów i rzekł mniej więcej te słowa:

„Widzicie nas zebranych w sali, którąśmy zbudowali sami, aby spełniać w niej obrzędy naszego wyznania. Je-żeliście przyszli po to tylko aby nas widzieć, bez żadnych złych zamiarów, pozdrawiamy was szczerze. W przeci-wnym razie, wcale was nie potrzebujemy. Pogadajmy so-bie teraz, zobaczymy, w czym się różnią nasze zasady.“ Dalej skreślił obraz stowarzyszenia *Drżących*, wystawiając ich stosunek do światowego społeczeństwa; pierwsi wyrze-kli się świata i myślą tylko o niebie, gdy drudzy przeci-wnie ubiegają się wyłącznie o ziemskie uciechy. Usłysze-liśmy surową naganę za nasze grzechy. Snadnoby nam przyszło zbić dowodzenia brata, ale nikt się nie odezwał, wszyscy milczeli uporczywie. Płasy rozpoczęły się znowu, utworzono główne koło i kilka innych pomniejszych. Co-raz większa wrzawa powstawała w sali.

Po niektórych twarzach pot płynął strumieniem. Łatwo było dopatrzeć, że ten taniec był symbolem życia, dowiedziałam się później, że oznaczał pochód dusz, po trudnej jego drodze. Mimo woli przypomniął mi się ta-niec króla Dawida przed arką, kiedy przygrywając na har-fie, śpiewał chwałę Pana.

Obrzęd zakończył się spokojnie. Bracia i siostry pozabierali z sobą ławki i rozeszli się każdy w swoją stronę. Co do mnie jednak, pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej, zapytałam więc braci, czy mi pozwolą przyjść do siebie na pogadankę. Przystali chętnie, zaprosili mnie na obiad. Nie mogłam przyjąć zaprosin, czekałam bowiem co chwila na Lowellów. Zjadłszy obiad z Markusem i Rebeką, powróciłam znowu do osady, głębokie panowało w niej milczenie; cudzoziemcy się rozjechali, słońce pełnym blaskiem oświecało żółte domy, odbijające wydatnie na tle zielonych pagórków.

Dwie siostry przyjęły nas i poprowadziły do izby, gdzie było kilka zgromadzonych kobiet i młodych dziewcząt. Niewiasty i mężczyźni w pewnym wieku, stanowią tu tak zwaną starszysznę. Stowarzyszenie w New-Libanon, dzieli się na dwie rodziny, północną i południową. Każda rodzina ma swoje domy, swój oddzielny zarząd i osobne gospodarstwo.

Zadawałam pytania starszysznie i przekonałam się, że nie mogli mi na nic odpowiedzieć. Jeden z tych ludzi był bogaty i przystał do zgromadzenia *Drżących*, oddawszy im znaczną część majątku. Później jedna z córek przybyła do niego, człowiek ten, stary ale krzepki, wyglądał jeszcze nie źle, twarz jego więcej wyrażała uczucia, niż rozbudzonej myśli. Drugi ze starszych, miał postać szlachetną, prawdziwie patryarchalną, obydwaj nie wiele umieli mnie objaśnić. Kobiety wydały mi się łagodne, ale ograniczone; znalazły tu ochronę przed burzą, dosyć im było na tem.

Ale starszy, Ewans, z czołem wązkiem i zapadłemi oczyma wszedł do izby i rozmowa inny wzięła kierunek. Zdziwiłam się bardzo, widząc w tym zagorzałym mówcy,

człowieka prawdziwie rozsądnego. Rozumiał dobrze zasadę społeczną *Drżących* i umiał z niej zdać sprawę. Miałam z nim długą i zajmującą rozmowę.

Jaką myśl przywiązujecie do waszego tańca? — zapytałam.

— Wyrażamy tym sposobem uczucia naszej duszy — odpowiedział. Taniec wyobraża naszą wiarę, daje nam wskazówkę obowiązków naszych.

Opowiadał mi potem, iż zasadą ich jest żyć w bezżeństwie, aby prędzej sprowadzić koniec świata.

Zapytałam młodej dziewczynki: czy wy bardzo kochacie jedni drugich?

— O tak, kochamy — odpowiedziała. I ciemno błękitne jej oczy zabłysły na te słowa. Uważałam w ogóle wielkie uszanowanie młodzieży dla starszych.

W pośród naszej rozmowy James (Jakób) Lowell wbiegł spieszenie na wschody, otworzył drzwi i zastał mnie siedzącą wpośród tych sekciarzy. Twarz jego świeża i młoda, zaświeciła jak słońce w tem bladym zgromadzeniu. Lowell przybył z Maryą, powitaliśmy się najserdeczniej w obec siostr i braci, którzy ze szczerem na nas poglądali współczuciem. Zaprosili nas wszystkich na wieczerzę, ale Lowellowie woleli powrócić do New-Libanon, bo Marya czuła potrzebę spoczynku.

Markus, Rebeka i ja zeszliliśmy do sali, gdzie dla nas umyślnie zastawiono stół herbata, mlekiem, chlebem, masłem, ciastami i smażonemi owocami w wielkiej obfitości. Siostry posługiwały same, starsi zasiedli także, ale wcale nie jedli. Rebeka rzekła do jednej siostry, gdy ta jej coś podawała: „Taką masz postać miłą, że cię muszę pocałować.“ Siostra uśmiechnęła się łagodnie i wdzięcznie przyjęła pochwałę. Kilka innych kobiet w średnim wieku we-

szło do sali; na twarzy wszystkich jaśniała słodycz i dobroć. Przyszedł mi na myśl poranek wrześniowy w Szwecyi; powietrze czyste jeszcze, murawa zielona, a jednak krajobraz jakiś smutny; brak słońca, brak śpiewu ptastwa; brak kwiatów.

Siostry nadzwyczaj były przyjacielskie i uprzejme. Uścisnęły mnie serdecznie na pożegnanie. Odeszłam wcale dobrze uprzedzona o towarzystwie *Drżących*. Osoby które miały bliższe z niemi stosunki, wiele mi mówiły o ich miłosierdziu względem ubogich, o troskliwości z jaką pielęgnują powierzone im dzieci. Panna Hunt, mój miły doktor z Bostonu, nie mogła się wypowiedzieć, jakie starania mają o chorych, należących do zgromadzenia. Mówiła mi jak wiele istot zniechęconych do świata, opuszczonych kobiet, słowem ludzi doświadczonych losem, znalazło u *Drżących* bezpieczną przystań wpośród codziennej burzy, pozyskało przyjaciół, starania, wygodę i spokój życia, których im świat odmówił. Jest to rodzaj zakonnych zgromadzeń.

Jeden ze starszych, Ryszard Buskwell, dał mi przy pożegnaniu książkę o powstaniu i urządzeniu kościoła lat tysiąca, czyli zgromadzenia zwanego *Drżącymi*. Wyczytałam w niej, że ta sekta zawiązała się we Francyi, w Delphinacie, przy końcu XVI-go wieku. Mnóstwo mężczyzn i kobiet wpadło w jakieś uniesienie religijne, które uważali jako skutek objawienia Ducha Ś-go. Mieli różnego rodzaju wizye, tudzież powołanie wewnętrzne do życia świętobliwego i zupełnie oddanego Bogu. Prześladowani we Francyi, ci sektarze wyszli po części do Anglii.

Anna Lee (Li), córka kowala, dziewczyna młoda, która od dzieciństwa miewała zachwyty i objawienia, poznała się z owymi francuzkimi sektarzami, a lubo nie umia-

ła ani czytać, ani pisać, jednak w znajomości Biblii i rzeczach świętych odznaczyła się wkrótce nauką. Po wielu walkach wewnętrznych, od których wychudła na ciele, doszła do stanu ciągłego uniesienia, wtedy to umysł jej i serce odrodziły się nowem życiem i Anna Lee stała się duszą sekty uznającej nadprzyrodzone objawienie. Potężna wiara i zapał zastąpiły u tej kobiety naukę i wykształcenie. Anna ujęła w pewne prawidła i oparła na słabych zasadach zbląkanę wyobrażenia sektarzy. Wiara jej opierała się na tem, że świat upadłszy przez pierwszą Ewę, odrodzi się przez drugą. Czystość myśli i zwrót jej do Boga, żywot poświęcony pracy na pożytek siostr i braci, koniecznymi były warunkami odrodzenia.

Sekta *Drżących* uznała w osobie Anny Lee nowe objawienie Boga na ziemi. Nazwano ją więc: „Matką Anną Lee“ i poczęto rządzić się jej prawami. Tańczące obrzędy zaprowadzone przez nią, a kończące się zwykle konwulsyjnym wysileniem, oburzyły lud. Annę i jej współwierców wtrącono do więzienia. Jednak wkrótce odzyskali wolność, z warunkiem, że odstąpią swych błędów. Wszelkie pogrożki okazały się daremne. Zjednoczywszy się znowu, odprawiać jęli śpiewy i pąsy na chwałę Bożą. Prześladowani bezustannie w Anglii, obrócili oczy na Amerykę; Anna Lee miała widzenie, aby założyć towarzystwo sektarzy w New-Libanon.

W roku 1774 popłynęła za morze z małą garstką zwolenników swoich, podczas gdy okręt kołysał się na falach, sektarze śpiewali i płąsali z uniesieniem. Kapitan okrętu nie wiedząc co to znaczy, zagroził, że powrzuca wszystkich w morze, jeśli nie zaprzestaną swych szalonych skoków. Nie ustraszyło ich to bynajmniej. Wtem nagle powstała burza, deska oderwała się od statku, woda na-

plywać zaczęła. Kapitan zagniewany na sektarzów. ich bezbożnym obrzędem przypisał wydarzony wypadek, chciał już doprowadzić groźbę do skutku, gdy Anna Lee zawołała w uniesieniu:

„Miej odwagę kapitanie, włos ci z głowy nie spadnie. Widzę jak dwaj aniołowie stoją u maszty.“ I w tejże chwili (mówi podanie) nowy bałwan uderzając, wrzucił deskę na właściwe miejsce i woda przestała napływać. Burza też uspokoiła się wkrótce. a kapitan dał pokój sektarzom. Odprawiając nieustanne płasy i śpiewy, przybyli nakoniec na ziemię Nowego-Świata.

Matka Anna Lee z garstką swoich wiernych zakupiła ziemię niedaleko brzegów Hudsonu, wykrudowali pustynię, zbudowali domy i w roku 1776 założyli pierwszy kościół, nazywając go New-Libanon.

Mąż Anny Lee, którego poślubiła przed zawiązaniem sekty, z początku należał do liczby jej zwolenników; następnie wpadł w pijaństwo i inne występki. Stowarzyszenie w New-Libanon wzrosło pod zarządem Anny i dało początek kilku innym zgromadzeniom, Anna odwiedzała je wszystkie i szerzyła w nich swoją naukę. Umarła w późnym wieku, kochana i ceniona od swoich.

Przepisy jej łagodne są w ogólności, zalecają pracę i oszczędność. Śmieszna jest jednak pycha tej kobiety, która się mniema być nowym Chrystusem.

Anna była wzrostu małego, krępa, ale dość kształtna. Cerę miała białą, rysy regularne, oczy niebieskie przenikliwe, wyraz twarzy pełen powagi i słodyczy. Jej zwolennicy widzieli w niej najwyższy ideał ziemskiej doskonałości.

Jest dziś w Stanach Zjednoczonych ośmnaście zgromadzeń *Drżących*, rozsianych na przestrzeni od New-

Hampshire, aż do Ohio (Ohajo) i Indyany. Cała sekta liczy zaledwie cztery tysiące członków. W New-Libanon jest ich do ośmiuset, to zgromadzenie najliczniejsze ze wszystkich, rozciąga władzę nad innymi. Własność bywa u nich wspólna, nikt nie posiada nic wyłącznie dla siebie. Starsi czynią równy podział pomiędzy wszystkich i utrzymują ład w zgromadzeniu.

Stowarzyszenie w New-Libanon zamożne jest bardzo; przykupuje coraz to nowe posiadłości, żyje z rolnictwa, z chowu bydła i rzemiosł. Wyroby ich są trwałe, ale bez smaku, kolor szaro-żółty panuje u nich wyłącznie. Żyją dobrze, wygodnie, ale bez zbytku, pracują wszyscy dla wszystkich. Dość już pawiłam ci o tych sektarzach, trzeba więc do innego zwrócić się przedmiotu. Przepędziłam wieczór z Markusem i Rebeką i w końcu pospierałam się z niemi. Szło o to, że chcieli koniecznie zapłacić za mnie koszta podróży i pobyt w hotelu. Uważają mnie oboje za siostrę.

Springowie powrócili nareszcie do Nowego-Jorku, a ja w towarzystwie Lowellów kieruję się na zachód. Deszcz złapał nas rześysty, gdyśmy z jednego statku przesiadali na drugi. Zmoczeni jak flisy, wysiedliśmy w Albany.

Jestem obecnie w samym ognisku najludniejszej i najzamożniejszej prowincyi Stanów Zjednoczonych. Stany Nowego-Jorku nie mają jednak tak zajmujących podań jak Pensylwanja i Georgja. Chęć zysku zaludniła ten kraj wyłącznie; hollendrzy pierwszymi tu byli osadnikami, ztąd nazwali kraj Nową „Neerlandyą.“ W interesie kompanji holenderskiej Hudson udał się do Ameryki i odkrył rzekę, której dano jego nazwisko. Wielu tu jeszcze pozostało holendrów; duch spekulacyjny wyłącznie panuje.

Niagara 7 Września.

Piszę do ciebie wśród huku i szumu Niagary, tego słynnego cudu Nowego-Świata. Piękna, cudnie piękna Niagara! a jednak tak prosta, tak łatwa do pojęcia, że od razu wyraźne i niezatarte wyciska na duszy wrażenie. Zrazu nie odpowiedziała memu oczekiwaniu, pomału jednak urok wzrastał i oko moje coraz nowe odkrywało w niej piękności.

Noc ciemna w tej chwili, słyszę tylko łoskot i szum bijącego za mem oknem wodospadu. Pod tym wpływem opowiem ci, moja Agato, przygody i wrażenia ostatnich dni podróży.

Pisałam do ciebie z Albany, deszcz ulewny zatrzymał nas pierwszego dnia w hotelu, nazajutrz rano chmury pierzchać poczęły, błękit nieba przebijał tu i owdzie. a radość wróciła do serca mego. Dzień był prześliczny, podróż mieliśmy uroczą przez dolinę Mohawk (Mohauk), ciągnącą się wzdłuż rzeki tegoż nazwiska; wody rzeki, rude ale czyste, płyną uroczo, przez zielone pola. Kraj piękny, uprawny i zabudowany starannie. Pomknęliśmy spieszenie drogą żelazną ku zachodowi, ku owej ziemi obiecanej, przebyliśmy mnóstwo nowo założonych miast, jako to: Syrakuzę, Rzym, Wiedeń, Amsterdam, Genewę, że pominię wiele innych. Wszystkie miłe, pełne ładnych domów i ogrodów. Są w nich i kościoły i wspaniałe ratusze, jeden mianowicie uderzył mnie wielkością i kształtem. Wszystkie te miasta podobne do siebie zupełnie.

Jechaliśmy po nad pięknymi brzegami kilku jezior. Krajobraz wiele ma wdzięku. W ogrodach otaczających

w koło domostwa, rumieniły się pyszne jabłka i brzoskwinie, złociły olbrzymie słoneczniki. Niezrównane bogactwo ziemi nie daje spostrzedz jednostajności widoków.

Przybyliśmy wieczorem do miasta Utyki, gdzie mieliśmy nocować. Podczas gdy Marya spoczywała, a Loweli czynił przygotowania do wycieczki, którąśmy nazajutrz mieli odbyć do wodospadu Trenton, wyszłam trochę, pragnąc zapoznać się z miastem, któremu dano nazwę ojczystego gniazda Katona. „Kto wie, pomyślałam, czy duch starożytnego republikanina nie powraca tu z kraju śmierci,“ jakoż przechodząc ulicą, ujrzałam na kilku domach poprzyklepiane karty i wyczytałam na nich: „że w następującą środę, wszystkie szwaczki z miasta Utyki, mają się stawić w naznaczonem miejscu, aby zabezpieczyć się od nadużyć, pod których wpływem pracują i zapewnić sobie stałe prawa.“

„O Katonie, wielki obrońco praw ludu, zwyciężyłeś to, o coś walczył, ma tu żywotną siłę duch twój, żyje tu potężniej niż w odwiecznym Rzymie. Szwaczki z miasta Utyki oddają mu świadectwo, szkoda tylko, że nie znają gramatyki i z błędami ortografji piszą obwieszczenia swoje. Mniejsza jednak o to, kiedy sens jasny jak słońce.“

Wróciłam do hotelu. rada, że odkryła ducha Katona w Utyce, ucieszona widokiem ładnych domów zdołbnych w około ogrodami.

Nazajutrz pojechaliśmy powozem i końmi (co tu zaczyna być osobliwością), do sławnego wodospadu w Trenton. Dziki i gwałtowny, rzuca się z wysokości pół mili angielskiej. Massa wody, koloru wina Xeres, spada przez rozpadliny ciemnej góry, z ogromnym łoskotem i szumem. Tu odbłyska dyamentowo na słońcu, tam znika w głębi czarnej przepaści; przeskakuje olbrzymie złomy skał i pnie

drzew odwiecznych. wszystko porywa cokolwiek napotyka po drodze, rozsiewa na lewo i prawo tumany pary i otacza nią w koło las, który drżący i umilkły, ściele się pokornie u jej stóp olbrzymich. Pyszny to widok, ale za nadto oślepia i odurza, a dziwny łoskot rozprasza myśl mimowoli. Przyroda w około dzika i urozmaicona, brakuje tylko przestrzeni.

Cały dzień spędziliśmy w Trenton, w towarzystwie tego olbrzyma. Byłabym szczerze chciała dłużej tu jeszcze pozostać, nazajutrz jednak wróciliśmy do Utyki, a ztamtąd w dalszą udaliśmy się drogę.

Kolej żelazna przerzyna ciągle piękną i żyzną okolicę. Od wielkiego pośpiechu ogień zajął się, zatrzymano pociąg i ugaszono wybuchające płomienie. Przyjęliśmy wypadek obojętnie, nie poruszając się z miejsca, bo też krótko trwało niebezpieczeństwo, uprzedzone w porę.

Przybyliśmy w południe do handlowego miasta Rochester (Roczester). Położone przy ujściu rzeki Gemesse (Dżemsi) do jeziora Ontario, posiada sławne wodne młyny. To miasto uważać można za główne ognisko handlu wschodnio-zachodniej Ameryki; wzrost jego postępuje nagle. Założone w 1812 roku przez Nataniela Rochester i kilku innych wychodźców z Marylandu, miało w 1820 roku piętnaście tysięcy mieszkańców, dziś liczy już czterdzieści tysięcy ludności. Przyjaciele Lowellów, zabrali nas do siebie, obwozili w koło miasta, pokazywali ogromne młyny. Woda obraca koła machin, a potem spada szumiącą kataraktą, jak swawolny uczeń, co odbywszy pracę szkolną, rad młodzieńczej używa swobody.

Na przeciwnym brzegu uważałam piękne ogrody, a w nich karuzele i tarcze do strzelania. Po zielonych

łakach za miastem, pasły się liczne trzody; zachodzące słońce ożywiało krajobraz.

Zwiedziłam jeden młyn dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami. Podałam kolejno rękę wszystkim poczciwym a pracowitym młynarzom i wyszłam ubielona mąką jak młynarz. Pełno było pieszych na ulicach miasta wśród mnóstwa europejczyków, widziałam także i indyan w białych płachtach, z czarnymi i twardymi włosami.

Nazajutrz byłam świadkiem pukania duchów. Owe pukania sławne na zachodzie a mianowicie w Rochester, dają się słyszeć wszędzie gdzie się obróca dwie młode kobiety nazwiskiem Fish (Fisz). Tłumy ludzi z miasta zbiegają się na to widowisko, słyszą pukania, widzą stoły wirujące bez żadnej ludzkiej pomocy i wiele innych zjawisk do których mieszają się duchy. Jedni ślepo wierzą w nadzmysłowe działanie, inni posądzają siostry Fish o oszustwo, co usprawiedliwia ta okoliczność, że biorą pieniądze za każde przedstawienie. Jednak władza miejscowa czyniła śledztwo, powiązano siostrom Fish ręce i nogi, mimo to łoskot nie ustawał. Odtąd dano im pokój.

Od lat dziecinnych tyle słyszałam o duchach, sama nawet byłam świadkiem tylu nadnaturalnych wypadków, których rozumem nie podobna było objaśnić, tyle wreszcie naczytałam się po dziennikach amerykańskich dziwnych rzeczy o tem pukaniu, że radabym usłyszeć je na własne uszy. Lowellowie także równie byli ciekawi, przybywszy zatem do Rochester, nie omieszkaliśmy odwiedzić panien Fish.

Z tych odwiedzin to tylko odniosłam przekonanie, że duchy amerykańskie nie rozumieją po szwedzku, bo mi wcale odpowiadać nie chciały. Dziwię się mocno, że osoby rozsądne chcą za pomocą pukających duchów utrzymy-

wać związki z istotami drogiemi ich sercu, które już nie istnieją na ziemi. Ale niestety! boleść serca może niekiedy zaprowadzić daleko. Podług mnie, związek z duchami i aniołami istnieje niewątpliwie, ale wznioślejszy i świętszy.

Z tego miejsca, które nie miłe sprawiło na mnie wrażenie, poszliśmy odwiedzić Fryderyka Douglas (Duglas), murzyna zbiegłego z Marylandu, który wstawił się wymową i odwagą, z jaką pracuje w sprawie czarnych braci. Douglas wydaje w Rochester dziennik „Gwiazdę północną.“ Nie wychodzi z domu z powodu bólu gardła, poposiliśmy więc do niego. Zajął mnie nadzwyczaj swoją ciekawą biografją, pełną prawdy. Opowiem z niej ustęp, który ci da wyobrażenie tego szczególnego człowieka. Miał natenczas lat siedmnaście:

„Byłem trudny do prowadzenia, mówił Douglas, gdym się dostał do domu pana Cowey (Kauej); w kilka miesięcy jednak ustatkowałem się zupełnie. Pan Cowey przełamał mój uporeczywy charakter. Jakoż złamany byłem na ciele, na umyśle i duchu. Straciłem giętkość fizyczną, straciłem łatwość pojęcia, przestałem lubić książki, zgasła iskra w mem oku, ciemna noc otoczyła mnie w koło, z człowieka zostałem zwierzęciem.

W niedzielę tylko miałem chwilę swobody. Przespałem zwykle cały dzień świąteczny pod drzewem. Wstałem niekiedy, błyskawica nadziei chwilowo mignęła mi w umyśle, ale zgasła wkrótce i wpadłem w zwyczajne poníženie. Czasami miałem chęć odebrać sobie życie lub też zabić pana Cowey, ale uczucie nadziei i trwogi mimowoli mnie wstrzymywało.

Nasz dom leżał o kilka kroków od zatoki Chesapeak (Czyzapik), tam powiewały zawsze flagi wszystkich naro-

dów ziemi. Owe piękne statki, straszyły mnie jakby grobowe widma odziane w śmiertelne całuny, częstokroć latem, w pośród niedzielnej ciszy, stałem sam jeden na piaszczystym brzegu zatoki, z ciężkiem sercem, z pełnemi łez oczyma, patrząc na żagle pchane wiatrem w stronę wielkiego oceanu. Ich widok poruszał mnie do głębi, pragnąłem wyrazić myśl moją i mając Boga za jedyne go świadka, wylewałem całą bolesć duszy wołając na odpływające okręta: „Wyście oswobodzone z waszego ciężaru, a jam przykuty jeszcze do tego smutnego wybrzeża. Wiatr kołysze was radośnie po fali, a mnie krwawa chłosta nagania codzien do pracy. Wy uposażone w białe skrzydła aniołów, obiegacie świat cały, a mnie ciężka konieczność wstrzymuje tu na wieki. O! gdybym ja mógł być w tej chwili pod cieniem opiekuńczych skrzydeł waszych, ale niestety, mętne wody płyną pomiędzy nami. Płynicie spokojnie w waszą stronę! I wesołe okręty znikły mi z oczu, mgła przysłaniała je blada. A jam pozostał, jam pozostał tu na wieki! O mój Boże! ocal mnie mówiłem, bo dłużej wytrwać tak nie mogę! A gdybym uciekł? i cóż mam do stracenia, tylko życie. Sto mil na północ, a odechnę całą pierśią. Mamże popróbować? O tak! Bóg mi dopomóż; nie umrę niewolnikiem, powierzę się wodzie, ona mnie ocali! I lepsze dni zabłyszczą mi w przyszłości.“

W kilka lat potem uczynił jak zamierzył. Jego autobiografia nadzwyczaj ciekawa. Potem Douglas został literatem i zagorzałym abolicjonistą. Pracuje nad obaleniem niewolnictwa i całą siłą rozbudza uczucie godności w murzynach.

Jest to mulat, jasnej cery i bardzo miłej powierzchowności; ma lat trzydzieści kilka. W oku jego tli jakiś ponury płomień. Żona Douglasa, czarna i otyła murzyn-

ka, miłą ma powierzchowność. Do małej córeczki Rosetty mają białą nauczycielkę.

Z Rochester puściliśmy się statkiem parowym po jeziorze Ontario. Nowi znajomi odprowadzili nas do brzegu, opatrzyli w kwiaty i owoce na drogę. Rochester miłe mi pozostawiło wspomnienie.

Przebyliśmy Ontario w noc piękną i gwiazdzistą. Nadedniem wpłynęliśmy w koryto rzeki Niagary, która jest ślicznem dziecięciem wodospadu tegoż imienia. O wschodzie słońca wylądowaliśmy na brzeg i najętym powozem ruszyliśmy w stronę katarakty.

Poranek był piękny, nieco chłodny, ale jasny i pełen życia. Po dwóch godzinach drogi stanęliśmy u celu. Z daleka jeszcze ponury loskot, zwiastował nam olbrzyma.

Wodospad, jak mówiłam, sprawia wielkie i radosne wrażenie, ale nie uderza za pierwszym rzutem oka. Zbliżając się, widzimy naprzód ogromną masę wody spływającą prostopadle w kształcie wielkiej podkowy, lub półksiężyca, w szerokie i spokojne zwierciadło szmaragdowej barwy. W samym dopiero wodospadzie jawi się cała jego potęga; ale i tu więcej znać wspaniałej powagi niż dzikości. Trenton niby dziarski bohater, pełen młodzieńczej siły, zaślepiony pychą, rzuca się odważnie na zgubę. Niagara, jak bogini spokojna, poważna, nie chce pokazać całej mocy jaką posiada. Potężna jest, ale niegwałtowna; ma wielkie i spokojne myśli, co umie je natchnąć tym, co się do niej zbliżają z uwielbieniem, co umieją pojmować jej piękność. Stojąc u jej podnóża, można jednak podsłuchać myśl własną, można zrozumieć ludzkie słowo. Ona zbyt wielka, aby drugim nakazywała milczenie, dość dla niej, gdy działa na umysły potęgą swego du-

cha. Jest tem, czem niestety ludzie być nie umieją, inaczej byliby równi półbogom!

Sześdziesiąt tysięcy podróżnych odwiedza co rok Niagarę, wszyscyż odchodzą ztąd, wzmożeni na duchu, widokiem jej olbrzymiej potęgi?

Wody słynnej katarakty spływają z czterech wielkich jezior: Michygan (Mieczygan), Huron, Erie (Iraj) i Jeziora Wyższego. Prąd wody wybiegający z jeziora Erie, napotyka po drodze małą wyspę Iris i rozpada się na dwa ramiona, z których jedno tworzy wodospad Kanady, drugi zaś kataraktę Stanów Zjednoczonych, na którą pooglądam z mych okien. Pierwszy z nich, piękniejszy i wspanialszy. Pomiedzy dwoma wodospadami, jest przestrzeń dwudziestu kilku stóp, cała krzewami zarosła. Wodospad Kanady leży na głównym prądzie. Wysoka piramida pary wznosi się ku niebu, z głębokości spienionej otchłani, rozwartej u stóp wodospadu Rzekłbyś, że to genjusz katarakty wychyla mglistą głowę pod obłoki. Obadwa prądy łączą się dalej z sobą i razem spływają w rzekę Niagarę, która wpada do jeziora i z nim razem spływają w rzekę Niagarę, które wpada do jeziora i z nim razem przechodzi w szerokie łożysko rzeki S-go Wawrzyńca, tej rzeki o stu wyspach, co wodami swemi wspaniały zasila Atlantyk.

Zachwycała mnie przedewszystkiem w Niagarze śliczna szmaragdowa barwa wody. Promienie światła cudnie się łamią w milionowych pyłkach nad otchłanią i wspaniała a ruchomą tęczą okrażają wodospad. Jesteśmy tu od dwóch dni i drugie tyle zabawimy jeszcze. Rano patrzę na spadek amerykański, gdy wschodzące słońce roztrąca się o tumany pyłu. Po południu i wieczorem przyglądam się katarakcie kanadyjskiej, gdy słońce zapa-

da w stronach posiadłości angielskiej. W poranku zazwyczaj używam kąpeli w rzece Mammoth, gdzie wody wpływają z wielkim pędem do łaźni. Kąpiel taka nadzwyczaj wzmacnia. Zaraz po obiedzie spoczywam z przyjaciółmi na tarasie przed domem; patrzymy na wodospad, słuchamy jego tajemniczej pieśni. Czasami siadam na kładce po nad potokiem i oddycham czarodziejską wonią wody, która tchnie nieporównaną świeżością.

Wczoraj wieczorem przechadzałam się z Lowellem na kanadyjskim brzegu, o samym zachodzie słońca. Gra światła była prawdziwie cudowna. Wstęgi tęczy rozwijały się w różnych kierunkach i splatały uroczo. Jakież tu życie! jaka wymiana pieśni pomiędzy niebem a ziemią! W miarę jak słońce zapadło, łuki promieniste wznosiły się w górę i złościły obłoki rozsiane po sklepieniu. Błada-różowe chmury spływały lekko po nad szmaragdową kataraktę, a po obu stronach las ciemny, strejny jesien-siennemi barwy, pokrywał bujnie wysokie wzgórza. Cisza głęboka panowała do koła, wodospad tylko szumiał, przyroda cała słuchała go w uroczystem milczeniu.

9 Września.

Chcesz? posłuchaj, opowiem ci historię. W poranku czasów, przed stworzeniem człowieka, natura była sama przed obliczem Stwórcy. Ogrzana Jego Boskim płomieniem, oświecona blaskiem Jego oka, zbudziła się do życia. Serce jej wezbrało miłością ku temu, który dał jej miłość swoją, zapragnęła złożyć mu ofiarę i wylać pod jego stopy strumień życia, który posiada z jego łaski. Młoda, ożywiona pierwszą siłą żywota, czuła jednak jak sła-

bą jej moc, w obec wszechpotęgi Stwórcy. Coż mogła mu oddać za uczynione jej dary? I serce jej przepełnione miłością i bólem, parte siłą niepojętą, pękło nareszcie i zamieniło się w Niagarę. I dym wiekuistych kadzideł uniósł się ku niebu z głębokości otchłani. Ujrzał go Pan i w nagrodę otoczył go wieńcem tęcz promienistych. Działo się to w poranku życia ziemi, pozostało tak dotąd. Niagara, to duch natury, ulatujący wiecznie ku niebiosom, w hymnach bez słów, podczas gdy niebo otacza ją płomieniem nieśmiertelnej miłości.

Niagara, to związek żywota ziemi z nieśmiertelnym niebios żywotem. Dziś podsłuchałam jej tajemnicze słowo. Mogę śmiało odjechać, znany mi jej początek.

10 *Września.*

Odjeżdżamy dziś, cieszę się, bo cierpię nieustanny ból głowy. Ciągły huk wodospadu i prąd wiatru chłodnego, drażni mi bardzo nerwy. Nie mówiłam ci jeszcze o wielu rzeczach, ani o małym stateczku co podpływa ciągle pod samą kataraktę, aż obłany rosą, wraca znowu na miejsce; nie wspomniałam także o indyanach, którzy snują się w okolicy, ani o żelaznym moście, zarzuconym po nad potokiem. Wszystko to drobne i nieznaczące, w obec wodospadu; on też wyłącznym był celem mojej uwagi.

Kobiety indyjskie przynosiły nam na sprzedaż różne drobne wyroby, hafty na brzoźowej korze, wyobrażające drzewa i kwiaty, małe koszyczki, szczoteczki i inne drobnostki wyrabiane z trawy pachnącej. Markus i Rebeka widzieli tu przed kilkoma laty wielką uroczystość indyjską,

to jest obiór nowego naczelnika pokolenia, po śmierci dawnego. Zebrali się w ciemnym boru; po wielu przygotowaniach, młody wódz przyklęknął u nóg starej matki, która złożyła mu ręce na głowie, na znak błogosławieństwa. Kobieta mało w ogólności ceniona od indyan, nabiera dopiero znaczenia, jako matka dzielnego wojownika; niekiedy także jako czarownica, nadprzyrodzoną obdarzona mocą. Rzadko jednak bardzo kobieta indyjska oswobodzi kark z jarzma, które jej od młodości nakładają.

Ciekawa jestem szczegółów życia, tych odwiecznych krajowców Ameryki, mam nadzieję zapoznać się z niemi, podczas pobytu mego na zachodzie. Udam się ztąd na przód do Chicago (Czykago), a potem odwiedzę kolonje szwedzkie i norwęgskie w Stanach Illinois i Wisconsin.

Kilka smutnych wspomnień krąży około Niagary, między innemi przytaczają zdarzenie, które się w zeszłym roku przytrafiło. Młody człowiek z narzeczoną i małą jej siostrą odwiedzali wodospad, stojąc właśnie na brzegu młodzian wziął dziewczynkę na ręce i udawał żartem, że ją chce wrzucić do przepaści, dziecię szarpnęło się nagle, wysliznęło z rąk przyszłego brata i wpadło w przepaść. Młodzian skoczył za niem i przepadli oboje, wydobyto tylko pokaleczone ich trupy.

Rzuciłam ostatni raz okiem na pyszną kataraktę; radabym ją widzieć jeszcze w zimie, otoczoną wieńcem kwiatów z lodu, przy srebrnem świetle księżyca. Żal mi rozłączać się z dobrymi przyjaciółmi, odprowadzą mnie tylko do Buffalo.

XXIII.

Chicago, 15 Września 1850 r.

Otóż jestem na wschodnio-poludniowym brzegu jeziora Michigan, moja droga Agato, w pięknej włoskiej willi, o kolumnach korynckich, otoczonej wieńcem prześlicznych drzew i kwiatów.

Pożegnałam przyjaciół moich w Buffalo, wpośród tłumu podróżnych. Lokomotywa czekała na nich, wyrzucając kłęby pary. Nie było czasu wyrzec słowa, uśmiechnęliśmy się tylko w milczeniu; kto wie, żegnałam ich może na zawsze; Lowellowie bowiem wybierają się do Włoch z przyszlą wiosną. Miasto Buffalo wcale mnie nie zajęło. „Handel, handel,“ oto rys główny jego życia.

Wieczorem puściłam się pysznym trzymasztowym statkiem, zwanym „Ocean,“ przez jezioro Erie. Żegluga na niem bardzo ma być niebezpieczna; z powodu burz gwałtownych.

Do jeziora Erie przypiera mnóstwo kanałów, można ztąd żeglować na wszystkie strony świata. Wszyscy emigranci, którzy zakładają nowe kolonje na zachodzie, muszą płynąć przez to jezioro, to też wielu z nich znalazło grób w jego falach. Niedawno właśnie spłonął tu statek parowy pełen emigrantów, mianowicie niemców. Nie wielu podróżnych ocalało. Sternik stał u rudla i kierował statkiem, aż nakoniec płomień ogarnął mu obie ręce.

Śliczną miałam przeprawę po jeziorze, znalazłam fortepian na statku, a kapitan okazywał mi wiele względów. Nazajutrz wieczorem wysiadłam w mieście Detroit,

założonem przez francuzów. To miasto, jakkolwiek także handlowe, lepiej mi się podobało niż Buffalo, wieczorem w hotelu miłą z nieznajomymi prowadziłam rozmowę. Mieszkańcy miasta Detroit, zadowoleni z siebie i z drugich. Jest to główna cecha wszystkich miast zachodnich, przez które przejeżdżałam.

Na drugi dzień wieczorem przybyliśmy do Anna-Arbour. ładnego miasteczka na równinie. Nazwisko miasta z następującego poszło zdarzenia: Pierwsi jego osadnicy z jednej tylko składali się rodziny. Podczas gdy kradowano las i uprawiano ziemię, jedynym ich schronieniem był szałas z liści w kształcie namiotu. Tam matka Anna gotowała obiad i wieszczę; było to ognisko rodzinne, eicha przystań, gdzie pracownicy spoczywali pod czujną matki Anny opieką. Nazwano to miejsce Anna-Arbour, a nowo zbudowane miasto zachowało tę nazwę. Miejsce to wygląda w rzeczy samej na miłą i spokojną przystań.

Nazajutrz wyjechałam koleją żelazną i przebyłam półwysep Michigan. Wzdłuż drogi widziałam szerokie pola zasiane zbożem i kukurydzą, w miejscach nieuprawnych mnóstwo uważałam różnobarwnych kwiatów. Słoneczniki ogromnej dochodzą tu wielkości. O zachodzie słońca wsiadłam znowu na statek i popłynęłam przez jezioro Michigan. Obłoki purpurowe ulatały nad wodą, a księżyc świecił na niebie półsierpem. Noc była piękna a woda gładka jak zwierciadło.

Rano 13-go września ujrzałam słońce wschodzące nad miastem Chicago. Myślałam, że zastanę tu znajomych, którzy mnie uprzedzili w te strony; dowiedziałam się, że już wyjechali, nie mogąc się mnie doczekać. Ujrzałam się więc samą, na szerokim Zachodzie. Z początku

było mi to boleśnie, po chwili jednak nabrałam ducha. Stwórca czuwał nademną, słońce przyświecało mi jasno, zamknęłam się więc swobodnie w małym pokoiku gościnnym. Ale samotność moja krótko trwała. Osoby miłe bardzo i przyjacielskie, zaprosiły mnie gościnnie do ogniska, niepodobnaż było odmówić.

Wieczorem byłam już w pięknej willi, z kądem właśnie piszę do ciebie, serenada zabrzmiała w ogrodzie przy uroczym blasku księżyca. Zagrano dobrze mi znaną nutę: „jestem samotny, ale nie sam jeden.“ Temi słowami pozdrawiali mnie Niemcy osiedleni w mieście.

17 Września.

Nie piękniejszego nad tutejsze stepy, nigdy w życiu nie zapomnę ich uroczego widoku.

Chicago leży w okolicy stepów, na równinie. Ale dopiero o mil ośmnaście stąd zaczynają się właściwe stepy. Moi nowi przyjaciele chcieli mi je dać poznać. Pojechalśmy więc czterema powozami. Dzień był śliczny, niebo lazuruwe, słońce rozsiewało złote blaski po przestrzeni tego zielonego oceanu, którego fale stanowiły słoneczniki, astry i gencyanny. Słoneczniki przerastały wzrostem najwyższego człowieka.

Jedliśmy obiad w maleńkim lasku, który wyglądał jak zielony wianek na tle tych kwiecistych obszarów; stykających się z widnokregiem. Gdzieniedzie były nie wielkie drewniane domostwa, możnaby je śmiało wziąć za gniazda ptasie pływające po tym bezbrzeżnym oceanie. Gdzieniedzie także pokoszono trawy i porobiono stogi, jakby dla dziecinnej igraszki. Ziemia promieniała całym

blaskiem młodzieńczej kraszy. Ręka ludzka jeszcze jej tu nie tknęła; słońce samo pielęgnowało owe kwiaty i zioła. Słoneczniki też pochyliły głowy z miłością. Był to dla mnie dzień prawdziwie świąteczny.

Zerwałam w lasku mnóstwo kwiatów; astry wyższe były odemnie. W każdym miesiącu te stepy pokrywają się kwiatami odmiennej barwy. Na wiosnę kwitną same białe, potem następują błękitne, później znowu różowe, teraz kolej na żółte. Bawiliśmy w stepach cały dzień aż do zachodu słońca.

Odwiedziłam przy sposobności dworek zbudowany pośród stepu. Przyjęła nas stara kobieta, mężczyźni wyszli grabić siano. Dom istniał dopiero od roku, wystawiony był na wichry, ale w nim czysto było jak we wszystkich amerykańskich domach. Pytałam kobiety czy jej tu dobrze? „Strasznie nudno odpowiedziała, w koło jedno i jedno.“ Co do mnie jednak sędzę, żebym się tu nie nudziła.

Chicago 22 Września.

U miłej rodziny gdzie teraz jestem, w domu państwa Kinzie (Kinzi), nasłuchiłam się wielu ciekawych rzeczy o indyanach. Pan Kinzie jako agent rządowy prowadzi nieustannie handlowe związki z pokoleniami indyjskimi w stanach północno-zachodnich. Należy on do pierwszych tutejszych osadników. Pani Kinzie, zapisała wiele ciekawych wspomnień z miejscowego życia, wiele podań o walkach z indyanami. Niektóre z nich bardzo zajmujące, inne straszne, inne znowu rzewne, a niekiedy i śmieszne.

Historya o niewoli i uwolnieniu matki pani Kinzie, mogłaby być przedmiotem dramatu. Naczelnik pokolenia porywa dziewczynkę, przywiązuje się do niej coraz silniej, pokolenie całe nazywa ją „Lilją białą.“ Matka domaga się córki, ale nadaremnie, po kilku wreszcie latach naczelnik pokolenia przyrzeka jej, że zobaczy dziewczynkę, ale tylko na chwilę. W dzień naznaczony zajeżdża z orszakiem zbrojnych jeźdźców. zostawia ich nad rzeką, sam zaś wpław ją przebywa i rusza do obozu białych. Kiedy ujrzał jak matka i córka rzuciły się we wzajemne objęcia, poruszony tym widokiem, zawołał: „Tak jest, trzeba aby matka odebrała swe dziecię!“ i zawrócił nagle, nie śmiejąc spojrzeć na tę, którą ukochał całą duszą. Lili-ja biała wraca nakoniec w piętnastym roku życia do matki i rodziny.

Myślę, że pani Kinzie ogłosi kiedyś tę śliczną powiastkę i wiele innych, które mi czytała wieczorami. Opis rzezi w Chicago należy także do tego zbioru. Miasto zachowało dotąd ślady strasznej przygody. Zdarzały się jednak piękne czyny pomiędzy indyanami. W ogóle, pani Kinzie, jak i wszyscy którzy znają owe dzikie narody, wiele w nich dopatruje dobrych skłonności. Oboje państwo Kinzie długo mieszkali w Minnesota.

Chicago, brzydkie i wilgotne miasto, nie słusznie zowią królową jezior. Podobniejsze raczej do przekupki, całe bowiem składa się ze sklepów i kramików. Ledwie gdzieś widać domek z ogródkiem. Ulice brukowane drzewem lub niebrukowane wcale. zabudowane są drewnianemi domami. Znać, że ludzie osiedli tu dla zysku, mało dbając o przyjemność i wygody życia. Poznałam tu jednak kilka prawdziwie miłych rodzin. Różnią się tem od mieszkańców miast okolicznych, że nie tak wyłącz-

nie jak tance zamiłowani w sobie, uznają własne błędy i usiłują poprawić się z nich pomału.

Od wczoraj wieje wiatr gorący, prawdziwy włoski Sirocco. Kłęby kurzu ulatują w powietrzu i swobodnie odetchnąć nie pozwalają.

23 Września.

Wieczorem, kiedy słońce niknie na widnokręgu, gdy wiatr ustaje zwolna, idę na wzgórze panujące nad miastem i tym czarodziejskim obrazem poję oczy do woli. Smutne wtedy napadają mnie myśli. W tej pięknej okolicy zachodu, oświeconej słońcem Bożem, widzę tysiące kramów, ale za to ani jednego pańskiego przybytku. Zgubny kierunek tutejszej cywilizacyi, tajemną przejmuje mnie trwogą i smutna, bardzo smutna, powracam z przechadzki do domu.

24 Września.

Znalazłam kilku współziomków moich w tem mieście, kapitana Schneidau z żoną i pastora Unoniusa, pastora z pobliskiej parafji szwedzkiej. Należeli oni do pierwszych emigrantów szwedzkich, którzy osiedli w tych stronach, nad brzegiem ładnego jeziora, wyobrażając sobie, że będą tu wiedli życie arkadyjskich pasterzy. Niestety, zawiedli się okropnie. Okolica miała urok ziemi szwedzkiej, ale ziemia była niewdzięczna. Osadnicy za wiele własnym ufali siłom. Wreszcie przynieśli z sobą rodzinną enotę gościnności i ochotę do towarzyskich stosunków.

Każda rodzina zbudowała sobie ubogi dworek i zapraszała sąsiadów na Ś-ty Jan, na Boże Narodzenie i inne do-
 roczne uroczystości. Ale ziemia nie dość starannie upraw-
 nana, odmówiła plouu w pierwszym roku. Nadeszły plu-
 ski jesienne i zimowe mrozy: domy zbudowane naprędce,
 źle zabezpieczały od chłodu. Powstały choroby, zabrakło
 pracy, nędza zakołatała w progi. Niepodobna opisać, ile
 pierwsi osadnicy mieli do zniesienia. Wszyscy niemal
 musieli zaniechać uprawy roli i szukać w rzemiosłach pe-
 wniejszego zarobku. Chłuba dla nich wielka, że się pra-
 cą o własnych siłach podźwignąć zdołali z upadku. Ame-
 rykanie ze swej strony, poznawszy ich niedolę, szlachetnie
 przyszedli im w pomoc. Margareta Fuller (późniejsza mar-
 grabina Ossoli), podróżując na zachodzie z panią Clarke,
 zwiedziła osady szwedzkie nad jeziorem. Kapitan Schnei-
 dau, leżał właśnie złożony chorobą. Młoda i ładna jego
 żona, musiała sama w twardą zimę najcięższe podejmować
 prace. Pierworodne jej niemowlę, zmarzło jednej nocy
 w sypialnej izbie, źle zabezpieczonej od śniegu i wichru.
 Biedni małżonkowie sami byli w tej pustyni, służąca na-
 wet uciekła od Lich tajemnie. Sąsiedzi sami w niedostatku
 i oddaleniu od nich, nie mogli im przyjść w pomoc. W te-
 dy to Opatrzność przysłała im dwie pielgrzymki.

Margareta Fuller mówi o tych odwiedzinach w tej
 książce p. t.: *Lato w pośród Jezior*. ale nie wspomina tego,
 o czem się na miejscu dowiedziałam, jak szlachetnie wraz
 z przyjaciółmi zajęła się losem nieszczęśliwych szwedów
 i postawiła ich w pomyślniejszym stanie. Zgromadzono
 ich do Chicago. Kapitan pod okiem biegłych lekarzy od-
 zyskał wkrótce zdrowie; korzystając ze znajomości rysun-
 ku, najlepsze dziś robi dagerotypy w mieście, ma się do-
 brze i powszechnie pozyskał sobie współczucie. Ładna je-

go żona na pół ze łzami, na pół ze śmiechem, opowiada swoje przygody.

Prowincya *Illinois*, młoda jeszcze, ma zaledwie milion ludności, mogłaby objąć i wyżywić dziesięć razy tyle. Klimat, zwłaszcza w pierwszym roku, wcale nie sprzyja emigrantom.

Jutro opuszczam Chicago, popłynę jeziorem Michigan, do miasta Milwaukie, w prowincyi *Visconsin*. Żegnajcie was mili mieszkańcy nie miłego miasta, dopóki życia nie zapomnę zacnych serc waszych i gościnnych waszych ognisk.

XXIV.

Watertown Visconsin, 1 Października 1850 r.

Żegluga moja po jeziorze odbyła się pomyślnie; przystawaliśmy kilkakrotnie u stóp nadbrzeżnych miast, które od lat kilku powstały tu pod opieką handlu i przemysłu. Przybywszy do Millwaukie, spotkałam pana Lange, szweda, który ma w mieście dom handlowy. Zawiózł mnie do siebie i przedstawił żonie irlandce. Było to wieczorem. Nazajutrz przez całe rano musiałam odgrywać rolę lwicy, w obec mnóstwa odwiedzających mnie osób. Dostałam pełno kwiatów, książek i wierszy, musiałam być grzeczna, odpowiadać uprzejmie na pytania i grać moje odwieczne polonezy i narodowe szwedzkie pieśni.

Około południa zwiedziłam wielką pensję panien, długo wiodłam rozmowę z ładnymi dziewczátkami. Nau-

czycielki podobały mi się w ogólności. Wielkie zaszczyły teraz na zachodzie odmiany w wychowaniu kobiet, dzięki staraniom panny Becher. Po obiedzie ohwieziono mnie w koło po mieście. Położone prześlicznie nad rzeką tegoż imienia i jeziorem Michigan, wzrasta widocznie. Budują w nim obecnie ogromne szkolne gmachy. Wszystkie domy murowane z cegły blado-żółtej, miłą postać nadają miastu; zdaje się jakby spływał na nie wieczny promień słońca i złościł je uroczem. Połowę tutejszej ludności stanowią Niemcy; gdzie rzucić okiem pełno widać napisów, znaków i twarzy niemieckich. Dzienniki nawet wychodzą w niemieckim języku, wielu bowiem emigrantów z tego narodu, nie mogło nauczyć się angielskiej mowy. Składają oni na zachodzie wielką wspólną rodzinę, żyją tylko z sobą, jakby na własnej ziemi. Lubią taniec i muzykę; czem różnią się od ludów anglo-amerykańskich, które wyłącznie ubiegają się za zyskiem.

Byłam na wieczery u mera i poznałam tam wiele miłych osób. Młoda jedna kobieta odpięła z ręki bransoletkę i włożyła ją na moją, zachowam w sercu jej pamięć.

W niedzielę pojechałam z panem Lange, odwiedzić szwedzkie osady nad jeziorem. Przebyliśmy dwadzieścia i kilka mil angielskich dość pustego kraju; słońce przynajmniej stale nam przyświecało. Mała kolonja szwedzka jakkolwiek rozproszona w części, składa się jeszcze z sześciu rodzin, osiadłych w rozkosznej okolicy nad jeziorem. Miejscowość podobna zupełnie do szwedzkiej, ułudziła moich współziomków, nie uważając zatem na jałową i nieplenną ziemię, postanowili założyć tam nową Szwecyę.

Wszyscy moi współrodacy, mieszkają w drewnianych i skromnych domkach. Z pomiędzy nich kowal ma

się najlepiej. Zajął mnie rodzina Bergwall. On sam człowiek krzepki i pracowity, pracuje gorliwie około roli, hoduje trzodę i z wielkim ładem prowadzi gospodarstwo. Pocziwy to człowiek, serdeczny, wesoły, słowem szwed w całym znaczeniu. Żona jego ładna, świeża i rumiana, co się nie często zdarza w Ameryce, karmi małe niemowlę i podejmuje ochoczo rozliczne domowe zabiegi, mając tylko do pomocy małą siostrę. Obiad dała nam wyborny, lepszy niż wszystkie jakie jadłam w amerykańskich hotelach. Mleko było przedziwne, masło świeże, chleb dobrze upieczony, grzanecki doskonałe, ptaki wodne nadzwyczaj smaczne, a do tego serdeczna gościnność, miła rozmowa po szwedzku. O! była to dla mnie uczta prawdziwa.

Po obiedzie pani Bergwall zaprowadziła mnie lasem nad jezioro. Nie skarżyła się wcale, odgadłam jednak z kilku słów, że życie w tych stronach wiele przedstawia trudności. Najdotkliwszym jest zupełny brak służących, których za żadne pieniądze nigdzie dostać nie można. Podczas gdyśmy siedziały nad jeziorem obrosłem bujnemi krzewy, dał się słyszeć zdaleka głos Bergwalla, który prowadził do wody swoje robocze woły.

Udaliśmy się potem ku najdawniejszej osadzie szwedzkiej, gdzie pani Petterson, wdowa, podeszła w lata, matka mojej towarzyszkii, czekała nas z kawą. Pan Lange i ja jechaliśmy oboje małutkim, otwartym powozikiem; inne rodziny szwedzkie towarzyszyły nam wózkami uprzężonemi w woły. Między innymi był szwed, który nie dawno ożenił się z amerykanką, tłąstą i nie młodą wdową; siedziała sama na wózku z parasolem w ręku, a młody mąż szedł przy wózku i poganiał woły. Syn pani Peterson, dwudziestoletni młodzian, jechał przed nami konno

i wskazywał nam drogę wpośród gęstego lasu. Zajechaliśmy nareszcie przed śliczny domek, z otwartym widokiem na jezioro.

Pani Petterson, wysoka, niegdyś piękna, wyszła przeciwko nam oparta na kuli, pochylona, złamana, ale twarz jej wyrażała życzliwość i prawdę. Ma zaledwie lat pięćdziesiąt, trudy jednak stargały przedwcześnie jej siły. Z prawdziwą szwedzką gościnnością uraczyła nas najwyborniejszą w świecie kawą.

Pani Petterson wiele trudów wytrwała. Mąż jej musiał porzucić rolę i został szewcem. Umarł przed kilkoma laty, a biedna wdowa czując, że siły ją coraz bardziej opuszczają, zamysła porzucić dom i przenieść się do córki. Czuje, że stargała tu siły, a jednak nie żałuje przybycia swego do Ameryki. Wie, że przyszłość otwarta dla jej dzieci w Nowym-Świecie; szczęśliwa więc, że ofiarą życia okupiła im byt dobry. Wsparta tą myślą, patrzy spokojnie w mogiłę, w której niebawem złoży kij pielgrzymi.

Wchodząc do drewnianego dworku, spostrzegłam dwadzieścia zgromadzonych osób. Miło zszedł wieczór, w poczciwym szwedzkim kółku, na śpiewie i tańcach, zupełnie jak w Szwecyi.

Podczas drogi układałam sobie, jakimi słowami powitam braci w imieniu matki ojczyzny. Ale stanąwszy na miejscu wymowa mnie odbiegła. Szczęśliwa byłam, widząc się wpośród swoich, cieszyłam się, że tak wiernie przechowali obyczaj narodowy, że lubo na obcej ziemi, pozostali szwedami. Z niewypowiedzianą radością słuchałam ich pieśni, gdy za Bergwallem powtarzali znane mi dobrze słowa:

„Szwedzi! w imię króla i ojczyzny!“

Oprócz kawy, pani Petterson, uczęstowała nas wyborną herbatą, zwierzyną, owocami i mnóstwem różnych wysmienitych przysmaków, prawdziwie po książęcu. Młodzi synowie posługiwali gościom. Pani Petterson, głosem nieco chropowatym przyśpiewywała do tańca, gdyby nie reumatyzm, gotowa by sama iść w płasy. Wyprowadziłam kowala do poloneza, inne pary ruszyły za nami, wesołość ogarnęła wszystkich; młodzież ochoce wyprawiała skoki, tłusta amerykanka upadła na ławkę od śmiechu, zakończyliśmy taniec obchodząc dom do koła. Potem poszliśmy nad jezioro, noc była piękna, powitaliśmy gwiazdy uroczą pieśnią Tegnera.

Goście rozeszli się, a ja pozostałam na noc w domu pani Petterson. Zaczna gospodyni podzieliła się ze mną łóżkiem. O! panno Bremer — rzekła do mnie — bez iluż to wygod człowiek się musi obejść.

— Prawda — odparłam smutno. Spałam jednak wybornie, a nazajutrz obudziłam się o świcie.

Ze szczerem rozrzewnieniem pożegnałam po śniadaniu przyjaciół moich szwedów. Pani Petterson chciała mi dać przy pożegnaniu złoty pierścionek, jedyny, jaki jej pozostał. Oparłam się temu stanowczo. Rozstałyśmy się ze łzami.

Serdeczność, gościnność, powaga i wesołość, owe charakterystyczne cechy szwedów, wniknęły w te pustynie razem z osadnikami szwedzkimi. Ten dzień przepędzony w pocziwem ich gronie, to życie rodzinne pełne miłości, ta hojność nadzwyczajna w tak ubogiej chacie, przekonały mnie o tem wymownie. Szwedzi pozostaną szwedami nawet w Nowym-Świecie. Ich życie, ich charakter narodowy, ich pieśni, hymny, wleją nowy żywioł w chłodne życie Zachodu, otoczą go nowej piękności uro-

kiem. Szwedzi nauczą mieszkańców tutejszych, że powaga i wesołość mogą iść z sobą w parze, że można być pobożnym a razem i wesołym, tak w niedzielę, jak i w dzień powszedni, oni dowiodą mieszkańcom tego kraju, że porządek, wytrwałość i ład, są pewną rękojmią przyszłego bytu.

Wkrótce po wschodzie słońca puściliśmy się z panem Lange lasem do gościńca, gdzie miałam czekać na dylizans, przejeżdżający do miasta Madison. Pan Lange wracał do siebie.

Dylizans przybył nakoniec, weisnęłam się z trudnością pomiędzy podróżnych i po najokropniejszej drodze, pełnej wybojów i kałuży, zajechałam bez przypadku do Watertown, gdzie umyśliłam nocować.

Madison 5 Października.

Piszę do ciebie ze stołecznego miasta prowincyi *Wisconsin*, położonego ślicznie pomiędzy czterema jeziorami. Mieszkam u zacnej rodziny, nad jeziorem, otoczona wszelkimi wygodami, a co więcej miłymi i dobrymi ludźmi. W Watertown przekonałam się, że dyrektorowie poczt tutejszych zmówili się, abym bezpłatnie odbyła podróż. Oberżysta nie chciał także przyjąć odemnie pieniędzy, dziękował mi nawet bardzo grzecznie, że dom jego wybrała na spoczynek.

Nazajutrz puściłam się dylizansem do Madison. Droga lepsza tu nierównie, jechaliśmy nocą przez szerokie stepy, miliony gwiazd jaśniało na niebie, tyleż świecących robaczek połyskało na ziemi. O jedenastej przybyłam na miejsce, nie wiedziałam gdzie się obrócić, ledwie że

znalazłam pokoik na nocleg. Nazajutrz za to miałam już i dom i ognisko i przyjaciół, a wszystko przewyborne.

Jestem u rodziny Fairchild. Ojciec jest sędzią pokoju w tem mieście, nie ma go w domu w tej chwili, ale żona i młoda nowo-zamężna córka, godnie go w domu zastępują. Trudno wyobrazić sobie miłsze domowe ognisko. Widzę tu trzy pokolenia obok siebie, babkę, córkę i małą wnuczkę. Babka, nie stara jeszcze i piękna. Biała postać córki technie słodyczą nieporównaną, dziecina zaś istny obraz aniołka. Mężka część towarzystwa składa się z męża córki i najmłodszego syna.

Od dwóch lat dopiero kraj Wisconsin przystąpił do związku Stanów Zjednoczonych. Ostatnia walka z indyanami, odbyła się na tej ziemi, przed trzema lub czterema laty. Pojmano na stepach ich wodza, zwanego Czarnym Sępem, pojmano ostatnią garstkę indyan, okuto wszystkich i jako wojenną zdobycz odesłano ich do Nowego-Jorku. Dziś nie ma tu już ani jednego indyanina, a ludność biała wzrasta codziennie. Ziemia tutejsza sprzyja rolnictwu i hodowaniu bydła.

Zwiedziłam z kanclerzem uniwersytetu Lathropem budynki uniwersyteckie, które wykończają właśnie na wzgórku pod miastem, z kądem widok bardzo piękny. Uderzyła mnie wielka ilość okien w tym gmachu; kto wie, będzie to może świątynia słońca, wpośród zachodnich stepów.

Niedawno jeszcze indyanie mieszkali w około tych jezior, co rok w jesieni przybywają tu, aby zapłakać na mogiłach starych ojców.

Galena, 11 Października.

Jestem już tylko o kilka mil od rzeki Mississipi, w ładnym miasteczku na wzgórzu, otoczonem w koło lasami. Prawdziwie miłą miałam podróż przez stepy. Dyliżans, w którym byłam prawie sama, toczył się szybko po twardej ziemi, mniemałam, że lecę na skrzydłach ku olbrzymiej rzece, która jest celem mojej podróży po zachodzie. Wiatr wieje łagodny, przestrzeń coraz szersza, w miarę jak się zbliżam do Mississipi.

Drugiego dnia nad ranem przybyłam do Galena; myślę tu odpocząć dni parę i obejrzeć się trochę po okolicy. Poznałam podróżującą parę, męża i żonę, którzy wracają właśnie z pustyni. Opowiadali mi ciekawe szczegóły o plemienu zwanem *Squatters*. Lud to biały, składa się po większej części z krajowców, pierwotnie osiadłych na zachodzie. Żyje rozproszony po pustyni, uprawia rolę, ale nie płaci żadnych podatków, nie chce słyszeć o prawach, ani o kościele, rodziny żyją osobno, nie związane społecznym węzłem. Z natury jest to lud spokojny, nie słychać aby popełniał jakie zbrodnie, pragnie tylko, aby go zostawiono w pokoju i swobodzie. Lepiej się zgadza z indyanami, niż z ucywilizowanem białem plemiem. Widząc zakładane przez białych szkoły, sklepy i kościoły, Squatterzy chronią się w głąb pustyni, chcąc, jak mówią, żyć w niewinności i swobodzie. Ich siedziby rozciągają się od Mississipi aż do Oceanu Spokojnego. Oddają ziemi cześć religijną i wyraźny stawiają opór wszelkiej cywilizacji.

Bądź zdrowa moja Agato, ucałuj odemnie ręce matki. Pozdrów wszystkich przyjaciół. Następny list mój odbierzesz z nad brzegów Mississipi.

XXV.

Na Mississipi 15 Października.

Wy płynęliśmy o zachodzie słońca w śliczny jesienny wieczór, z wąskiej i krętej rzeczki *Fève*, w szerokie koryto Mississipi, przezroczystej jak zwierciadło, zasianej zielonymi wyspy. Rzeka toczyła fale poważnie, między podwójnym pasmem gór, tonących w błękitnej mgłę oddalenia. Nowy księżyc sierpnia zabłysnął na niebie weszła gwiazda wieczorna i coraz żywszego nabierała blasku, w miarę jak ostatnie promienie słońca gasły pomału za górami. Mgła leciuchna powstała z łona ziemi i płynęła ku niebu, jakby dym kadzideł ofiarnych. Wiatr umilkł, cisza głęboka panowała do koła.

Stojąc u rudła, poglądałam ciekawie w łono rzeki. Byłaż to doprawdy sławna Mississipi, ów olbrzym dzikiej przyrody, tak w mniemaniu mojem burzliwy i srogi? Wody jej zielonkawej barwy, otoczone pyszną ramą z błękitno-fijołkowych gór, uroczym wyglądały. Mississipi piękna w tych stronach, blaskiem dziewiczej młodości; mało statków zakłóca tu jej spokój, żadne miasto nadbrzeżne nie składa tu jeszcze swych mętów do jej łona. Dalej ku wielkiemu Oceanowi, gdy dwanaście tysięcy paropływów posuwa się po jej grzbiecie, gdy liczne miasta kąpią się w jej fali, gdy przyjmuje wody Missouri, wtedy zmienia się nagle, traci uroczą piękność i uroczą barwę młodości.

Ale teraz piękna jeszcze. Pierwszy wieczór na Mississipi prawdziwie był dla mnie czarodziejski.

Po dwakroć Europejczycy odkryli tę rzekę, a za każdym razem inaczej, wśród odmiennych okoliczności, raz odkryli ją od północy, drugi raz od południa. Po raz pierwszy bohaterem tego odkrycia był kapłan pełen słodyczy, ojciec Marquette, po raz drugi rycerz hiszpański, Ferdynand de Soto.

Francya współzawodnicząc z Anglią, zdobyła pierwsza Amerykę północną, a jezuici francuzcy pierwsi przez jej puszcze przedarli się do Kanady i doszli aż do jezior na zachodzie. Zapal religijny zatknął pierwszy krzyż obok lilij francuzkich, wzdłuż rzeki Ś-go Wawrzyńca aż pod Niagarę i pomiędzy plemionami dzikich indyan nad jeziorem wyższem. Szlachetny Champlein, pełen wiary, wyrzekł w szczerym zapale: „Lepiej zbawić jedną duszę, niż całe podbić królestwo.“

W tymże samym czasie uczniowie Lojoli, rozbiegli się po świecie i pozatykali krzyże w Japonji, w Chinach, w Indyach, w Etyopii, wpośród Kafrów Kalifornii, w Paragwaj i głosili barbarzyńcom słowa pokoju i miłości.

Umieli oni, pisze Bankroft, znosić na pustyni trudy żywota z niezwykłą odwagą i głębokiem poddaniem. Porzucając dobrowolnie wszelkie uciechy osobiste, wolni od pychy, umarli całkiem dla świata i utrzymywali ducha w niezmaconym spokoju. Kilku z tych misyonarzy mimo prac długoletnich, w późnej starości płonęło jeszcze świętym ogniem apostołstwa. Dzieje ich poświęceń krążą nad kolebką wszystkich sławnych miast francuzkiej Ameryki.

Ojcowie Brebeuf, Jongues, Daniel i Laliemand, towarzyszyli zgrai Huronów do ich kraju, boso, przez okropne puszcze, to też zjednali sobie i serce i ucho tych dzikich. Brebeuf, wzór cnót i świątobliwości, przepędził pię-

tnaście lat pomiędzy Huronami, chrzczył ich i uczył rozmaitych spokojnych rzemiosł. Czyny pełne miłosierdzia, modlitwa i ostra pokuta, zapełniły jego żywot cały. Miłość ku Panu któremu służył, wzrastała w nim bezustannie. Uganiał się za cierpieniem, jak drudzy za rozkoszą, pragnął męczeństwa, gotów był na śmierć dla chwały Rożej. Taka wiara mogła przenosić góry, sprawiła więcej, wszczepliła bowiem płomień Chrystusowej miłości w krwi cheiwe serca dzikich. Wielki wojownik Ahasistari rzekł raz do niego:

— Zanim przyszedłeś ojcze do naszego kraju, gdy czasem uszedłem niebezpieczeństwa, mówiłem sam do siebie: „Duch jakiś potężny czuwa nad mojem życiem.“ I dziki Huron przyjął wiarę w Chrystusa, uznając, że on był tym duchem, którego czcił, nie poznawszy go jeszcze. Przyjąwszy chrzest święty, rzekł do nowo-ochrzczonych indyan: „Bracia, starajmy się teraz nakłonić świat cały, aby przyjął naukę Jezusa.“

Missyjonarze, przedzierając się coraz bardziej na zachód, słyszeli o wielkich wojowniczych pokoleniach indyan, o potężnych *Sioux*, którzy mieszkali nad wielką rzeką Mississipi, o pokoleniach Erie, Chippewas, Pottowathornis i innych, osiadłych po nad jeziorem. Niebezpieczeństwa i trudy jakie przewidywali, nie straszyły ich, ale bardziej jeszcze pociągały.

Pokolenia nieprzyjacielskie zaczęły Huronów, którzy służyli im jako przewodnicy. Dziecy Mohawksy uwięzili ojca Jongues; szlachetny wódz Ahasistari, który ledwie ocalał, dowiedziawszy się o uwięzieniu ojca Jongues, przystąpił ku niemu i rzekł: „Ojcze! przyrzekłem że podzielę twój los, tak w życiu jak i przy śmierci. Otóż jestem gotów spełnić przyrzeczenie.“

Mohawksy przez kilka dni pastwili się nad niemi. Jongues, bity różgami, wśród okropnej chłosty, miał widzenie N. Maryi Panny. Jednego wieczoru, po dwudniowych torturach, rzucono dobremu ojcu kłos kukurydzy z łydygą i korzeniem. On ujrzał na szerokim liściu kilka kropel rosy i tą rosą ochrzczył dwóch nowych uczniów chrześcijan.

Ahasistari z dwoma towarzyszami zginął śmiercią męczeńską w płomieniach. Przyjął śmierć z odwagą dzikiego i spokojem chrześcijanina.

Jongues oczekiwał tegoż samego losu: ale go ocalono i przywrócono mu wolność. Błądząc samotnie po pysznych lasach w dolinie Mohawk, wyrył imię i znak męki Jezusa Chrystusa na korze wielu drzew, zajął w imieniu Bożem okolicę tę w posiadłość, opiewał chwałę Pana i cieszył się myślą, że jeden przynajmniej człowiek w tym obszernym kraju, wielbi prawdziwego Boga, Stwórcę niebios i ziemi.

Powrócił szczęśliwie do Kanady między swoich, ale we dwa lata potem, szukał nowych niebezpieczeństw dla miłości Bożej: „Idę, mówił, na nowe przygody, ale teraz już nie powrócę.“ Jakoż uwięzili go indyanie Mohawksy, zarzucając mu, że czarami niweczy im zbiory; bojaźliwy z natury, ale odważny zapalem, Jongues poniósł śmierć spokojnie.

Brebeuf, Anthony, Daniel i Lallemand wycierpieli wszyscy najsrozsze męki, na jakie tylko dzicy wysilić się mogli. Znieśli je z pobożną odwagą, zaczerpniętą w miłości Jezusa.

Wsie i osady założone przez nowych missyonarzy, poszły z dymem; nowi chrześcijanie zginęli wszyscy od ognia i żelaza. Wieloletnia praca jezuitów zniweczala

w jednej chwili, a ślady jej wiatr rozwiał na pustyni. Zdawało się, że takie klęski i prześladowania zachwieją ich odwagę, oni jednak nie cofnęli się kroku. ale ciągle szli naprzód.

Podczas gdy dziecy prowadzili wojnę, gdy wytaczali strumienie krwi, gdy każda ścieżka w puszczy zachodniej wiodła na śmierć niechybną, wtedy gorliwy ku chwale Bożej Franciszek Lawal, biskup Quebecu, postanowił zanieść prawo miłości i pokoju nad brzegi szerokiej rzeki. Pragnął iść sam, los jednak przeznaczył na to Renego Mesnard. W późnej starości postawił on stopę na krwią zbroszonej drodze poprzedników. „Za trzy lub cztery miesiące, możecie mnie liczyć do umarłych,“ pisał z drogi do przyjaciela; jakoż w rzeczy samej nie powrócił, zapuściwszy się daleko w głąb zachodniej puszczy, podczas gdy towarzysz gotował łódź do drogi, zginął Mesnard bez śladu. Znaleziono później różaniec jego i brewiarz. Indyanie uważali je jako czarodziejski talizman. Inny misyjonarz zginął pod gradem strzał, podczas walki dwóch nieprzyjacielskich pokoleń.

Miło po tych okropnych przygodach pierwszych misyjonarzy na zachodzie, spojrzeć na spokojny ustęp z misji ojca Marquette, jezuitę, odbytej pośród wojowniczych pokoleń indyjskich, przypomina on jasny promień, który błysnie chwilowo z pomiędzy chmur po burzy.

Odwazny ojciec Alwuez, dostał się już był pomiędzy niektóre plemiona indyjskie, rozsiadłe po nad jeziorem wyższem; będąc dwa lata między nimi, nauczył Chipewasów *Ojciec nasz* i *Zdrowaś*. Otrzymał od Potowollonów, czcicieli słońca, wezwanie, aby przybył do ich osady, podczas gdy będą palić trzcinę, na znak pojednania z innym pokoleniem. Widział także walecznych *Sioux*, karmiących

się ryżem, którzy mieszkali w chatach pokrytych skórą dzikich zwierząt, w bliskości wielkiej rzeki, zwanej przez nich Mississipi.

Marquette postanowił odkryć tę wielką rzekę i puścić się po jej falach.

Zgromadziwszy w około siebie ostatnie szczątki Huronów, osiadł wraz z nimi nad jeziorem Michigan, obfitującym we wszelkiego rodzaju ryby. Indianie pobudowali tam chaty, a ojciec Marquette nauczył te dzieci natury czcić Boga i zajmować się pożyteczną pracą.

Ztamtąd to, w towarzystwie francuza nazwiskiem Joliet, pod strażą młodego indyanina, ojciec Marquette puścił się na zamierzone odkrycie. Talon, intendent francuzki w Kanadzie, sprzyjał temu przedsięwzięciu, ciekawy będąc, czy po falach szerokiej rzeki francuzi zdołają dopłynąć do oceanu Spokojnego i zatknąć nad nim swoje zwyciężkie sztandary.

Ojciec Marquette podczas wycieczki myślał o chwale Przedwiecznego. „Poniósłbym życie z ochotą, mówił on, bylebym mógł choć kilka dusz ludzkich przysposobić dla nieba!“ Te słowa rzekł do pokolenia Pottowathornis, gdy go ostrzegało, iż dzikie ludy nie oszczędzają obcych, że brzegi szerokiej rzeki strugami krwi są zbroczone, a w samej rzece żyją potwory, które połykają ludzi wraz z łódkami. Słyszac spokojną odpowiedź Marquette'a, dzieci pustyni błogosławiły go na drogę i gorąco modliły się za niego.

Ojciec Marquette przybył nad rzeczkę Fox, gdzie pokolenia indyjskie: Kickapoos, Mascantins i Miamis mieszkały razem na zielonym wzgórzu, pod cieniem drzew przepysznych. Ojciec Alwuez zatknął był krzyż w tych miejscach, dzieci ozdobili go skórą zwierząt i zwierciadłami.

Starcy z pokolenia po wspólnej naradzie przyjęli pielgrzymów. „Mój towarzysz, rzekł do nich Marquette, wysłany jest z Francyi, za odkryciem nowych krajów. Mnie zaś wysłał Bóg, abym oświecał ludzi światłem Jego Ewangelji.“ Poczem dał im upominki i prosił o dwóch przewodników na dzień następny. Dziecy darowali mu plecionkę ze słomy, aby mu służyła za pościel podczas drogi i przyjęli go uprzejmie.

„Wtedy, (mówi historyk Bancroft), dnia 10-go czerwca 1673 roku, sławny ojciec Marquette, człowiek czystego, pokornego i prostego serca, wraz z towarzyszem Joliet i pięcioma francuzami, pod przewodnictwem dwóch indyanów, którzy nieśli łódki na barkach, przebyli wąską przestrzeń pomiędzy rzeką Fox i Wisconsin. Przybyli nad wodę, stanęli na brzegu i każdy z głębi serca zanosił modlitwę do N. Maryi Panny. Przewodnicy powrócili do domu, mówi Marquette, zostawiwszy nas w nieznanym kraju, samych jednych, pod strażą Opatrzności.

„Francya i chrześcijaństwo przedarły się po raz pierwszy na dolinę Mississipi.

„Popłynęli szerokim korytem rzeki Wisconsin, kierując się na zachód, obejmowali okiem rozległe łąki i wzgórze zarosłe drzewami, ale nie dostrzegali nigdzie śladu człowieka, ani żadnej żyjącej istoty. Nic nie przerywało uroczystej ciszy, chyba plusk wiosła. lub daleki ryk bawołów w głębi lasu. Po czterech dniach żeglugi podróżni nasi wpłynęli na szeroką rzekę Mississipi z niewymowną radością; a dwie brzozowe łódki, pędzone nieznanym wiatrem, miały spokojnie piaszczyste ławy, ojczyznę niezliczonych wodnych ptaków i zielone ostrowy, bujnym liściem pokryte.

„O sześćdziesiąt mil (angielskich) poniżej ujścia rzeki Wisconsin, odkryto w piasku, na zachodnim wybrzeżu, ślady ludzkiej stopy; ujrano steczkę wydeptaną pośrodkiem łąki. Ojciec Marquette i Joliet, zostawiwszy łódki, pod strażą towarzyszków umyślili sami ruszyć na spotkanie dzikich. Przebiegłszy kilka mil w okolicy, ujrzeli wieś nad małą rzeczką i dwie inne, trochę dalej na pochyłości wzgórze. Rzeczka zwała się Mors-in-gou-e-na czyli Moin-gona. Marquette i Joliet pierwsi z białych postawili stopę na ziemi Jowas. Poleciwszy się Bogu, zaczęli wołać na całe gardło, indyjanie usłyszeli ich okrzyk, czterech starców zbliżyło się pomału, niosąc trzeinę przystrojoną w różnobarwne pióra, jako godło pokoju. „Jesteśmy Illinijczycy,“ rzekli oni, co znaczy: „jesteśmy ludzie.“ Stary naczelnik przyjął podróżnych do chaty i rzekł do Marquette'a, podnosząc ręce w górę: „Jak słońce pięknie świeci na przybycie twoje francuzie, cała wieś oczekuje ciebie, zamieszkaż z nami w pokoju.“ Podczas wspólnej narady, ojciec Marquette głosił imię jedynego Boga, Stwórcy świata. Mówił także o wielkim wojowniku francuzkim w Kanadzie, który poskromiłszy nieprzyjazne indyjskie plemiona, pragnął żyć z nimi w zgodzie i pokoju. Pytał ich o pokolenia rozsiadłe nad brzegami Mississipi.

„Przyrządzono dla posłańców którzy donieśli o zwalczeniu Irokezów wspaniałą ucztę. złożoną z hamuny, ryb i dzikiego ptastwa.

„Po sześciodniowych ucztach u dzikich, podróżni nasi poszli dalej. „Nie lękam się śmierci—mówił Marquette—przeciwnie, uważałbym za wielką łaskę umrzeć dla chwały Bożej.“

Przechodzili mimo skał prostopadłych, podobnych kształtem do potwornych zwierząt; słyszeli zdaleka łoskot

wód Missouri; a gdy doszli do miejsca w którym spływają wzajem dwie najpiękniejsze w świecie rzeki, kędy bystra Missouri rzuca się jak młody zwycięzca w spokojne łono Mississipi i pociąga ją szybkim pędem ku oceanowi, wtedy ojciec Marquette postanowił w głębi ducha dopłynąć kiedyś do jej źródeł, przebyć przestrzeń ziemi dzielącą dwa oceany i opowiadać Ewangelję wszystkim ludom Nowego Świata.

„O czterdzieści mil dalej pominęli ujście Ohio. Na brzegach tej rzeki mieszkali spokojni Shawnessy, gęsta trzcina zarastała brzegi, tak była wysoka, iż bawoły nie mogły się przez nią przecisnąć. Słońce lipcowe dopiekało, roje owadów dokuczały nieznośnie.

„Łąki zniknęły im z oczu. Olbrzymie lasy z biało-drzewu pokrywały brzegi. Była to posiadłość pokolenia Chickesaws, dzieci mieli broń palną.

„Ojciec Marquette przybył z towarzyszami do wsi Milibigamea. Nikt nie powstał w tej okolicy od wyprawy Ferdynanda de Soto. „Ucieczmy się teraz pod opiekę N. Maryi Panny,“ pomyślał w duchu Marquette, gdy indyanie uzbrojeni w łuki i strzały, w topory i maczugi, otoczyli łodzie zwołując się hasłem wojennem. Marquette podniósł pęk trzciny, jako znamię pokoju, widok ten poruszył serca starych wojowników, pęki strzał i łuki powrzucałi do łodzi i spokojnie witali cudzoziemców.

„Podróźni płynęli dalej, ku ujściu rzeki Arkansas, gdzie znaleźli klimat łagodniejszy. Nie ma tam prawie zimy, tylko nieustanne deszcze padają przez parę miesięcy. Stanęli blisko meksykańskiej zatoki i poznali pokolenia indyan, uzbrojone na europejski sposób, który przejęli od hiszpanów.

„Opowiedziawszy tajemnice katolickiej wiary dzikim i przekonawszy się, iż rzeka nie wpływa do oceanu, na wschodnich brzegach Florydy, ani do zatoki kalifornijskiej, Marquette z Jolietem opuścili fale Arkansas i popłynęli dalej w górę Mississipi.

Wkrótce potem wpłynęli w koryto rzeki Illinois i odkryli kraj żyzny, łąki pełne bawołów i zwierzyny, poprzecinane czystymi strumieniami; łabędzie, papugi i indyki roiły się po brzegach. Illinińczycy prosili ojca Marquette, aby zamieszkał z nimi. Ich naczelnik z orszakiem młodzieży poprowadził francuzów przez Chicago do jeziora Michigan, a przed końcem września powrócili szczęśliwie do kolonji Green-Bay.

„Joliet udał się do Quebecu i zdał sprawę z poczynionych odkryć, których rozgłos podniecił dumę ministra Colberta. Marquette nie pycha, ale myślą Bożą wiedziony pozostał, opowiadając Ewangelję indyanom pokolenia Miamis, którzy mieszkali około Chicago.

„We dwa lata potem, wędrując z Chicago do Mikawanaw, dostał się małą rzeczką do jeziora Michigan, zbudował ołtarz na brzegu, odprawił Mszę świętą, prosił potem przewodników, aby powrócili do łodzi, chciał bowiem spędzić pół godziny na samotnem rozmyślaniu.

Pół godziny ubiegło. Przewodnicy powrócili i znaleźli uspiętego kapłana. Sen to był ostatni, sen bez przebudzenia. Dobry missyonarz, człowiek który odkrył świat nowy, zasnął pomiędzy ołtarzem a rzeką, która odtąd nosi jego imię. Towarzysze wykopali mu w piasku grób głęboki. Odtąd karczownicy z tych okolic we wszelkiem niebezpieczeństwie wzywają tajemnej jego pomocy. Ludy zachodnie mają właśnie wzniesć pomnik na uczczenie pamięci świętobliwego missyonarza.“

Przygody ojca Marquette z ust do ust tu przechodzą; krótkie to życie, ale jakże pełne, jak piękne, jak doskonałe! Zdaje się, jakby czysty promień spadł z nieba na dolinę Mississipi, pokrytą ciemnym mrokiem, zalaną potokami krwi ludzkiej.

Powracając z nurtem rzeki, opowiem ci przygody Ferdynanda de Soto.

15 Października na Mississipi.

Czas piękny, księżyc przedziera się przez chmury. O zachodzie słońca statek zatrzymał się chwilę, aby zabrać nowy zapas drzewa, ja wysiadłam na łód z panem Sibley, towarzyszem podróży. O pięćdziesiąt kroków od brzegu na pochyłości wzgórzka, ujrzałam świeżo zbudowany domek. Weszliśmy do niego. Młoda i ładna kobieta, trzymając dziecię na ręku, przyjęła nas uprzejmie; mąż jej był w pobliskim boru. Mieszkają tu dopiero od kilku miesięcy, dobrze im się powodzi. Dwie tłuste krowy z dzwoneczkami u szyi, pasły się blisko nieogrodzonego dworku. Wewnątrz panował wielki ład, wszystko zapowiadało dostatek. Widziałam na półkach kilka książek, Bibliję, książkę do nabożeństwa, niemniej próbki literatury angielskiej i amerykańskiej, tak wierszem, jak i prozą.

Młoda kobieta mówiła spokojnie i rozumnie, o położeniu męża jako kolonisty na zachodzie. Gdyśmy odchodziłi, obejrzałam się i widziałam jak stała w progu, trzymając na ręku niemowlę. Promień zachodniego słońca oświecał ją lekko. Ta młoda i krzepka matka z dziećciem u łona, ten mały dworek bezpieczny pod czujną strażą młodego ojca rodziny, w którym on pielęgnuje naj-

droższe skarby serca i myśli, oto zawiązek społeczeństwa w tej pustyni. Tylko patrzeć jak zakwitnie i najpiękniejsze wyda świata owoce.

16 Października.

Nadbrzeżne pagórki coraz szczególniejsze przybierają kształty. Do połowy wysokości, o pięćset stóp nad powierzchnią rzeki, pokrywa je bór liściasty, ozłocony barwą jesieni; wyżej zaś unoszą się prostopadle nagie skały, podobne do zwalisk. baszt i wieżyc, rzekłby kto, że to szczątki odwiecznych zamków; wszystko ciemno-czerwoną ma barwę. Nieztem nadreńskie zwaliska, w obec tych olbrzymich gruzów przeszłości, przypominających czasy, kiedy *Megatherium* i *Mastodont* ¹⁾, owe Tytany pierwotnej przyrody, wyszły z łona wód i same jedne błąkały się po ziemi.

Patrząc na te śmiałe piramidy, zda się, że je ręka człowieka zbudowała, tak są kształtne i jednostajne. Gdzie-niegdzie spostrzegam chatkę przyczepioną do urwiska; wydawała się jak gniazdko ptasze na wysokim dachu. Ale te domki cieszą mnie, dowodzą bowiem, że ludzie zamieszkają wkrótce tę pyszną okolicę. Po przeciwnej stronie jest wspaniała i żyzna płaszczyna, gdzie tysiące ludzi mogłoby znaleźć chleb i zajęcie. Amerykanie pobudują kiedyś na tych wyżynach piękne i gościnne dworce, w których zamieszka uszlachetniona ludzkość.

¹⁾ Zwierzęta przedpotopowe, których szkielety odkrywają dziś uczeni.

Liczba wysp na rzece wzrasta coraz bardziej. Wszystkie podobne do siebie, zarosłe dzikimi winnicami. Gdzie rzucić okiem, wszędzie widać ogromną moc wina. Czytałam tu właśnie proroctwo, zapowiadające czas, „w którym każdy będzie spoczywał pod cieniem własnej winnicy, w którym wilk i jagnię igracę będą pospołu, a pustynia zakwitnie jak lilja, wszystko w imię księżęcia pokoju.“

Wczoraj wieczorem w chwili gdy słońce zachodziło, spostrzegłam pierwszy ślad indyan, to jest ich grobowiec. Trumna czyli skrzynia z grubej kory, leży na deskach podpartych pieńkami, pod cieniem wielkiego pozółkłego drzewa. Indianie tak wystawiają zmarłych. dopóki ciało nie odpadnie od kości. Potem składają w ziemię lub w wydrążenie skały, przy tańcu obrzędowym i pieśniach trumnę ocienioną drzewem, przy odbłasku zachodzącej zorzy—taki to pierwszy ślad biednego, konającego ludu dostrzegłam w owych stronach.

Wkrótce potem ujrzelśmy na urwiskach rozsiane chaty indyan. Pokryte skórami bawołów, przypominają domostwa naszych laponczyków. Mały otwór służy do przejścia. Przez taki otwór widziałam rozpalone na ziemi ogniska. Małe dzikie dzieci biegały swobodnie ponad rzeką.

17 Października.

Dzień mamy jasny, ale zimny. Płyniemy właśnie wzdłuż brzegów Minesoty, osiadłych przez indyan, widzimy w koło porozkładane mniejsze i większe koczowiska. Mężczyźni stoją lub chodzą poobwijani w czerwone i żółte płachty. Kobiety pilnują ognisk płonących w namiotach

lub pod gołem niebem, niektóre dźwigają na plecach niemowlęta, przywiązane do nich płachtami. Wszystkie odkryte mają głowy. Włosy czarne, twarde, jak włos koński, kędzierzawią się w koło, lub też spadają w twardych splotach na plecy. Płyniemy pomału, krążąc w koło wysp, rozsianych po rzece. Tymczasem małe łódki krzyżują się nad brzegiem. Indianie podpływają pod zarosłe gąszczem ostrowy i szukają ziół w pośród krzaków. Jakże dziko wyglądają, jakże podobni do zwierząt! Mój Boże! i to ludzie, podobne nam istoty! stworzone na obraz i podobieństwo Boskie.

Indianie których tu widzimy, należą do pokolenia Sioux, jednego z najpotężniejszych w okolicy: mieszkają około źródeł Mississipi w Minesota, zarówno jak Indianie Chippewas. Każde z tych pokoleń składa się, jak mówią, z dwudziestu pięciu tysięcy dusz. Walczą z sobą nieustannie. Teraz właśnie odbył się wielki kongres pokoju blisko fortecy Snelling, na którym władze amerykańskie zmusiły oba zacięte pokolenia do wzajemnej zgody.

Pan Sibley, który żył przez lat kilka pomiędzy Indianami Sioux, brał nieraz udział w ich łowach i zna wybornie charakter tego ludu. Mają oni czasami szlachetne popędy, ale mściwość i okrucieństwo zagłusza w nich wszystko dobre.

Pomiędzy chatami indyan, widać niekiedy porządniejszy dworek. Tam zwykle mieszka indyanka krwi mieszanej, syn białego ojca i matki indyanki. Tacy ludzie zajmują się zwykle handlem i utrzymują związki z europejczykami.

Mamy także na statku rodzinę indyan z Wineboga, złożoną z ojca, matki, siedmnastoletniej córki i dwóch dorosłych chłopców. Obadwaj przybrani w pęki zółtych

i czerwonych piór, stoją blisko mnie u rudla. Ojciec pomalowany cały, równie jak i synowie, leży na moście, obrócony twarzą ku ziemi, wsparty na łokciach i obwinęty płachtą. Żona stara już i bezsilna, ale rozprawia wiele i nadzwyczaj żywo. Córka wysokiego wzrostu, postaci dość miłej, plecy ma szerokie, pochyłe, rysy grube. nieśmiała bardzo, odwraca się ilekroć kto na nią spojrzy. Widziałam ich przy obiedzie. Wyciągnęli z worka sztukę czarnego, zapewne wędzonego mięsa i po kolei szarpali ją zębami. Poczęstowałam ich ciastami i owocami. Kobieta porwała mi je z rąk ze śmiechem; nie skinąłszy nawet głową na podziękowanie. Młodzi chłopcy przystrojeni w pióra, podobni byli do kogutów. Mężczyźni mają w ogólności nosy przypominające sępie dzioby; kąty ust na dół opuszczone. niemiły wyraz nadają ich twarze. W oczach ich przebija okrucieństwo, jak u drapieżnych zwierząt.

Przy blasku księżyca przebyliśmy jezioro Pepin. Tu Mississipi tak się nadzwyczajnie rozszerza, iż tworzy jezioro otoczone prostopadłymi skałami, jedna z nich wystaje po nad drugie. Zowią tę skałę Wenona, tak było na imię młodej indyance, która stanąwszy na jej szczycie, zaśpiewała pieśń pogrzebową, a potem rzuciła się w fale wody, przekładając śmierć nad niemiłe związki, do których ją zmuszano. Widziałam także zdaleka ogromny kamień czerwony, sterczący ponad brzegiem rzeki. Mówiono mi, że indyanie czczą te kamienie jakby świętość. W około nich odbywają wspólne narady, a przysięgając dotykają ich ręką. Mniewają, że bóstwo przebywa w tych kamieniach.

Zdaje się, że dziś przed wieczorem staniemy w Saint-Paul, to miasto najwięcej posunięte ku północy ze wszystkich miast nad brzegami Mississipi, jest obecnie celem mo-

jej podróży. Żałuję, że podróż kończy się tak spieszenie, chciałabym żeby jeszcze z parę dni potrwała, bo mnie nadzwyczaj zajmuje. Widok tych wybrzeży, tak nowych pod każdym względem, ten dziki naród, jego koczowiska, rozpalone ognie i łódki snujące się po wodzie, szczególne obyczaje i zwyczaje, wszystko to ma dla mnie wielki urok nowości.

Używam przytem najzupełniejszej swobody. Statki amerykańskie wybornie urządzone, dają wszelką wygodę podróżnym. Nasz oto, składa się z trzech mostów. Most środkowy najwygodniej urządzoney, miejsce na nim drożej kosztuje. Wzdłuż mostu jest szeroka galerya czyli taras, w głębi zaś pokoje dla podróżnych idą rzędem w około statku, z każdego drzwi oszklone wychodzą na galeryę. Można z głębi pokoju widzieć dokładnie przesuające się brzegi.

Główne drzwi w pośrodku prowadzą do salonu. Jeden salon na tyle wyłącznie jest przeznaczony dla kobiet, drugi większy, służy zarazem za jadalną salę, oraz za miejsce męzkiego posiedzenia. W każdym pokoiku są dwa łóżka, jedno zawieszane nad drugim; gdy statek nie zbyt przepełniony, można łatwo mieć swój własny pokoik. Owe kajuty, czyste, jasne, pomalowane są biało, nadzwyczaj są przyjemne. Stół w ogólności dobry i obfity, a opłata na statku bardzo umiarkowana. Ja naprzykład z Galle na do St.-Paul płacę sześć dolarów, a używam za to wszelkich wygod i mam pokój osobny. Podróżnych na statku niezbyt wiele, jeden z nich, pan Sibley, człowiek rozumny i przyjacielski, opiekuje się mną życzliwie i obznajmia mnie z wielu miejscowemi zwyczajami, zna bowiem wybornie te strony. Płynie z nami także kilka rodzin emigrantów. Między niemi są dwie dorosłe dziewczy-

ny. Jedna z nich przykre na mnie sprawia wrażenie. Wysoka, niekształtna, ubrana w suknię ognistego koloru, włosy ma czerwone, roztargane jak pomiotło. Siada zwykle naprzeciwko mnie, założy ręce na krzyż, otworzy usta i przygląda mi się oko w oko, jakby jakiemu osobliwemu zwierzęciu. Czasami też zarzuca mnie tysiącem niedołączonych pytań. Patrzę na te wielkie dzieci, jakby na mitologiczne potwory zachodu; niestety! przybywając do tej części świata, trzeba koniecznie porzucić chwilowo zasady demokratyczne i zostać arystokratką w pewnym względzie. Nie myślę jednak przekroczyć granicy, choćby mi wszystkie córy olbrzymów zastąpiły drogę. Wreszcie i ta dziewczyna w ognistej sukni, inną stałaby się zapewne, gdyby ją kto chciał oświecić *dobrem słowem, z dobrą wolą*. Gdybym miała dłużej z nią pozostać, kto wie, możebyśmy się pokochały w końcu. Kapitan nasz Smith, człowiek grzeczny i towarzyski, wzorowy ład utrzymuje na statku. Na brzegach nie widać ani śladu europejskiej cywilizacji, w koło tylko same indyjskie koczowiska.

Od jeziora Pepin brzeg niższy, a przyroda mniej wspaniała.

XXVI.

Saint-Paul Minesota 25 Października.

O dwie mile od Saint-Paul widzieliśmy wielką wieś indyjską, z dwudziestu chat złożoną. Wśród tych chat pokrytych skórami, wznosi się dom porządny, drewniany.

Zbudował go misyjonarz chrześcijański i założył w nim szkołę dla indyjskich dzieci. Na zielonych wzgórzach, okrążających wieś w półkole, widać było mnóstwo trumien czyli skrzynek z kory, powspieranych na czterech pieńkach; małe białe chorągiewki wskazywały groby tych, którzy poumierali ostatni. Wieś ta, nazwana Kuposia, należy do wsi indyjskich objętych statystycznym wykazem. Płynęliśmy szybko po falach Mississipi, skręciwszy wreszcie na zachód, spostrzegliśmy na wysokim a stromym brzegu rzeki miasteczko St.-Paul, otoczone leśniami wzgórzami.

Zarzuciliśmy kotwicę poniżej miasta. W ulicy portowej snuli się indyanie poobwijani w płachty, niektórzy z nich bardzo piękni. Na wschodach przed domem siedzieli młodzi, postrojeni w pióra i wstążki; palili długą fajkę, którą podawali sobie kolejno, pociągnawszy z niej parę kłębow dymu.

Zaledwie żeśmy przybili do brzegu, gubernator z Minnesota, pan Aleksander Ramsey, z młodą i ładną żoną, przybył umyślnie, aby mnie powitać i zaprosić w gościnne progi swoje. Jestem więc u nich i czuję się szczęśliwa w towarzystwie miłych osób, obwożą mnie po okolicy. Miasto St.-Paul, najmłodsze prawie dziecię Zachodu, istnieje dopiero od ośmnastu miesięcy, ma już jednak do dwóch tysięcy mieszkańców, wkrótce będzie ich miało dwadzieścia, bo położone pysznie pod każdym względem. Futra stanowią tu ważną gałąź handlu, lasy pomiędzy rzeką Mississipi i Missouri obfitują w zwierza; jeziora i rzeki dostarczają ryb dostatkiem. Szeroka Mississipi, zanosi te wszystkie płody przez środkową Amerykę do Nowego Orleanu. Wielu spekulantów porobiło tu ogromne majątki, to też coraz ich więcej przybywa, a miasto wzrasta z zadziwiającym pośpiechem.

Mnóstwo tu jak mówiłam indyan. Mężczyźni w ogólności postrojeni, noszą świecące topory, których rękojeść służy im także za fajkę. Malują się szkaradnie. Często pół twarzy naznaczają cynobrem, drugie pół żółtą farbą. Inni znów namazani zielono, czarno i niebiesko, szpecą się bez litości. Oto jeden naprzykład wymalował sobie czerwoną plamę na samym środku nosa, drugi upstrzył czoło w czerwoną i czarną kratkę, trzeci węglem czarnym pozakreślał oczy w około. Wszyscy noszą we włosach pióra orle, kogucie i kutasy, z czerwono-ognistej wełny. Włosy obcinają prosto po nad czołem, reszta spada w plecionkach na ramiona, tak u mężczyzn, jak i u kobiet. Kobiety rzadko się malują, czasami tylko, naznaczają sobie czerwone plamy na policzkach, farbują także korzenie włosów na czerwono. W ogólności, więcej mi się podobają niż mężczyźni. Wzrok mają łagodniejszy, twarz miłszą, ale są to bydlęta domowe i nic więcej. W tej chwili oto przechodzi pod oknem mojem indyanin. Dumnie podniósł głowę ustrojoną w pióra, w rękę trzyma fajkę. Za nim idzie kobieta z pochyloną głową, obładowana cała, z pomiędzy różnych tobołów które dźwiga na barkach, wygląda rumiana twarzyczka z czarnemi oczyma małego *Paposa*, tak tu nazywają niemowlęta. Dziecię, nie dość, że całe skrupowane powijakiem, przywiązują tu jeszcze do deski, aby prosto rosło. Spojone taką deszczułką, niemowlę żyje, śpi, wzrasta, aż dopóki chodzić nie zacznie.

Jeździłam onegdaj z panem Ramsey do wodospadu St-Antony, o kilka mil od St.-Paul. Tu ustaje żegluga na Mississipi. Za wodospadem jednak chodzą znów pomniejsze statki. Wodospad ten nie wielki, ale za to okolica prześliczna. Na brzegach rzeki roślinność zadziwiająca.

Z pomiędzy drzew i zarośli wznoszą się w górę olbrzymie odłamy skał czarnych.

Ojciec Piotr Hapenin, jezuita francuzki, pierwszy z europejczyków odkrył wodospad; kapłan ten uwięziony przez indyan i uprowadzony przez nich w to miejsce, nadał mu nazwisko Św. Antoniego.

Poniżej wielkiej katarakty, jest małeńka skalista wysępka, zarosła w koło drzewami. Zowią ją wyspą katarakty, albo Wyspą Ducha, skutkiem wypadku który się niedawno wydarzył, a który ci opowiem, cechuje bowiem życie tutejszych indyan.

Młody wojownik z pokolenia Sioux zbudował przed kilkoma laty szałas nad brzegiem Mississipi, niedaleko wodospadu St. Antony. Miał jedną żonę, wbrew tutejszym obyczajom (gdyż ich tu miewają po dwadzieścia), nazywała się Ampato Sapa. Kilka lat żyli szczęśliwie, dwoje dzieci bawiło się u ich ogniska, radością napełniając serce rodzicielskie.

Mąż trudnił się łowami z wielkim powodzeniem. Kilka rodzin osiadło w pobliżu i zaczęto go skłaniać, aby pojął więcej żon i tym sposobem pozyskał większe wzięcie między swemi. W takim razie mógłby zostać wodzem pokolenia.

Rada przypadła do serca mężowi; pojął tajemnie drugą żonę. Zanim ją wprowadził do namiotu, chcąc uprzedzić zwolna pierwszą, rzekł do niej te słowa:

„Wiesz dobrze, że żadnej innej kobiety tak kochać nie będę jak ciebie, ale trudno ci podołać wszystkiemu; umyśliłem więc pojąć drugą żonę, aby ci pomagała w domowych kłopotach. Zawsze jednak zajmować będziesz pierwsze miejsce pod moim dachem.

Ampato głęboko uczuła boleść, prosiła męża, aby wspomniał na ich dawne przywiązanie, na ich tyloletnie szczęście, na ich dzieci, błagała aby nie wprowadzał do chaty innej żony.

Ale następnego wieczora mąż przyprowadził nowoposłupioną.

Nazajutrz o świcie dała się słyszeć pieśń pogrzebowa nad brzegami Mississipi. Młoda indyanka z dwojgiem dzieci płynęła łódką w stronę wodospadu. Była to Ampato Sapa. Opiewała żalobnym głosem ciężki ból serca, wiarołomstwo małżonka i postanowienie rychłej śmierci. Przyjaciółki usłyszawszy jej pieśń, odgadły zamiar, ale wszelkie ich usiłowania były nadaremne.

Szum wodospadu zagłuszył pieśń kobiety. Łódka wstrzymała się chwilę i znikła w głębi spienionej fali. Nikt nie zobaczył już matki ani dzieci.

Indyanie mniemają, że o świcie słychać nad wodospadem ciche skargi na niewierność małżeńską, a cień kobiety wypływa z dwojgiem dzieci, w kłębach mgły otaczających Wyspę Ducha.

Tego rodzaju wypadki częste są pomiędzy indyanami. Kobiety skłonne tu do samobójstwa, popełniają je zwykle przez zazdrość, lub też zmuszone będąc do niemiłych związków. Biedaczki, czyż nie godne lepszego losu? Nikt tu nie bada skłonności młodych dziewcząt, rodzice oddają je w małżeństwo samowolnie. Narzeczony przynosi ojcu skórę bawołu i bobra, matce kilka sztuk jaskrawej materii lub jaką błyskotkę i kupuje dziewczynę. Gdy się opiera, ojciec grozi jej obcięciem nosa i uszów. Dziewczyna idzie do lasu i wieszka się na pierwszej lepszej gałęzi.

Piliśmy herbatę na jednej z większych wysp na Mississipi, w ładnym domku, gdzie zarówno jak nad Hudso-

nem, znalazłam wszelkie wygody i przyjemności ucywilizowanego świata. Widziałam książki i obrazy, słyszałam wyborną muzykę, a co więcej, poznałam dobre i szlachetne serca.

Wschodnie brzegi Mississipi należą już do białych, których liczba siedmiu tysięcy dusz nie przechodzi. Brzeg zachodni posiadają indyanie. Rząd chce podobno nabyć od nich tę ziemię, a indyanie mają się dobrowolnie usunąć za rzekę Missouri, w stepy zwane Nebraska. Te pokolenia tak spadły nisko przez zetknięcie się z białymi, że więcej cenią wódkę i pieniądze, niżli ziemię praojców i gotowi jak Ezaw, sprzedać prawo pierworództwa. Ale naród okrutny, który odziera czaszki bezbronnym starcom i dzieciom, który kobiety poniewiera jakby domowe bydłęta, powinien iść na pustynię, a ustąpić miejsca szlachetniejszej ludności. Bóg sprawiedliwy w swych wyrokach.

26 Października.

Wczoraj zwiedzałam osady indyan w bliskości twierdzy Snelling, którą zbudowali amerykanie i obsadzili wojskiem, chcąc utrzymać indyan w karności. Biali są od nich zupełnie bezpieczni, indyanie tylko mordują się między sobą, mimo pośrednictwa amerykańskiego rządu.

Ciekawa byłam widzieć wewnątrz indyjskiej chaty, weszłam więc do jednej z nich w towarzystwie pana Ramsey i tłumacza. Trzy wychudłe psy uwiązane na powroczach, czuwały u wnijscia. (Indyanie jedzą ich mięso w braku innej zwierzyny). Podnieśliśmy skórę, która miejsce drzwi zastępowała. Byłam pewna, że znajdę nieład i nędzę, omyliłam się jednak, spostrzegłam dobry byt,

a nawet pewien rodzaj nieokrzesanego zbytku, jak w Azji na wschodzie.

Ogień płonął w chacie dość obszernej, pokrytej w koło skórą bawołów. Przy ognisku siedziało dwóch indyan, wyrzynali stambułki z ciemno-czerwonego kamienia. Kobiety i dzieci siedziały w koło izby na poduszkach. Niektóre miały pomalowane policzki. Czarne ich oczy świeciły jak rozżarzone węgle. Zdawały się dość przyjacielskie, prosiły abym usiadła między nimi. Stare indyanki śmiały się na głos, młode były poważniejsze i bojaźliwsze. Nad ogniem zawieszony był kociołek, przyczepiony do dachu. Zabierali się właśnie do obiadu. Młoda indyanka karmiła dziecię polewką z wody i groszku, poczęstowała mnie świeżo upieczonem pszennem ciastem, było niezłe, brakło mu tylko soli.

Z politowaniem patrzałam na biedne indyanki. W chacie trzy rodziny mieszkały pospołu, trzech mężów z trzynastu żonami. Ileż tu zawiści, ile gorzkich uczuć szarpało potajemnie dusze tych biednych istot!

I przeniosłam się myślą do ognisk ucywilizowanego świata, do ognisk ogrzanych świętym płomieniem miłości, gdzie kobieta dzieli szczęście i niedolę małżonka; gdzie dobrzy rodzice wskazują młodym córkom cel wzniosły, sięgający po za obręb domowego koła. Pomyślałam o prawach kobiety ucywilizowanej, do prac umysłowych, które tak dzielnie rozpraszają bolesć życia, nadając wyższy polot duchowi i pozwalając mu krążyć po wiecznie rozpogodzonym niebie. Pomyślałam o własnem mojem ognisku w Szwecyi, o dobrej mojej matce, o siostrze ukochanej, o moim pokoju, o mej swobodzie i szczerze dziękowałam Bogu za los, jaki otrzymałam w podziale.

W innej chacie ujrzałam kobietę nadzwyczajnej piękności, długie czarne włosy spływały jej na ramiona. Miałam wielką ochotę odrysować jej portret; równie jak starego ojca rodziny. Prosiłam o pozwolenie przez tłumacza, nie odmówiono mi, lubo w ogólności indykanie nie lubią aby powtarzać ich postać na papierze, w mniemaniu, że to im odbiera część życia.

Wyrysowałam naprzód starego indyanina, żałował bardzo, że nie był ubrany przyzwoicie, miał bowiem na głowie tylko dwa orle pióra i cały obwinięty był w płachtę.

Gdy skończyłam portret, weszła indyanka ubrana jak na weselną ucztę, w sukni z szkarłatnej wełny, bogato haftowanej. Srebrne koła pozaczepiane jedno na drugie, spływały od uszów na jej ramiona i piersi. Na szyi miała korale i inne szklane paciorki. Głowę zdobiły tylko bujne włosy. Tak była strojna, tak piękna, że gdy weszła, aż zajaśniało w chacie; plecy miała okrągłe, szerokie i pochyłe od dźwigania ciężarów. Była to piękność melancholiczna i dzika. Pochmurna słodycz jej oczu głęboko zakłęsłych, a ocienionych długimi rzęsy, nie da się w żaden sposób opisać. Uśmiech przelotny jak błyskawica rozjaśniał chwilowo jej piękne usta i odkrywał dwa rzędy białych zębów. Ta kobieta, bardzo jeszcze młoda, od dwóch lat zaślubiona młodemu indyaninowi, takie obudziła w nim przywiązanie, iż przyrzekł nie brać nigdy drugiej żony i nie pozwala jej pracować nad miarę, ani dźwigać ciężarów. Wozi ją wózkiem do miasta i pielęgnuje starannie.

Po tej ślicznej postaci przedstawiam ci walecznego wojownika, jej męża. Twarz całkiem pomalowana, ogromny pęk piór czerwonych na głowie, dowodzą, że był nie raz na wojnie i zabił nie mało nieprzyjaciół. Jest to wier-

ny typ indyanina, nos ma podobny do sępiego dzioba, oczy jasne, przenikliwe, ale składne, usta nieprzyjemne, wreszcie dosyć przystojny. Wyrysowałam także jego portret.

W szczególny sposób indyanie przybierają imiona. Gdy dojdą do lat, usuwają się na kilka dni od ludzi, zachowują post ścisły i wierzą w objawienie się w nich samych opiekuńczego ducha. Co w owe dni silnie uderzy ich wyobraźnię, uważają jako znak lub przestrożę i przyjmują imię stosownie do otrzymanego objawienia. Pomiędzy imionami indyan są następujące: *Chmura*, *Pajak biały*, *Czarny pies*, *Dwa pióra zaszczytne*, *Oblicze grzmiące*, *Pogromca duchów*, *Ptak niebieski* i t. d.

Indyanie wierzą, iż po śmierci duch pozostaje czas jakiś w powłoce ziemskiej, którą zrzucił. Dla tego to kładą kukurydzę i inną żywność u stóp nieboszczyka i wystawiają ciało na działanie słońca i powietrza, dopóki umarły nie wniknie do dziedziny duchów. Ale gdy ciało odpadnie od kości, wtedy grzebią je, przy śpiewie i płasach; duch wtedy doszedł swego przeznaczenia.

„Wierzymy, mówił sławny wódz indyjski do jednego z przyjaciół, że duch wyszedłszy z ciała, pozostaje długo między swemi; że po kilku tygodniach dopiero przebiega szerokie pola przy chłodnem świetle księżyca i dostaje się w końcu do głębokiej otchłani, wyżłobionej w pośrodku ziemi. Za nią jest kraina błogosławionych, gdzie panuje wieczna wiosna, gdzie się nieustannie odbywają łowy. Nie ma żadnej drogi przez tę odchlań, tylko wielka sosna odarta z kory, gładka i jak szkło ślizga.

„Aby wejść do krainy błogosławionych, duchy przebywają ów most niebezpieczny. Sprawiedliwi idą po nim pewną stopą i dochodzą bez szwanku na drugi brzeg

otchłani. Żli przeciwnie, nie mogąc się utrzymać, spadają w przepaść okropną.“

Wierzą oni, że duch wszechwładny wszystko utrzymuje i wszystkim rządzi. Indyanie wschodnio-zachodni zowią go Wielkim Manitu. Wierzą także w znaczną ilość podrzędnych bożków. We wszystkim co żyje objawia się wędrujące bóstwo. Manitu żyje w niedźwiedziu, w bobrze, w kamieniu z którego można wykrzesać iskrę, a mianowicie w drzewie, które ocienia głowę człowieka. Indyanie starają się przekłagać darami swego Manitu. Najmilszym darem są mu krwawe ofiary. Mają także ludzi pośredniczących między niemi a bóstwem. Ci ludzie posiadają tajemnice natury, znają czarodziejskie sztuki, umieją odwracać nieszczęścia. Indyanie też cenią ich wysoko, uważając ich za kapłanów i lekarzy.

W pewne dni uroczyste, owi kapłani rozkładają ogniska nad brzegiem Mississipi. Mężczyźni i kobiety wyprawiają płasy, przy odgłosie bębenków i grzechotek. Muzykanci siedzą na ziemi, kobiety przybrane w świąteczne szaty, w srebrne kółka i dzwonki, mężczyźni pomalowani okropnie, skaczą jak mogą najwyżej. Każdy z obecnych ma woreczek skórzany z lekami, są to lekarze obojej płci; w koło nich garnie się mnóstwo widzów.

Starcy potem zasiadają w pośrodku. Całe towarzystwo biorąc się za ręce obchodzi ich w około. Podczas tej przechadzki, jeden z widzów wychodzi z koła i stawa trochę na uboczu, lekarz wychodzi tuż za nim, przytyka woreczek z lekami do ust pacjenta, który się oddalił. Ten pada natychmiast bez zmysłów, jakby uderzony iskrą elektryczną. I wszyscy przechodzą tę kolej, ale po chwili podnoszą się z ziemi i wracają do koła. Muzyka nie ustaje. Starcy bawią się szczerze tem widowiskiem.

Tańce *lekarzów*, główna uroczystość indyan z Minnesota, trwają przez kilka dni z kolei. Odprawiają także i wojenne tańce, gdy powróciwszy z wojny do domu, porozwieszają na słupach, skóry zdarte z nieprzyjacielskich czaszek.

Obchodzą wiele świąt, podczas których składają ofiary słońcu, księżycowi, drzewom, wodzie, węzom, kamieniom i t. d. Święto słońca odbywa się we dnie, święto księżycy w nocy. Na każdą uroczystość oddzielne są pieśni i odmienna muzyka. Uczta niezbędną jest także częścią każdego obrzędu. Indianie muszą wtedy zjeść wszystko co przyrządzili; inaczej bóstwo obrażone, szukałoby zemsty nad niemi. W święto *duchów*, kto nie zje co mu podadzą, musi dać za karę dwie bawole skóry.

Ich wiadomości lekarskie zasługują w rzeczy samej na uwagę; znają własności ziół i działanie sił przyrody. Indianki także biegłe są w sztuce leczenia. Obecnie w pokoleniu Winnebago, nad jeziorem Wyższem, panują dwie królowe. Jedna odznacza się mądrością, druga wielką odwagą.

Gdy indyanin umrze, kobiety zbierają się koło ciała, jęczą, zawodzą, rwą sobie włosy z rozpaczony i ranią się ostremi kamykami. Missyonarz jeden widział w Minnesota indyankę, jak szarpała sobie ciało bez litości, nad trupem zamordowanego męża, podczas gdy inne kobiety wzywały pieśnią boga zemsty. Bóg zemsty jest bogiem dzikich ludów.

Wierność w dotrzymaniu słowa, gościnność, moc charakteru, oto jedyne cnoty indyan. Źródło ich leży we wrodzonej pysze. Oprócz naczelników rodzin i lekarzy, nie mają żadnych innych rządców ani rządu.

Takie są z małemi wyjątkami obyczaje wszystkich pokoleń indyjskich w Ameryce; wyłączam indyan, którzy przyjęli wiarę chrześcijańską i światło cywilizacyi.

Wiele już mówiono i pisano, wiele czyniono domysłów nad pochodzeniem indyan i zgodzono się po większej części na to, że pochodzą od plemion mongolskich, zamieszkałych w Azji północnej, zbliżają się bowiem do nich, podobną powierzchownością i rodzajem życia. Azya i Ameryka tak są zbliżone do siebie na północy, że łatwo im przyszło dostać się z jednej części ziemi na drugą.

Peruwianie w Ameryce południowej i szlachetni Atzekowie, którzy tak wielką niegdyś posiadali potęgę, a których mądre słowa, bogate pieśni, pozostały dotąd w podaniu, owi indyanie, tudzież ci, których zapadłe miasta odkopują dziś w Ameryce środkowej, należeli wyraźniej do szlachetniejszego plemienia, niż pierwotne ludy Ameryki północnej. Ich starożytności świadczą o pobratymstwie z najszlachetniejszymi narodami Azji.

Ze wszystkich pokoleń indyjskich istniejących w Ameryce północnej, tylko pokolenia Cherokeezów i Chaktasów, przyjęły cywilizacyę i chrześcijaństwo. Niegdyś owe pokolenia zajmowały Georgję, Alabamę i góry Tenessee; później europejczycy wygnali ich z własnych ognisk i zapędzili na pustynię na zachód Mississipi i Missouri. Tam stanowią oni dziś wielkie i kwitnące społeczeństwo, wraస్తają w ludność i coraz bardziej zbliżają się obyczajami do białych. Uprawiają rolę, hodują trzody, stawiają domy, nawet używają pism, już mają własną drukarnię. Pomiedzy osobliwościami zebranemi w Ameryce, mam także dziennik Cherokeezów, drukowany w ich języku.

Indyanie dzicy, zajmują się dziś jak zawsze polowaniem. Ludność ich zmniejsza się corocznie skutkiem wo-

jen domowych, ospy i zbytniego użycia wódki, której dostarczają im biali przemysłowcy. Rząd zakazał surowo sprzedaż spirytusu indyanom, mimo to jednak dzieją się wielkie nadużycia w tym względzie. Pokolenia upadają więc tak moralnie, jak i fizycznie. Lekarze i czarodzieje nie umieją ochronić ich przed zgubnym wpływem białych, którzy powolną zadają im truciznę.

Mimo kilku niezaprzeczonych zalet, nie mogą mieć współczucia dla narodu, który okrucieństwo uważa za cnotę, a z kobietą postępuje jak z bydłem.

Indianie równie jak Grenlandczycy z pyszną pogardą poglądają na białe plemię. Ich podania o stworzeniu człowieka, naiwne dowodzą przyczyny, niejednostajności plemion ludzkich.

„Gdy Manitu ulepił pierwszego człowieka, nie dopiekł go w piecu, ztąd człowiek został biały. Drugi przypalił się zbyt mocno i pozostała mu czarna skóra. Manitu przyłożył więcej uwagi do dzieła, ulepił trzeciego, wyjął go z pieca w samą porę i człowiek wyszedł przyrumieniony. Od tego pochodzą Indianie.“

Nie wiem co murzyni mówią o sobie i o białych, ale zdaje mi się, że bliżej są nas pod względem zdolności i umysłowego rozwinięcia, aniżeli czerwone plemię. Szerzej przed nimi roztwiera się pole, albowiem mniej mają miłości własnej i zrozumienia, niż obadwa pozostałe plemiona indyjskie.

Twierdza Snelling, zbudowana na lewym brzegu Mississipi, u ujścia rzeki świętego Piotra, zwanej przez Indiany Minesota, panuje nad całą okolicą. Dalej rzeka świętego Piotra zakręca się na zachód i płynie pomiędzy podwójnym pasmem najpiękniejszych pagórków.

27 Października.

Zwiedzałam dziś grootę podziemną niedaleko miasta. W Minesota pełno ma być takich podziemnych pałaców; siedziałam chwilę pod wspianiałem sklepieniem, piłam wodę u źródła, słuchałam szumu fal przepływających górą. W koło sklepień mnóstwo widziałam poprzyczepianych gniazd ptasich.

Piękny to kraj Minesota! Obszarem o cztery razy przechodzi całą Anglję. Ziemia w nim żyzna, lasów dostatkim, liczne jeziora i rzeki wydają ryb obficie, klimat chłodny, ale pokrzepiający. Zima dość mroźna lecz pogodna, a lato nie dokucza zbyt skwarem. Jezioro Itaska, kolebka Mississipi, leży o tysiąc sto sześćdziesiąt stóp po nad poziomem meksykańskiej zatoki. Na górach otaczających w półkole to jezioro, ciągnie się *olbrzymia* płaszczyna, na której wytryskają źródła Mississipi, rzeki Św. Ludwika, Św. Wawrzeńca, Czerwonej i kilku jeszcze innych. Minesota, kraina górzysta, graniczy na wschód z jeziorem Wyższem, na północ dotyka Kanady, z zachodu oblewa ją spławna rzeka Missouri, której brzegi górzyste, zawierają w łonie swoim drogie kruszce i klejnoty. Po za rzeką Missouri leży kraj Nebraska, dzisiejsza ojczyzna indyan. Dalej ciągną się góry Skaliste olbrzymiej wielkości, a po za niemi dolina Oregonu, ogromna a żyzna przestrzeń ziemi, przerywana mnóstwem rzek spławnych. Rzeka Oregon, pełna łososiów, łączy te kraje z oceanem Spokojnym.

Na południe Minesota jest bogaty kraj Jowa, o pięknych rzekach i bujnych pastwiskach; pośrodkiem płynie Mississipi, wielka żywotna arterya, łącząca południe z północą.

Jutro opuszczę te strony, wsiądę na statek, popłynę rzeką Mississipi aż do Gallena, ztamtąd zaś do St.-Louis. Puszcę się przez Ohio, aż do Cincinnati, a ztamtąd do Nowego-Orleanu, nakoniec popłynę na wyspę Kuba, gdzie chcę przepędzić zimę. Z żalem opuszczam te strony, pragnęłabym lepiej poznać indyan, tutejszych pierwotnych krajowców. Z żalem także pożegnają moją rodzinę, która mnie tak gościnnie podjęła.

Młody misjonarz prezbiteryański, opowiadał mi ciekawe szczegóły o propagandzie chrześcijańskiej u indyan, wystawił mi ich przyszłość w lepszym świetle, niż się spodziewałam. Odtąd, jak misjonarze poczęli się uczyć narzeczków głównych indyjskich pokoleń, odtąd zwłaszcza jak przełożono Biblię na te narzecza, chrześcijaństwo zakorzenia się stanowczo między dzikimi. Ostatnie lata wielkie przyniosły plony.

Według sprawozdania z 1828 roku, było tylko trzydziestu i jeden misjonarzy, dziś (1850), liczba ich wzrosła do pięćset siedmdziesiąt, pomiędzy nimi jest połowa kobiet. Sami nawróceni indyanie szerzą już naukę Chrystusową pomiędzy swemi. Zbudowano do tysiąca kościołów, różnych wyznań chrześcijańskich; a nawróconych indyan jest już przeszło czterdzieści tysięcy. Mnóstwo powstaje coraz nowych szkółek, w których uczą indyjskie dzieci czytać, pisać i rachować. Do trzydziestu tysięcy dzieci, uczęszcza już do szkoły, urządzono nawet jeden wyższy zakład wychowania. Drukarnie tłoczą książki, w trzydziestu odmiennych narzeczach. Kobiety lepiej przyjmują światło religji chrześcijańskiej. Mężczyźni, zwłaszcza

z wojowniczych pokoleń, niechętnie skłaniają ucho do zasad, wprost przeciwnych odwiecznym ich obyczajom. Misyonarze nie tracą jednak nadziei.

Odtąd jak tu jestem, widzę co wieczór szeroką łunę na zachodzie. Dowiedziałam się, że indyanie zapalają umyślnie trawę na łąkach, aby wypłoszyć zwierzynę i nagromadzić ją w miejsca, w których wyprawiają łowy. Przy odbłasku indyjskich ognisk, świecą mury nowo zbudowanych miast: Ś-go Pawła, Ś-go Piotra, Ś-go Karola i Ś-go Antoniego. Z owych to świętych grodów spłynie zorza poranna w te puste i na pół dzikie obszary.

XXVII.

Na Mississipi 25 Października.

Płynę teraz z nurtem wielkiej rzeki, wpośród ogniów i koczowisk indyjskich. Przed oczyma mojemu przesuwa ją się rozrzucone na pagórkach mogiły. Opuszczam tę poetyczną kolebkę Mississipi, a posuwam się w strony ucywilizowanego świata. Czas łagodny, promień słońca igra po wierzchołkach gór. Patrzę chciwie, radabym ten romantyczny obraz zachować na zawsze w pamięci.

26 Października.

Indyanie znikli nam z uczu, minęliśmy święte kamienie i groby. Złomy skał, jakby piramidy z pierwo-

tnych czasów, strzelają w górę z łona czarnego lasu. Za każdym zgięciem rzeki zmienia się postać kraju. Poglądam chciwem okiem w koło siebie, czytam Emmersona i prawdziwie świąteczne wiodeę życie. Pełno nowych budowli powstaje nad rzeką.

27 Października.

Jestem znowu w Gallena, gdzie zabawię parę dni. Mieszkam w wygodnym hotelu, odprawiam wycieczki w okolicę i używam swobody w całym znaczeniu tego słowa.

Wczoraj patrzyłam na zachodzące słońce z wierzchołka góry Pitol-knob. Wdarłszy się na szczyt, z niemałą trudnością, przez złomy skał i bujną gęstwinę, patrzyłam z rozkoszą na cudnie piękną okolicę. Wśród niezmiernie przestronnej przestrzeni płynęła Mississipi, jakby srebrna wstęga. Słońce zaszło, ale różowy odblask zorzy spływał z nieba na ziemię, jak strumień łaski i błogosławieństwa.

Przypomniałam sobie, jak zeszłego roku o tym czasie byłam w Nowym-Jorku, jak później w Bostonie straciłam zdrowie i odwagę, mniemałam już, że nie zdołam doprowadzić do końca rozpoczętej podróży. Dziś krzepka na duszy i ciele, stałam na górze po nad szeroką Mississipi. Wielki zachód roztaczał się przed memi oczyma! Zorza nowej przyszłości świeciła mi w oddaleniu. Serdecznie za to dziękowałam Bogu.

2 Listopada, na Mississipi.

Czas mamy chłodny i wilgotny. Od wczoraj rozpoczęłam dalszą żeglugę. Brzegi coraz niższe, coraz mniej

urozmaicone. Białe dwory i kościoły świecą gdzieniegdzie w oddaleniu.

Płyniemy bardzo wolno, przyczepiono bowiem do naszego statku dwa galary naładowane ołowiem, utrudza to nadzwyczaj żeglugę. Przez całą noc słychać głuchy łoskot, zdaje się, że statek jęczy pod ciężarem który dźwiga. Nie rozbieram się wcale w obawie jakiego wypadku. Codziennie też różnego rodzaju przygody zdarzają się na Mississipi. Wielu z podróżnych ma pasy kauczukowe do pływania. Co do mnie, nie mam żadnego środka, ani przyjacielskiej ręki w razie niebezpieczeństwa. A jednak nie lękam się wcale. Ufam Bogu, że mnie nie opuści.

Jestem prawie ciągle w mojej kajutce lub też chodzę po galerii i patrzę na zielone wybrzeża. Woda Mississipi jeszcze ma zielonkawą barwę, ale coraz mętniejsza. Statki parowe o trzech kominach mijają nas nieustannie. Coraz więcej spotykamy tratw i łodzi, różnej wielkości i rodzaju. Na tratwach płoną rozpalone ogniska, flisy gotują obiad, drudzy poruszają wodę olbrzymiej wielkości wiosłami. Koryto rzeki coraz wspanialsze i szersze.

Płyniemy teraz żyzną okolicą pomiędzy krajem Jowa i Illinois. Szerokie pola ciągną się wzdłuż rzeki, w oddaleniu lasy zakończone widnokrąg. Jesteśmy właśnie w dolinie Mississipi, bogatej we wszelkiego rodzaju zboże, mianowicie w kukurydzę.

Illinois i Jowa należą jeszcze do wolnych Stanów, na południe ich zaczynają się stany niewolnicze. W Stanach środkowych nad Mississipi wielu osiada Niemców i Irlandczyków, w południowych są Francuzi i Hiszpanie, ale wszyscy przyjęli prawa i obyczaje anglo-normandzkie. Wielu jest także Żydów w Ameryce zachodniej, używają

tychże samych praw co i krajowcy, a powierzchownością mniej się różnią od ogółu, aniżeli w Europie.

Otóż w tej chwili mijamy Nauvoo, niegdyś główne gniazdo mormonów, widać jeszcze na wzgórzu wspaniałe zwaliska ich świątyni. Jeden z moich przyjaciół, który przed kilkoma laty odbył podróż nad Mississipi, wylądował w Nauvoo, wkrótce po śmierci proroka mormonów, Joe-Smitha, zabitego przez Illinijczyków. Widział jak mormoni z miasta i okolicy w liczbie dwudziestu tysięcy ludzi opuścili własne ognisko i śpiewając psalmy, poszli na zachód ku pustyni szukać ziemi obiecanej przez proroka. Przeszedłszy dzikim krajem trzy tysiące mil angielskich, zniosłszy wiele trudów i niebezpieczeństw, przybyli wreszcie nad jezioro Słone. W kilka lat potem wzrosli tam w wielką ludność i potęgę. Kabet, socyalista francuzki, nabył tymczasem miasto Nauvoo i założył w niem stowarzyszenie, oparte na zasadzie równości.

W tym wielkim Zachodzie, nad brzegami tej ogromnej rzeki, wielka panuje różnorodność, niesłychany zamęt. Obok dzikich indyan, widzimy tu łagodnych i śpiewnych skandynawów. Tu mormoni zapowiadając w imię Chrystusa i Jego proroka, dziesięć wieków panowania na ziemi, zakładają kwitnące państwo i obiecują raj nowy. Tu rozpущeni awanturnicy, hołdowniki złotego cielca, prawem mocniejszego kradną, mordują i srogie zwłaszcza na południu popełniają bezprawia. Tu widzimy gniazda komunizmu, a tuż obok, właścicieli plantacyj, pastwiących się nad nieszczęśliwymi murzynami. Tu odkrywamy także ludzi wytrwałych i pobożnych, którzy jakby roje pracowitych pszczoł i bobrów, spełniają pomału wielkie dzieło cywilizacyi. Tu wznoszą się ogromne miasta, kędy zbytek, owa gangrena nieuleczona, szczepi skażenie w łonie społeczne-

go bytu, gdzie czciciele mamony budują ołtarze swemu bóstwu i w złote pęta pragną okuć świat cały. Tu nakoniec prawdziwi naśladowcy Chrystusa drogą miłości i ofiary, w imię pokoju usiłują odrodzić ludzkie społeczeństwo. Niech Bóg błogosławi ich chęciom!

Na Missisipi 5 Listopada.

Od kilku godzin stanęliśmy na miejscu. Ogromne skały sterczą środkiem rzeki, a że woda opadła, żegluga staje się niebezpieczną. Czekamy aż wiatr ustanie zupełnie, wtedy będzie można odkryć prąd i popłynąć nim bez obawy. Słońce odbija cudnie w czystym zwierciadle wody. Dzień mamy gorący jakby w lecie.

Saint-Louis, Missouri 8 Listopada.

Przybyłam nakoniec do Saint-Louis, miasta portowego na zachodnim brzegu Missisipi. Sama nie wiem jeszcze czy będę na weselu na które mnie zaproszono, do jednego z pierwszych tutejszych domów. Poznałam dziś rano rodzinę nowożeńców. Narzeczony młody i piękny, posiada we Florydzie ogromne plantacje, matka panny młodej słynna niegdyś z wdzięków, grzeczna, ale nadzwyczaj przesadzona. Ma lat przeszło pięćdziesiąt, mimo to wygorsowana, umalowana, wyperfumowana, wyprawia dziwne sztuki wachlarzem, przypominała mi zupełnie starą francuską elegantkę. Zaprosili mnie na wielki wieczór. Senator Allen, przyjaciel Downinga, do którego miałam list polecający, namawia mnie na tę ucztę, chce abym to-

warzyszyła jego żonie, ale mam katar, wreszcie nie lubię tego rodzaju zabawy. Lękam się tysiąca pytań i próżnego światowego szczebiotania. Chętnie patrzę na piękne kobiety i na świetne stroje, ale widziałam ich już tyle na starym i nowym świecie.

Jestem dotąd w hotelu, ale jutro lub pojutrze przeniosę się do letniego domu senatora Allen, niedaleko od miasta.

Płynąc tu, zatrzymaliśmy się po drodze w małym miasteczku Keokut. Gdy się rozgościła w hotelu, wyszłam trochę, chcąc się rozejrzeć po mieście. Podobały mi się bardzo ładne drewniane domki robotników, rozrzucone na przedmieściu po nad rzeką. Przez pootwierane drzwi patrzyłam z upodobaniem na panujący we wszystkich ład i spokój. Było to w niedzielę, wszystko też świętą miałoby postać.

O zmroku powróciłam do hotelu. Tymczasem rozszła się po miasteczku wieść, o przybyciu *skandynawskiego zwierza*. Drzwi się nie zamykały, żądano koniecznie, aby zwierz się ukazał.

Zeszłam więc do salonu, gdzie mnóstwo zastałam nieznajomych. Poznałam się prawie ze wszystkimi. Sama otwarta z natury, lubię szczerłość amerykańców i oceniam przyjacielskie ich zwyczaje. Dają się poznać od razu.

Późno wieczorem wsiedliśmy znowu na statek, a nazajutrz rano wpłynęliśmy na rzekę Missouri, która wpada do Mississipi o kilkanaście mil na północ od miasta St.-Louis. Missouri z taką siłą rzuca się w objęcia Mississipi, że zmienia zupełnie jej poważny charakter, a nawet i barwę.

St.-Louis szczególnie przedstawia się z daleka. Zduje się osadzona od strony rzeki długim szeregiem białych

niedźwiedzi. Są to wielkie parostatki przytwierdzone do brzegu, pomalowane wszystkie biało, jest ich ze sto przynajmniej. Flagi różnych narodów igrają z wiatrem po nad niemi. Powietrze bardzo tu jeszcze łagodne, zastałam w St.-Louis kwitnące akacje i sykomory.

9 Listopada.

Oddałam dziś rano wizytę narzeczonemu. Pokój w którym siedziała panna młoda, przyémiony był zupełnie i tylko oświecony słabym kominkowym ogniem. Narzeczona wysoka, szczupła, chuda, zresztą ładna, ma cerę kwitnącą, ale wygląda jak kwiat wychodowany w cieplarni. Długimi i cienkimi palcami bawiła się ciągle z łańcuszkiem od zegarka, na którym błyszczało mnóstwo eleganckich a kosztownych drobnostek. Ubrana była wytwornie, patrząc na nią, zdało mi się, że widzę jakiś sprzęt zbytkowy, a raczej piękny posąg do ozdobienia salonu, nie zaś przyszlą gospodynię domu. Wszystko w około niej zapowiadało nadzwyczaj rozmiękczone wychowanie. Narzeczony bardzo nią zajęty, wiezie ją naprzód do miasta Cincinnati, a potem do wiecznie kwitnącej Florydy. Czestowano mnie słodkim winem i ciastami.

Gdym wyszła z tego pół-mroku, z tych kłębow odurzających woni, gdym potem spojrzała w jasne niebo, w słońce, gdym usłyszała świegotanie ptastwa i szum drzew odwiecznych, niewysłowioną uczułam radość. „Mój Boże! pomyślałam, czemuż to wszyscy nie znają i nie oceniają tych cudów?“ Kobiety tutejsze nadzwyczaj żyją sztucznie. Tracą siły, siedząc ustawicznie na miękkich, kołyszących się krzesłach, przy ogniu, który tak latem,

jak zimą nie gaśnie na kominie. Ztąd pochodzi słabe ich zdrowie i umysłowa nieudolność. Życie to przypomina zupełnie miękkie obyczaje haremu, z tą tylko różnicą, że tu kobiety nie są niewolnicami, ale przeciwnie panują niewolnikom. Takie wychowanie tłumi wrodzone zdolności kobiety i nie pozwala jej pojmować wysokiego przeznaczenia swego w społeczeństwie.

Prosto z tych odwiedzin, poszłam obejrzeć pobożne zakłady katolickie, pod opieką i zarządem zakonnic. W innym tu świetle ujrzałam kobietę. W dwóch wielkich domach sierot, w zakładzie pokutujących grzesznic, w kilku nakoniec szpitalach, widziałam jak pobożne siostry żyją wielkiem i świętem życiem, jak po macierzyńsku czuwają nad kołyską niemowląt i nad łóżem chorego, jak dźwigają z upadku moralnie upośledzone istoty. Pięknyż to i prawdziwie budujący widok!

Muszę wyznać, że katolicy na zachodzie wyprzedzili o wiele protestantów, idąc w ślad za Chrystusem w wielkich czynach miłosierdzia. Kościół katolicki na zachodzie żyje pełnem życiem. Klasztory tutejsze nadzwyczaj są czynne. Ślicznie mi się wydały zakonnice w ich poważnem ubraniu, z anielskim pokojem oblicza, ciągle krzątające się i zajęte. Zdały się stokroć piękniejsze, zdrowsze i szczęśliwsze, niż wiele światowych kobiet. Chory patrząc na nie, musi rad nie rad powrócić do zdrowia.

„Klasztory — pisał nasz sławny historyk Gejer, na krótki czas przed śmiercią — klasztory, powinny być koniecznie przywrócone, ludzie związani religijnym węzłem, wolni od związków społecznych, mogą najlepiej spełniać święte czyny miłosierdzia.“

Wczoraj i onegdaj robiłam nieustanne wycieczki po mieście. St.-Louis zbudowane na wzgórzu, niedaleko ujścia Missouri do Mississipi. Ma wielką przyszłość przed sobą. Mnóstwo widziałam wytkniętych ulic i rozpoczętych budowli. Ogromne kominy fabryk i wybuchające z nich czarne kłęby dymu zapowiadają przemysłowy kierunek tutejszego społeczeństwa. Zamyślają tu o kolei żelaznej, która ma iść ztąd aż do oceanu Spokojnego. Wielu czynnych ludzi zachodu popiera usilnie to przedsięwzięcie. Liczba emigrantów, mianowicie Niemców, wzrasta w St.-Louis codziennie. Przez ostatnie cztery lata ludność z 35,000 doszła do siedmdziesięciu. Stan Mississipi obejmuje dziś dwa miliony mieszkańców, choć ma zaledwie trzydzieści lat istnienia.

Chodząc mrokiem po mieście, spostrzegłam kilka ludzkich postaci, wychudłych, zniszczonych pracą nad siły, były to na pół dzikie istoty. Smutno mi się zrobiło w duszy i zasepiona wróciłam do hotelu.

Pomiędzy osobami które mnie odwiedziły, było kilku Swedenborgistów. Myśleli, że należą do ich sekty, ale ich z błędu wywiódł. Mnóstwo jest w Ameryce wyznawców zasad Swedenborga, którzy dopatrują nieustannie związku świata żyjącego ze światem ducha. Na ich ementarzach widać często wryty na kamieniu napis: Ten a ten, wszedł do świata duchów, dnia tego a tego.

Ładne to i sprawiedliwe wyrażenie, chętnie też powtarzam z Tholukiem: „I czemuż mówić, że przyjaciel nasz umarł? Słowo to czcze i bez znaczenia. Czyliż nie lepiej powiedzieć, że przyjaciel oddalił się od nas, że nas opuścił chwilowo! tak będzie i prawdziwiej i lepiej.“

Chrystal Spring, 10 Listopada.

Przeniosłam się już do przyjacielskiej rodziny senatora Allen. Młoda i ładna jego siostra ustąpiła mi własnego pokoju, z pięknym widokiem na Mississipi i dolinę Missouri. Słota jeszcze rozpoczęła się na dobre, ale wszyscy mnie cieszą, iż nie potrwa długo. Słońce bowiem lubi świecić nad Ameryką. Pan Allen od trzech lat rachuje dni słoneczne i naliczył ich w przecięciu po trzysta piętnaście na rok.

Senator Allen, człowiek młody i bardzo światły, pracuje gorliwie nad rozwinięciem dobrego bytu w swym kraju. W przeszłym roku objeżdżając stan Missouri, miał około pięćset publicznych rozpraw, któremi zachęcał obywateli, aby brali udział w budowie kolei żelaznej, którą zamierzano prowadzić do oceanu Spokojnego. Powiodło mu się nie źle, w samym mieście St.-Louis mnóstwo zebrał podpisów. Trzeba będzie rozsadzać prochem w poprzek całe pasmo gór Skalistych, ale czemuż to jest dla przedsiębiorczych amerykańców?

Bogaci handlarze założyli St.-Louis. Księża katolicy i kupcy handlujący futrami pierwsi zapuścili się w zachodnie pustynie, jedni pragnąc pozyskać dusze niebu, drudzy uganiając się za zdobyciem ziemskich skarbów. To też religja i przemysł są dziś jeszcze głównymi działaczami cywilizacji w zachodniej Ameryce.

Pan Allen winien sam sobie byt i wykształcenie. W trzynastym roku rozpoczął zawód publicznego życia przy wydawnictwie *Penny Magasine*. Równie jak Downing, z którym ma wiele podobieństwa, jest to człowiek praktyczny i poetyczny zarazem.

W Saint-Louis mieszka wiele rodzin niemieckich, tanciec i muzyka stanowią główną ich zabawę. Są także francuzi i hiszpanie. Irlandczycy stanowią głównie ludność roboczą. Nie brak także i murzynów.

11 Listopada.

Słońce zaświeciło nareczcie. Objeżdżałam okolicę z panem Allen i jego młodą siostrą. Co mnie najwięcej uderza na zachodzie, to daleka przestrzeń i wspaniała rozległość krajobrazów. Nie raz chciałabym ulecieć daleko, daleko, i dziwno mi, że nie mam skrzydeł. W około miasta widać wielką moc letnich domów, niektóre z nich wspaniałe, otoczone drzewami i winogradem. Wszystko to wzrasta olbrzymio. Wprawdzie i kąkol wschodzi pomiędzy czystem siarnem.

Kraj Missouri, zwłaszcza północną jego część, nazwać można prawdziwym ogrodem Stanów Zjednoczonych na zachodzie. Zamyka w sobie wszystko i żyzne pola i pastewne łąki i bogate kopalnie kruszczów i ogromne lasy. Stan ten posiada niewolników, ale ich bynajmniej nie potrzebuje, gdyż biała ludność może śmiało podołać pracy. To też właściciele tutejsi odprzedają murzynów południowym Stanom.

Widziałam murzynkę, której sprzedano troje dzieci.

— Miałam sześcioro dzieci — mówiła — ale troje zabrał mi Pan Bóg, troje zaś odebrano mi i sprzedano. Gdy mi wzięli ostatnią dziewczynkę, myślałam, że mi serce pęknie od ciężkiego żalu.

I to chrześcijanie dopuszczają się takich bezpraw! Mąż biednej murzynki, odprzedany także, pracuje daleko,

u innego pana. Gdy patrzę na te prawdziwie pogańskie obyczaje, pojąć nie mogę, że takie gwałty dzieją się w swobodnej, niepodległej Ameryce!

Kraje Missouri i Arkansas, zachowały jeszcze wiele żywiołów pogańskiego i dzikiego życia. Niewolnictwo wstrzymuje tu postęp widocznie. Częste bójki i pojedynki zdarzają się nawet pomiędzy białymi. Mężczyzna każdy, zwłaszcza w podróży, ma przy sobie pugnał i pistolet, łatwo bowiem napotkać tu śmiałych awanturników, którzy nie mając już co robić w Europie, przybyli szukać szczęścia na zachodzie.

Jutro jadę do Cincinnati, zkąd napiszę do ciebie.

XXVIII.

Cincinnati (Ohio) 30 Listopada.

Od wtorku jestem przy najmilszym w świecie ognisku, w domu państwa Stetson. Ludzie to w średnim wieku, bezdzietni, bogaci, starają się na wszystkie strony rozsiewać szczęście w około siebie. Pielęgnują mnie, jakbym należała do rodziny. Młody pastor i dwie miłe panienki bawią obecnie w domu. Pan Stetson, olbrzym wzrostem i małą, miłuchną jego żona, weseli oboje nadzwyczaj, to też życie przyjemnie upływa pod ich dachem.

Powiem ci teraz słówko o podróży St.-Louis do Cincinnati. Odbyłam sześciodniową żeglugę po Ohio, spokojnie i bez wypadku, mimo wrzaskliwego towarzystwa dwudziestu czworga dzieci, z których trzecia część przynaj-

mniej krzyczała bezustannie. Pomiedzy podróznymi była matka trzydziestoletnia zaledwie, z ośmiorgiem dzieci, z których jedno było jeszcze przy piersi. Wybrała się z mężem na osiedlenie do kraju Mississipi, ale mąż dostał w drodze cholery i umarł we dwadzieścia cztery godzin. Młoda kobieta powracała z dziećmi do rodziców. Przy stojna była jeszcze, ale szczupła i wątła. Co wieczór patrzelałam z zajęciem jak kładła do snu siedmioro dzieci na ogromny materac, który im rozścielała i jak je troskliwie otulała od chłodu.

W dzień piękny, słoneczny, wypłynęliśmy z Saint-Louis, burzliwym nurtem Missouri. Po obudwu brzegach rzeki sterczały skały w kształcie ołtarzy, piramid i pilastrów. Kierując się ciągle ku południowi, wpłynęliśmy niedługo w szerokie łoże Mississipi, a następnie dostaliśmy się i do ujścia Ohio. Tu się zaczyna obszerna płaszczyna. Na małym podwyższeniu ujrzałam opuszczoną osadę. Miało tu stanąć wielkie handlowe miasto Kairo, ale miejsce okazało się wilgotne, wyziewy szkodliwe dla zdrowia, opuszczono więc rozpoczęte budowle.

Rzeka Ohio, węższa nierównie od Mississipi, ale brzegi jej wysokie i zarosłe drzewami. woda ładna i przezroczysta. Nad rzeką widać wiele osad i kształtnych domów, drzewa nadbrzeżne ogromnej wielkości, oplecione jemiolą prześlicznie wyglądają. Dalej jednak ustępują drzewa, krajobraz rozszerza się, wzgórki rozsuwają, wieże i strzały jawią się uroczym na tle widnokregu, zielone winnice zaścielają pagórki i wielkie miasto występuje coraz wyraźniej. To królowa zachodu, Cincinnati. Ma dopiero sześćdziesiąt lat istnienia. Pierwsi jej założyciele żyli tu jeszcze przed kilkoma laty. Dziś posiada już sto dwadzieścia tysięcy ludności.

Wysiadając na ląd, pożegnałam serdecznie poczciwą murzynkę, starą Michalę, służącą na statku. Wyborna to kobieta. Matka czternastu dzieci, nie ma dziś ani jednego przy sobie, kilkoro z nich wydarła jej śmierć, resztę sprzedali ludzie. Ma przynajmniej wiadomości o trojgu. Mówiła biedna o swych zgryzotach z żalem, ale bez goryczy. Należy teraz do Niemców, którzy ją wynajęli właścicielowi parowego statku. Michala pragnie koniecznie zarobić tyle, aby mogła się okupić, osiąść przy zamężnej córce w Kentucky i tam trudnić się praniem. Zebrała już małą sumkę. Uściskała mnie tak szczerze przy pożegnaniu, że najmilszej w sercu doznałam pociechy.

Ledwie żem wysiadła, przystąpił do mnie pastor, przyjaciel domu w którym jestem obecnie. Zaprosił mnie w imieniu państwa Stetson i zabrał natychmiast z sobą.

Miasto Cincinnati ma potrójny przydomek. Nazywają je królową zachodu, miastem róż i miastem wieprzów. Wszystkie trzy nazwy są mu zupełnie właściwe. Jest to bowiem pyszne miasto, położone wpośród zielonych winnic i ogrodów, rzeka Ohio płynie u jego podnóża, w listopadzie jeszcze widziałam róże kwitnące w tutejszych ogrodach. Obecnie jednak najlepiej przypada nazwisko „miasta wieprzów“, bo tysiące tych nierogatych zwierząt sprowadzają tu z zachodu i biją w jatkach umyślnie na ten cel urządzonych. Mięso nasolone i usaletrowane rozsyłają stąd do wschodnich i południowych Stanów. Nieraz trzody tak napełnią ulice, że trzeba z poszanowaniem ustępować im z drogi.

Grudzień.

Już trzy tygodnie bawię u gościnnej i zacnej rodziny Stetson. Poznałam tu mnóstwo osób, objechałam miasto wokoło. Położenie w ogólności prześliczne, a szczególnie nad rzeką. Ludzie jedni dobrzy, drudzy zli, jak zwyczajnie ludzie. Z jednymi z nich radabym żyć zawsze, drugich mogłabym nigdy nie widzieć, ale jednak strona dobra przeważa dzięki Bogu.

Byłam w zeszłym tygodniu na weselu, obchodzono zaślubiny trzech par młodych i pięknych, a jedna swłaszca panna młoda bardzo mnie zajęła; to też powiedziałam jej z głębi serca: „Niech cię Bóg błogosławi moje dziecie.“ Widziałam na tej uczcie piękne stroje i uroczę twarze. Amerykanki w ogólności bardzo są urodziwe, nie ma prawie brzydkich pomiędzy nimi. Ubierają się z gustem, ale zanadto wiele mają próżności, brak im owego wdzięku, który urokiem przechodzi piękność samą. Tutejsze kobiety lubią zbytki, zabawy i stroje, czem niekiedy doprowadzają mężów do rozpacz.

Niedawno poróżniło się tu małżeństwo o rzecz nadzwyczaj błahą. Żona blade z natury, malowała twarz różem, mąż opierał się temu. Nierozsądna matka wmięszała się w spór małżeński, dziś oboje żyją rozłączeni.

Mężczyźni tutejsi mają także swoje wady, lubią grę i trunki. Małżeństwa zawierają po większej części dla pieniędzy, co w pożyciu czuś się niezmiernie daje.

Klimat w Cincinnati bardzo niezdrowy, powietrze zmienne, co sprawia w ogóle wielką drażliwość humoru. Panują tu drobne zawisci, plotki, wzajemna nieufność, słowem owe małe djabelki, które tak lubią mącić świętą spokojność rodzin.

Widziałam kilku szwedów osiedlonych w Cincinnati, jeden z nich zrobił znaczny majątek na *piekle*, a to następującym sposobem. Młody rzeźbiarz amerykański, zwany Power, pracując długo u zegarmistrza, wyrobił mechaniczne piekło. Szwed o którym mówię, kupił je, umieścił w muzeum i pokazywał za pieniądze, dodawszy do obrazu piekła sztuczne grzmoty, pioruny, błyskawice i wstrząśnienia elektryczne. Dziś ma znaczny majątek, żonę i dzieci, wszystko to pozyskał z łaski piekła.

Poznałam także kilka bardzo zacnych rodzin amerykańskich. W jednym domu widziałam młodą matkę, wdowę. Wychowuje pięciu ładnych chłopczyków, w prawdziwie amerykańskich zasadach, na pożytecznych ludzi i gorliwych obywateli.

Poznałam także bezdzietne małżeństwo, oboje nadzwyczaj ukształceni, pracą umysłową odganiają nudy z domowych progów swoich. W trzecim domu głębszego jeszcze doznałam wrażenia. Jest tam młoda panienka skazana na śmierć przez doktorów. Patrząc na jej rumiane i okrągłe policzki, niktby się ani domyślił, że śmierć siedła już u jej wezgłowia. Ale młoda panienka wie o tem, wie także przywiązana jej matka. Obiedwie też podczas nocy bezsennych, przygotowują się do blizkiego rozłączenia. Mówią o tem jakby o błogosławieństwie dla młodej dziewczeczki, która uiosąc krzyż boleści, z miłością i poddaniem dąży do społeczeństwa aniołów. Jasno jakoś i miło w pokoiku tej chorej. Przyjaciele ją odwiedzają, przynoszą jej dary, a ona stojąc już po nad grobem, wymawia słowa pełne wiary i pokoju, przykłady takie często zdarzają się w Ameryce.

15 Grudnia.

Mimo to, że mi prawie miło i dobrze w domu w którym bawię, pragnę już co prędzej wyjechać na południe. Chciałabym widzieć uroczystości murzynów podczas Bożego Narodzenia, ich uczty i tańce w plantacyach. Mówiono mi tyle o pieśniach i pługach biednych niewolników, że radabym widzieć je na własne oczy. W Karolinie i Georgji przesąd religijny zabronił im tej niewinnej uciechy, w Louizyannie podobno trzymają się dawnych zwyczajów.

Pojutrze odpływam ztąd statkiem parowym do Nowego Orleanu. Pan Harisson, którego tu poznałam, będzie mi towarzyszył. Wyczytałam w dziennikach ciekawe szczegóły o kolonizacyi murzynów w Afryce. Niedawno właśnie stan Ohio zakupił znaczną przestrzeń ziemi na brzegach afrykańskich. Bogatsi obywatele z Cincinnati złożyli kilkaset dolarów w tym celu. Ta ziemia zwać się będzie Ohio afrykańskie. Mają tam wysyłać całe rodziny uwolnionych murzynów.

Ohio należy do Stanów wolnych. Ale na przeciwnym brzegu jest stan niewolniczy Kentucky. Dawniej dość było murzynowi przebyć rzekę, aby być ocalonym i bezpiecznym. Teraz ucieczka na nic się nie przyda, gdyż skutkiem nowego prawa można wszędzie ścigać i zatrzymać zbiegów.

Bądź mi zdrowa moja Agato. Opuściwszy Cincinnati napiszę znów do ciebie.

XXIX.

Arka Noego na Mississipi 18 Grudnia.

Wy płynęłam z Cincinnati szesnastego grudnia. Moi poczciwi gospodarze odprowadzili mnie na statek i obdarzyli upominkami. Zabiorę ich dary do Szwecyi, tam przypominać mi będą Ohio i Cincinnati. Pan Steston dał mi prześliczny zbiór muszli z Ohio, niektóre są cudnie piękne, na białem tle odbijają wszystkie odcienia tęczy.

W dzień wyjazdu czas był piękny i ciepły. Winnice, wille i rzeka jaśniały od słonecznych promieni. Tak samo było i z duszą moją; współczucie jakiego doznałam w Cincinnati, przenikało mi serce, ale nieznośny ból głowy dręczył mnie, pragnęłam samotności i ciszy.

Wielki statek nasz posuwał się wolno, poważnie, po jasno-błękitnej wodzie. Wysokie a strome brzegi ustępowały pomału, wille znikały z oczu, drewniane dworki nawet coraz to były rzadsze, zbliżaliśmy się do Mississipi.

Ale i cóż to się stało? Polowanie na wodzie... Czy jeleń płynie z Kentucky ku wybrzeżom Ohio? Już, już się zbliża do wolnego brzegu, ale dwie łódki biegną za nim w ślady. On jednak prześciga je, płynie co siły, już widzę go blisko ładu. Niestety, łódka odbija od przeciwnej strony i zastępuje mu drogę. Biedny zawraca nagle i wpada pomiędzy dwie ścigające go łodzie. Przewoźnicy podnoszą wiosła, mierzą w głowę nieszczęśliwego zbiega. Odwracam oczy z oburzeniem. Statek parowy posuwa się coraz dalej, widzenie znikło, biedny zbieg wpadł w moc prześladowców, ciężko mi, smutno na sercu, powietrze jednak łagodne, woda błękitna, niebo czyste, bez chmury.

Statek nasz jest olbrzymiej wielkości; nazywam go arką Noego, bo jest na nim z jakie tysiąc zwierząt wszelkiego rodzaju; wszędzie ich pełno, obok nas, nad nami i pod nami. Ogromne woły, tak spaśne że zaledwie chodzą, krowy, cielęta, muły, konie, barany, całe trzody wieprzów, ryczą, kwieczą, rżą i beczą na niższym pomoście; a co gorsza, napełniają powietrze wcale nie miłą wonią; powyżej znów gulgoczą indyki, gdaczą kury, gęsi i kaczki krzyczą po swojemu, koguty pieją i biją się między sobą, a małe prosięta biegają swobodnie między klatkami drobiu.

Wybornie nam na pomoście środkowym. Salon kobiet obszerny i ładny, podróżnych nie wiele, niektórzy bardzo przyjemni. Mam włosną kajutę i zdrowa jestem jak ryba. Mój towarzysz podróży, pan Harisson, bardzo miły i dobry człowiek, opiekuje się mną prawdziwie przyjacielsko, dzieci krzykliwych nie ma na statku, krzyk zwierząt mało mnie obchodzi, te biedne ofiary płyną do Nowego Orleanu, na zwykły targ przed Bożem Narodzeniem.

19 Grudnia.

Brzegi Mississipi smutne i jednostajne w tem miejscu, wiatr potrząsał liście z drzew nadbrzeżnych. Chłodno jakoś i szaro, zima szybkim przybliża się krokiem.

Wczoraj wieczorem pan Harisson miłą sprawił mi niespodziankę. Zapytał mnie, czy chcę słyszeć śpiewających na statku murzynów i sprowadził mnie na dół; dziwny widok uderzył moje oczy. Ogień płonął w ogromnym piecu, przez ośm otwartych paszez wybuchały na zewnątrz płomieie. Przy każdym otworze stał murzyn i dorzucał drzew na pastwę żarłocznego potwora. Pan

Harisson prosił murzynów, aby nam zaśpiewali. Zabrzmiała pieśń, jeden improwizował, inni przywtażali mu chórem. Płomień oświecał hebanowe ich twarze, nuta pieśni prawdziwie była urocza.

Jesteśmy jeszcze w kraju zboża, wkrótce dostaniemy się w kraj bawełny. Płyniemy pomiędzy stanami Arkansas i Tennessee. Obadwa stany bogate w płody, ale niewolnicze i surowe pod względem umysłowej uprawy.

20 Grudnia.

Otóż jesteśmy w ojczyźnie bawełny. Po obudwu stronach rzeki widać szerokie plantacye, a wpośród nich białe domki plantatorów i murzyńskie osady. Widać w koło czarne postacie, pochylone ku ziemi, zbierające resztki bawełny z krzaków. Wysiadłam dziś na brzeg z panem Harisson i ułamałam gałązkę tej rośliny.

Brzegi rzeki zarosłe gęstą trzciną, ten wał naturalny, odgranicza wodę od lądu.

Ojciec Marquette przedarł się tu, idąc od północy. Od południa zaś, pierwszy z europejczyków przybył tu hiszpan, Ferdynand de Soto.

Dwa poemata krążą nad kolebką Mississipi, jeden piękny, jasny, jak jej północne wody, drugi tragiczny, ponury, jak mętne jej fale na południu. Bohaterem pierwszego poematu ojciec Marquette, pełen słodyczy i prostoty, mówiłam ci już o nim. Bohaterem drugiego pyszny rycerz hiszpański Ferdynand de Soto.

Rycerz ten podbił Meksyk z Pizarem; odznaczył się w oblężeniu Cusco. Ferdynand, król hiszpański, wynagrodził go zaszczytami i złotem. Mianowano go gubernatorem.

torem Kuby, ale pyszny i wyniosły umysł nie mógł na tem poprzestać. Uwiedziony podwójnem proroctwem, żądał, aby mu pozwolono odbyć własnym kosztem wyprawę z Florydy do północnej Ameryki, gdzie miał pozyskać dla Hiszpanji niezliczone skarby i kraje stokroć bogatsze od Meksyku i Peru. Głębokie przekonanie Ferdynanda Soto, tak zapaliło hiszpanów, że tłumy pierwszej młodzieży garnęły się pod jego chorągiew. Sprzedawano winnice, domy i klejnoty, na kupno rynsztunków i koni. Soto wybrał z pomiędzy wszystkich sześciuset młodzieńców, równie jak on dzielnych, bogatych i pełnych zapału.

Nie piękniejszego nad przybycie młodego rycerstwa na brzegi Ameryki. Łagodny powiew Florydy, kołysał sztandary zatknięte na wybrzeżu. Połyskując od złota, odziani jedwabiem, młodzi rycerze odprawiali harce pomiędzy oceanem a krajem nieznanym, w ich mniemaniu pełnym złota i wspaniałych grodów.

Ferdynand de Soto chcąc tak sobie, jak i swoim zastępom odjąć sposobność odwrotu, wysłał okręta do Kuby i z młodem rycerstwem wdarł się w pustynie Nowego Świata; mieli ze sobą broń i narzędzia wszelkiego rodzaju, tudzież łańcuchy żelazne i buldogi na indyan.

Było to w maju 1539 roku. Gdziekolwiek spoczęli młodzi wędrowcy, odprawiano mszę świętą z wielką uroczystością. Wszędzie mimo to dopuszczali się gwałtów na krajowcach. W obozie zaś, grali w karty namiętnie.

Pierwszego roku dostali się do Georgji, którą nazywali jeszcze Florydą, równie jak całą południową część stałego lądu. Pochód był uciążliwy, czasami niebezpieczny, z powodu srogiej nienawiści indyan. Hiszpanie znaleźli dostatkami kukurydzy, ale nie widzieli na oczy ani złota, ani bogatych grodów, niekiedy tylko spotkali ubogą

osadę indyjską, zapytywani przez nich dziecy odpowiadali, że nie słyszeli nawet o złocie. Towarzysze Ferdynanda Soto usiłowali nakłonić go do odwrotu, ale on odrzekł im stanowczo:

— Nie zaniecham wyprawy, dopóki się nie przekonam naocznie o ubóstwie tego kraju.

I kazał palić indyan, mordować ich bez litości, w mniemaniu, że go zwodzą. Niektórzy uwięzieni naczelnicy pokoleń przerażeni tym przykładem, dali do zrozumienia, że jest złoto w północno-zachodniej stronie Ameryki. Ferdynand Soto ruszył więc z rycerstwem, siejąc śmierć i zniszczenie w swoje ślady.

Drugiego roku przybyli pomiędzy góry Georgji, gdzie napotkali łagodne i spokojne pokolenie Cherokiezów. Wielu z towarzyszków Ferdynanda chciało pozostać w tej pięknej okolicy, uprawiać ziemię i spożytkować jej dary, ale Soto przyrzekł zdobyć dla Hiszpanji moc złota i grody wspaniałe; dumny hiszpan nie mógł więc zatrzymać się na pół drogi. Był to człowiek dziwnie uporeczywy, mało mówił, ale dzielną miał wolę, pod którą nagiąć się musiały karki towarzyszków.

Poszli więc naprzód i przybyli do Alabama. Tam napotkali wielką osadę indyjską. Indyanie powstali przeciwko nim. W okropnej rzezi, która całą noc trwała, hiszpanie stracili część rycerstwa, wielka moc odzieży i zapasów poszła w perzynę. Z osady indyjskiej pozostał popiół i dymiące zgliszcza.

Statki hiszpańskie wróciły do Kuba zatoką Pensakola i stanęły pod Mowillą. Ale Soto nie znalazł jeszcze ani srebra, ani złota. Ogień zniszczył w Mowilla jego wszystkie zasoby. Zbyt dumny, aby przyznać, że postradał nadzieję, umyślił nie dać wieści o sobie, dopóki nie

osiągnie celu. Oddalił się więc od brzegów i wdarł się w północno-zachodnią część kraju Mississipi.

Zima zaskoczyła mały zastęp rycerstwa, z pięciuset ludzi zaledwie już złożony. Śnieg i mrozy, dały się uczuć dotkliwie. Ale pola zasłane jeszcze były kukurydzą, hiszpanie mogli wyżyć, mogli zamieszkać opuszczone chaty indyan Chikawsów. Nie znaleźli jeszcze złota, dzieci nie mieli klejnotów, ubodzy byli i kochali tylko swobodę. Gdy Soto zażądał od nich na wiosnę dwustu przewodników do przeniesienia rzeczy, indyanie zapalili obóz, a pustynia zabrzmiała srogim wojennym okrzykiem.

Hiszpanie stracili wszystko co oszczędził pożar w Mowilla. Ubożsi byli od najbiedniejszych krajowców, musieli znosić głód i zimno. Ale pycha i upór Ferdynanda Soto wzrastały razem z nędzą. On, który przyrzekł zdobyć skarby Nowego-Świata, mógłże powracać z garstką ludzi półnagich i ogołconych ze wszystkiego?

Zdjął pęta niewolnikom i kazał przekuć je na oręż, przyodział rycerzy w skóry zwierząt, w plecionki z trawy i szedł dalej na zachód poszukując krainy złota.

Przez siedm dni szedł ogromną pustynią, darł przez lasy, brnął przez bagna, doszedł nareszcie do osad indyjskich rozsianych nad brzegami Mississipi.

Ferdynand Soto, pierwszy z Europejczyków, ujrzał olbrzymią rzekę, trzy wieki nie zmieniły jej wcale. W maju 1544 roku hiszpanie przebyli rzekę na wielkich łodziach, które sami wyciosali z drzewa. Soto wdarł się w krainę Arkansas. Tu indyanie krajowcy, przyjęli hiszpanów jako dzieci słońca, przyprowadzali ślepych, „aby synowie światłości przywracali wzrok synom cieniów.“

„Błagajcie o to Boga, który mieszka w niebie, od-

rzekł im Soto, On wam da wszystko, o cokolwiek prosić będziecie.“

Wiedziony tajemnym pociągiem, Ferdynand Soto posuwał się dalej jeszcze w zachodnio-północną stronę, wniknął w głąb kraju, aż do gór ciągnących się pasmem po nad rzeką Białą, ale w górach nie było złota, ani drogich klejnotów.

Spędził zimę wraz z rycerstwem w osadzie indyjskiej, nad brzegiem Białej rzeki, wpośród spokojnego pokolenia, które miało warowne grody. Młodzi hiszpanie pastwili się nad krajowcami. Soto, jak mówią, nie był z natury srogi, ale niczem było dlań życie półdzikiego indyanina.

Na wiosnę następnego roku Soto umyślił popłynąć rzeką aż do ujścia jej w morze, ale zabłąkał się wśród trzęsawisk, przy wpływie Czerwonej rzeki. Wylądował w kraju zwanym Guachoga i zapytał naczelnika indyan czy daleko do oceanu. Indyanin nie umiał na to odpowiedzieć. Mówił tylko, że cała okolica bagnista i pusta. Soto nie uwierzył temu, wysłał konnych ludzi ku południowi, w stronę Mississipi. Wysłańcy przez trzydzieści dni ujechali zaledwie trzydzieści mil (angielskich), dostali się bowiem pomiędzy błota i nieprzedarte zarośla. Powrócili z niczem.

Soto słuchał ich w ponurem milczeniu. Ludzie trupem padali w jego oczach, konie padały także. Indyanie coraz groźniejszą przybierali postać. Koło Natchez umyślił Soto pokonać przestachem jedno pokolenie, udając się za syna słońca, człowieka nadprzyrodzoną obdarzonego mocą.

Naczelnik odpowiedział: „Mniemasz się być synem słońca? Spraw więc, aby rzeka wyschła do dna samego, a wtedy ci uwierzę.“

Soto nie mógł już ani grozić, ani karać. Upór jego i pycha ustąpiły głębokiej boleści. Siły strawiły się po mału w ciągłej walce z przeciwnością i udęczeniem. Gorączka paliła mu wnętrzności, nie miał kto czuwać nad nim w chorobie. Cały zastęp składał się już tylko z trzechset ludzi.

Gdy Ferdynand Soto uczuł śmierć zbliżającą się stanowczo, zwołał wiernych towarzyszków i mianował z pomiędzy nich następcę po sobie.

Umarł nazajutrz. Żołnierze opłakiwali go serdecznie, sławiąc jego pamięć. Księża zaśpiewali pierwsze *Requiem* nad brzegami Mississipi. Aby ukryć śmierć jego, owinięto ciało szerokim płaszczem, poniesiono w ciemną noc po nad rzekę i w milczeniu spuszczonego trupa na dno wody.

Miesiąc maj rozwinął kwiaty nad brzegami Mississipi, wiosna zazieleniła drzewa, ale Ferdynand Soto nie był już świadkiem tych cudów. „Ten, który odkrył Mississipi, spoczywa w głębi jej fali, mówi biograf Ferdynanda. Przez cztery lata uganiał się za złotem, ale nic piękniejszego nie odkrył nad własny swój grobowiec!“

Ojciec Marquette zasnął u stóp ołtarza, bez choroby, bez bólu, przeżywszy dni w spokoju i ciszy, dokonawszy mocą ducha niezliczonych podbojów. Ferdynand de Soto, umarł strawiony chorobą, w pośród bagnisk i ciężkich trudów, serce jego szarpały do ostatniej chwili szatany pychy i upokorzenia.

Jakież to wspaniałe obrazy! Poezja nie wymyśliła nic jaśniejszego nad uroczą postać Bożego kapłana, nic czarniejszego nad postać srogą dumnego hiszpańskiego zdobywcy.

21 Grudnia.

Mississippi coraz szersza, ponuro płynie pod niebem pochmurnem i dżdżystem. Brzegi jej zarosłe trzeiłą, niskie i bagniste. Woda wzbiera co dnia na rzece, zdaje mi się, że powtórny potop zalał ziemię, nasza arka jednak płynie spokojna i bezpieczna po wzburzonym żywiole, a ja czuję się wesołą i swobodną.

Pokój, zgoda i ład panuje na statku. Rano czytam zwykle historię Ameryki i patrząc na rzekę, zasyłam myśl do morza. Po obiedzie i wieczorem rozmawiam z miłymi towarzyszami żeglugi. W godzinę obiadową pan Harisson przyjmuje mnie w sali, prowadzi grzecznie do stołu, siada przy mnie i zabawia rozmową. Wiadomości jego niezbyt rozległe, ale serce zacne i poczciwe, a dla mnie to wystarcza.

Zwierzęta nasze bawią mnie i zajmują, oprócz wieprzów, które potopiłabym chętnie w Mississippi gdybym mogła.

A teraz powiem słówko o nowych znajomych na statku. Między innymi są dwie siostry, świeże jak pączki róży, z duszą przezroczystą jak kryształ; prawdziwe córki Nowej-Anglii; jakkolwiek mogłyby żyć spokojnie u siebie, płyną, szukając chleba w nauczycielskim zawodzie, pragnąc zapewnić sobie byt niezależny i swobodny. Starsza ma lat dwadzieścia i pięć, ma objąć zarząd wyższej szkoły żeńskiej w kraju Mississippi. Młodsza, siedemnastoletnia dopiero, będzie kończyć nauki przy siostrze. Obiedwie prześliczne. Osieroczone od dawna, mają tylko dwóch ukochanych braci. Czasami stojąc na pokładzie śpiewają uroczne piosenki.

W starszej widzę prawdziwy typ nauczycielki amerykańskiej. Jakkolwiek wątła i szczupła, stoi silnie na swoim stanowisku, jakby alpejska skała. Rozumie Euclidesa i zna doskonale algebrę. Zabiera się do swego zawodu nie jako nauczycielka i ochmistrzyni, ale pełna matczyńskiej miłości ku wzrastającemu pokoleniu.

Poznałam także dwoje dość jeszcze młodych małżonków. On posiada plantacyę i niewolników, ale najlepszym jest dla nich panem. Płynię na wyspę Kubę, szukając dla słabej żony cieplejszego klimatu, potem popłyną oboje do Europy. Bardzo jak widać przywiązani do siebie.

Żona powiadała mi, że mąż jej nie ma chwili spokojnej, myśli nieustannie o swych biednych murzynach, pielęgnuje ich jak dzieci i mniema zawsze, iż nie dość dla nich czyni.

22 Grudnia.

Minął szósty dzień żeglugi, powietrze coraz to cieplejsze, niebo cudnie błękitne, gdzieniegdzie tylko przebiegają białe chmurki, jak stada gołębi. Na brzegach wznoszą się ładne domy, otoczone gajem pomarańcz, cedrów, cyprysów i róż, okrytych kwiatem. Minęliśmy ojczyznę cukru i kraj Natchez, niegdyś siedzibę potężnego pokolenia indyan, czcicieli słońca, którzy utrzymywali *ogień wieczny*. Zostawiliśmy za sobą stany Mississipi i Arkansas, jesteśmy nakoniec w Luizyanie, która się rozsiała wspaniale po dwóch stronach rzeki.

Południe się zbliża. Brzegi coraz bardziej ożywione. Murzyni i murzynki wyjeżdżają konno z plantacyj, zapewne w pole na robotę. Za nimi podąża dozorca parokonnym wózkiem.

Przyglądałam się bacznie murzynom siedząc na pokładzie. Właściciel plantacyj zbliżył się i usiadł przy mnie na krześle.

— Nie wesoły to widok — zagadnęłam — wskazując czarnych niewolników.

— O tak! — odparł smutno plantator — nie masz pani pojęcia co się dzieje na tych brzegach. W tej chwili zwłaszcza, gdy bawełna dojrzewa, okropne tu codziennie odbywają się dramata.

Nie będę powtarzać wszystkich słów zacnego właściciela murzynów; ludzkie serce wzdryga się na ta okropności i gwałty. Znał dobrze te strony, mieszkał tu bowiem przez czternaście lat, aż w końcu, nie mogąc znieść widoku strasznych nadużyć, sprzedał plantację i wyniósł się w inne okolice.

— Znałem — mówił on — i mężczyzn i kobiety, którzy z upodobaniem, jak szatani, pastwili się nad nieszczęśliwymi i okropne zadawali im męki.

Często bardzo kobiety przechodzą mężczyzn w okrucieństwie względem murzynów. Ci biedacy wolą ciężko pracować w plantacji, niż służyć w domu, pod rozkazami kapryśnej i wymagającej pani. Instytucya niewolnictwa w potworny sposób, przeistacza naturę niewieścią.

— Widziałem — mówił dalej — kobiety miłe i łagodne na pozór, a jednak względem murzynów srogie i niesprawiedliwe.

Są zapewne i wyjątki, ale bardzo ich nie wiele, bo instytucya zaślepia rozum i psuje serce od młodu.

Od kilku lat jednak stanowcza zmiana zachodzi w losie murzynów. Właściciele są trochę oględniejsi, wiedzą bowiem, że tysiące oczu patrzy na nich i śledzi bacznie ich kroki.

Dziś jednak wolno jeszcze strzelać do uciekającego murzyna, a prawo nie poczytuje tego za zbrodnię i nie karze zabójcy.

Prawo opiekuje się niby murzynami, ale rzeczywistość niewolnik zależy wyłącznie od pana. Władze dopóki mogą, zamykają oczy na nadużycia. Murzynom nie wolno świadczyć w obec sądu.

Uroczystości i zabawy murzynów zmyślony mają rozgłos. W niektórych plantacjach wolno im tańczyć na Boże Narodzenie, jeżeli bawełna sprzątnięta, a trzcina cukrowa zmielona do reszty. W przeciwnym razie odkłada się zabawa.

Dotąd w plantacjach Louizyany nie wolno było wyklądać zasad wiary tym nieszczęśliwym. Dziś prawo to zniesione. Trudno sobie wyobrazić z jakim zapałem chwytają biedacy każde słowo o Bogu i nieśmiertelności.

Gdyby właściciele obchodzili się po ludzku z niewolnikami, odnieśliby ztąd niezaprzeczone korzyści. Murzyni umieją cenić łagodne postępowanie, pojmują sprawiedliwość i chętnie ulegają wyższej moralnej sile.

— Co do mnie — mówił plantator — nie używałem nigdy chłosty, wyjąwszy za kradzież i wzajemne bójkę. Robota postępowiała mimo to śpiesznie i ochoczo.

— Gdybym opowiedział wszystko co wiem — dodał na koniec — włosy powstały by nam na głowie. Rzeczywistość przechodzi tu wszelkie wyobrażenie.

Te okropne słowa przeniknęły mnie na wskroś: piękna okolica straciła wszelki powab w moich oczach. Czulałam jad okropny w ciepłym powiewie południowego wiatru. Zdało mi się, że słyszę jęki nieszczęśliwych ofiar, przekleństwa chłostanych kobiet i starców. Daremnie pragnę zwrócić myśl ku niebu, nie znają go biedni, nie sły-

szą tego przemożnego głosu, który woła z wysokości na nieszczęśliwych ziemi: „Chodźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę!“

Ale przebacz mi Agato, nie powinnabym cię zasmucać takimi obrazami. Nie zapomnę nigdy wrażenia jakiego sama doznałam. Tu nad temi pięknymi brzegami Mississipi, srozsze dzieją się rzeczy, niżli w krajach pogańskich.

O Mississipi! straszna rzeko, poznałam teraz do dna twoje tajemnice!

23 Grudnia.

Koryto rzeki rozszerza się do ogromnych rozmiarów. Słońce ozłaca śliczny krajobraz. Widać w około plantacje, pomarańczowe gaje i białe murzyńskie osady. Pełno rozlicznych statków płynie po rzece. Zbliżamy się do Nowego-Orleanu.

Rozmawiałam dziś z naszą służącą, ładną i młodą mulatką. Zastałam ją w kajucie nad abecadłem. Kucharz uczy ją czytać, ale potajemnie. Widziałam ją kiedyś w salonie, jak stanęła nad otworzoną księgą Biblii, która zawsze leży na stole. Zapytałam, czyby rada ją czytać.

— Ach! ta książka, ta książka — odrzekła — przewracam zawsze jej karty, ale nadaremnie, nie wiem co w niej jest, bo czytać nie umiem.

Zbliżamy się do Nowego Orleanu. Za parę godzin staniemy już w porcie. Wszystkie zwierzęta w naszej arce krzyczą na gwałt, snadź przeczuwają rzeź blizką.

Nowy-Orlean (Louisa) 25 Grudnia.

Słońce świeciło jasno gdyśmy przybili do lądu. Arka Noego przyniosła nas szczęśliwie i ludzi i zwierzęta. Nie zawsze tu jednak równie pomyślna odbywa się żegluga. Niedawo trzy statki parowe wyskoczyły w powietrze, kilku podróżnych straciło życie, wielu rannych ciężko.

Port bardzo piękny ciągnie się w kształcie ogromnego pół-księżycy, pomiędzy rzeką Mississipi i wielkim jeziorem Pontchartrain, do którego wpływają wody meksykańskiej zatoki.

Wyszedłszy na ląd, udałam się z towarzyszem podróży do wspaniałego gmachu, który przypominał mi Pantheon rzymski. Był to wspaniały hotel Św. Karola, zamieszkałam w nim chwilowo. Ponieważ jednak życie w hotelu było niesłychanie drogie, przeniosłam się w parę dni do prywatnego domu przy ulicy la Fayette, gdzie za umiarkowaną zapłatę znalazłam wszelkie wygody.

W hotelu Św. Karola poznałam wiele miłych osób, a między innymi, państwa Goddes. Ona sama znacznie młodsza od męża, ładna i bardzo wykształcona. Bliżej jeszcze poznałam się z nią w wigilję Bożego Narodzenia. Tego dnia zebrała się w salonie cała ludność hotelu. Młodzi tańczyła trochę. Mnie jednak smutno było, myślałam o was, przypominałam sobie jak w Szwecyi ochoczo spędzałam święta Bożego Narodzenia. Tu nie umięją wcale obchodzić rodzinnych uroczystości.

W pierwszy dzień świąt poszłam z rana do ładnego kościoła, słyszałam kazanie oschłe i chłodne, to też odeszłam wcale nie zbudowana. Nowy Orlean w ogólności sztywny jakiś i nudny, myślałam o nabożeństwie w naszych

wiejskich kościołach, o przejażdżce sankami po sosnowym lesie, o daleko rozlegających się dzwonekch, o choince ze świeczkami dla dzieci. Zdało mi się, że słyszę uroczą pieśń naszą:

„Witaj nam ranna jutrzeńko!“

O! wtedy inaczej było w sercu mojem, wtedy było prawdziwe Boże Narodzenie!

Jutro, jeśli będzie pogoda, pan Harisson zaprowadzi mnie na targ niewolników, zwykłe widowisko tego „wesołego miasta.“

28 Grudnia.

Po kilku dniach deszczu i słoty, mamy wreszcie pogodę. Muszę zebrać siły i rozpocząć przegląd szkół, zakładów dobroczynnych, więzień, a nakoniec plantacyj.

Wczoraj mimo deszczu, nieznanymi *przyjaciele* z Nowego Orleanu odwiedzili mnie, przynieśli mnóstwo fijołków i zaprosili na wieś, gdzie chcą mi dać poznać rzeczywisty stan tutejszych murzynów. Znam go już dokładnie i nie łatwo zatem uwierzę pięknym słowom.

W następnym liście więcej ci powiem o Nowym Orleanie, a teraz bywaj mi zdrowa, moja droga Agato.

XXX.

Nowy-Orlean, Luizyana, 1 Stycznia 1851 r.

Bodajby jutrzenska Nowego-Roku weselej zajrzała w twoje okienko, niż w moje droga Agato. O! stokroć lżej odetchnąć u nas w jasny dzień zimowy, gdy drzewa przystrojone szronem, lśnią na słońcu jak dyamenty, niż tu w pośród mgły grubej i południowej słoty. Powietrze zmieniło się nagle, drzewa stoją smutno z obwisłymi liśćmi, jak żebraki w łachmanach. Mnie jednak dobrze w jasnym i ciepłym pokoju. Nad kominkiem stoi zielona gałąź okryta mnóstwem dojrzałych pomarańcz i parę butelek prawdziwego wina z Luizyanny, jest to kolenda, przysłana mi przez nowych a uprzejmych przyjaciół.

Powiem teraz słówko o uroczystości, którą obchodzili indyanie nad Mississipi, w czasie gdy europejczycy dostali się po raz pierwszy na te brzegi. Zowie się *Bushkitu*. Najważniejsza to uroczystość indyan w Ameryce północnej.

Święto *Bushkitu* przypadło w końcu roku i trwało ośm dni z kolei. Każdego dnia inne odprawiano ceremonje, wszystkie jednak miały na celu oczyszczenie ducha. Woda i popiół służyły ku temu. Młode dziewczeczki przynosiły popiół mężom wojennym, którzy tylko sami odprawiali obrzędy i dostarczały im także pożywienia, w chwilach wolnych od postu. Indyanie płasali nocą przy rozpalonych ogniskach i oblewali się odwarem ziół posiadających dobroczynne własności. Najważniejszy był taniec siódmej nocy. Siódmego dnia wszyscy siedzieli w mileze-

niu. Ósmego zaś, następowało wielkie oczyszczenie. Indianie szli nad rzekę i kilkakrotnie zanurzali się w wodzie. Potem wdziawali szaty i wracali do zwyczajnego trybu życia. Ale to najważniejsza, iż po tych obrzędach zacierali pamięć wzajemnych uraz i nienawiści. Człowiek uważał się jako na nowo odrodzony. Ktokolwiek okazał żal do kogo lub niechęć, musiał opłacić karę. Bushkitu było świętem pojednania i przebaczenia. Narody ucywilizowane mogłyby w tem naśladować Indian.

Obyczaj ten oddział na obyczaje Nowego Świata. Tak w Nowym-Jorku, jak i w Nowym-Orleanie, Amerykanie przebaczą dawne urazy w dzień Nowego Roku. Kobiety w dniu tym nie wychodzą wcale z domu, ale ustrojone siedzą w salonach i przyjmują odwiedziny.

Miła jedna rodzina zaprosiła mnie na cały dzień do siebie, ja jednak wolałam pozostać w domu i choć listownie pogawędzić z tobą. Potrzebuję spoczynku po trudach podróży, a wreszcie wielki świat mało ma dla mnie powabu.

Handel na niewolników odbywa się tu w kilku domach. Poznać je można po tem, że kobiety i mężczyźni różnych odcieni siedzą zwykle przed drzwiami. Zwiedziłam te domy w towarzystwie doktora, z którym tu się poznałam. Dozorecy i właściciele chwala się z towarem swoim, zwołują murzynów do sali, ustawiają rzędem, w ogólności wszyscy wyglądają dobrze, a przyodziani chędogo.

Uważałam pomiędzy mężczyznami kilka atletycznych postaci. Wyraz twarzy mają poceziwy, czoło wysokie i proste. Gdy usłyszą słowo przyjazne, oko ich rozpromienia się, a zęby jak perły świecą w szerokich ustach. Między kobietami kilka było ładnych mulatek. Jakiś pau

zbliżył się do jednej, wziął ją za brodę i patrzył jej w zęby jak bydłciu. Żebym nią była, ugryzłabym go z ochotą.

Zwiedziwszy kilka tego rodzaju domów, poszłam obejrzeć szpital Nowego-Orleanu. Ogromny to zakład i wybornie utrzymany. Było w nim kilku cholerycznych, a między niemi umierająca dziewczyna; położyłam jej rękę na głowie, ale nie czuła już tego.

Byłam w tymże dniu na obiedzie u współrodaka mego, Schmidta, częstował mnie zupą ulubioną w Nowym-Orleanie, zwaną *Gumbo*. Jest to polewka z sago, rzeczywiście wyborna. Pani Schmidt, młoda, ładna i pełna prostoty kobiątka, nie widziała nigdy w życiu kobiety-autorki, dziwiła się więc niesłychanie temu, że się niczem szczególnie nie odróżniam od drugich. Po obiedzie rozmawialiśmy swobodnie przy kominku.

Ostatniego grudnia poszłam z doktorem na licytację niewolników. Weszliśmy do brudnej sali, gdzie mnóstwo było zgromadzonych widzów. Ze dwudziestu panów siedziało w pośrodku wielkiej rotundy, przy ścianie stali milczący murzyni, kobiety i mężczyźni pospołu. Cisza panowała głęboka, tylko przez otwarte drzwi słychać było deszcz, spadający na kamienie. Kilku z tych panów spojrzęło na mnie ukosem, widziałam z ich oczu, żeby mnie radzi zesłać pod biegunowe koło. Jeden z nich stanął na wywyższeniu w samym środku rotundy. Wziął młotek w rękę i wyrzekł kilka słów do obecnych, zachwalając swoich murzynów, jako ludzi wiernych i pracowitych, których tylko dla nieprzewidzianych zmian w interesach sprzedać jest zmuszony. Zapewniał, że kto ich kupi, będzie rad ze swego nabytku.

Potem dał znak kobiecie aby przystąpiła. Wysoka mulatka w szarej sukni i żółtej chustce, podała mu rękę,

stała na podwyższeniu. Trzymała w objęciu śpiącą dziecinę, na którą patrzyła z pochyloną głową. Właściciel znów ją zalecał jako dobry towar.

— I cóż panowie — rzekł — ileż dacie za tę kobietę prawdziwie nieocenioną, dostaniecie i dziecko w dodatku!

Zaczęła się licytacja od pięciuset dolarów, młotek zapadł na siedmset, kobieta przeszła w inne ręce.

Sprzedano wszystkich tym samym porządkiem, mnie patrząc na to, ledwie że serce nie pękło z żalu i oburzenia.

Niedziela, 5 Stycznia.

Wczoraj rano zwiedzałam więzienia miejskie w towarzystwie dyrektora i kilku urzędników. Wielki znalazłam w nich porządek, jak we wszystkich więzieniach.

Zaprowadzono mnie do kilku osobnych pokojów, gdzie siedziały kobiety obwinione o ciężkie zbrodnie. Ubrane były po większej części przyzwoicie i wcale nie ubogo. Jedna z nich posądzona o morderstwo męża przez zazdrość, postać miała zuchwałą i srogą. Wszystkie zapewniały o swojej niewinności, oskarżały świat o okrucieństwo i niesprawiedliwość. Każda miała swój pokój, wolno im było chodzić po tarasie, obwiedzionym w koło wysokim murem. Na owym tarasie spostrzegłam kilka murzynek.

— A one co tu robią? — zapytałam, patrząc na ich spokojne i niewinne twarze. Czy i one popełniły jakie zbrodnie.

— Bynajmniej — odpowiedziano mi. Ich właściciele poręczyli za człowiekiem który zbankrutował, aby

więc nie zajęto jego murzynów i nie sprzedano przez licytację, oddał ich tu dobrowolnie i może odebrać gdy zechce.

— I długoż tu będą — zapytałam.

— O! bardzo krótko, dwa lub trzy tygodnie — odpowiedział urzędnik.

Młoda murzynka uśmiechnęła się na te słowa. Dwa tygodnie, powtórzyła ruszając ramionami. Jesteśmy tu już dwa lata.

Urzędnik zmięszał się trochę. To szczególny wypadek, okoliczność nadzwyczajna, rzadka — pomruknął półgłosem i poprowadził mnie dalej.

Po obiedzie zwiedziłam katolicki dom ochrony dla sierot. Jest w nim dwieście małych dziewczynek. Piętnaście siostr miłosierdzia opiekuje się nimi prawdziwie po macierzyńsku.

Ledwie żem powróciła, zabrano mnie na operę. Dawano w tym dniu „Jerozolimę“ Verdi'ego, wystawa była prześliczna. Primadonna, pani D., odbierała rzęsiste oklaski.

Sala opery wyglądała jak ogród, białymi różami zasiany. Wszystkie kobiety ubrane były w gazowe białe suknie, wszystkie nadzwyczaj blade, a do tego ubielone. Miały na głowie kwiaty, ramiona i ręce odkryte, słowem strojne były jak na bal.

Nazajutrz o szóstej rano, poszłam z panem Harisson, na targ francuzki, który się tu odbywa co niedziela. Zdało mi się, że jestem w Paryżu, taki zgiełk panował na targu. Widziałam pełno ludzi różnych narodów i towary nawiezione ze wszystkich części świata. Byli tam anglicy, francuzi, hiszpanie, meksykanie, a nakoniec indyanie i murzyni. Czarni kreole sprzedawali towary z francuzką uprzej-

mością i ożywieniem. Mówią wcale nie źle po francuzku. Przechadzałam się wśród kramów zastawionych ptakami, owocami, kwiatami, chlebem, kaszą, mnóstwem wybornych ogrodowizn i niezliczonych przedmiotów. Owoce, zwłaszcza podzwrotnikowe, uderzyły mnie nadzwyczajną pięknoscią, wielu z nich wcale dotąd nie znałam. Było w ogólności od dwóch do trzech tysięcy kupujących i sprzedających osób, promień południowego słońca dodawał uroku temu pełnemu życia obrazowi.

Indyane stali na boku. Małe dziewczęta obwiniete w płachty, siedziały na ziemi, nie spuszczać oka z ziół, które porozkładały w koło siebie. Pacholęta indyjskie przedawali łuki i strzały i uczyli białych paniczów, jak się obchodzić z tą bronią. Ci chłopcy, postrojeni w pióra, świetnie wyglądali obok bladych i nieśmiałych indyjskich dziewczeczek, należą wszyscy do pokolenia Choctaw-sów i Chicawasów, którzy zajmują dotąd zachodnią Luizyanę.

Powróciliśmy do domu ulicą Portową, w której stało mnóstwo beczek naładowanych cukrem.

Około południa poszłam do kościoła. Sławny kaznodzieja mówił o miłości bliźniego, ale jak uważałam, pojmuje ją po pogańsku.

Po obiedzie zwiedziłam francuzki cmentarz. Prawdziwe „miasto umarłych.“ pełno tu kapliczek, grobowców, kamieni, ale mało drzew, kwiatów i zieloności, słowem tego, co świadczy o pamięci żywego świata. Wszystko tu umarło, skamieniało i w głuchą przemieniło się pustynię. Jakaż sprzeczność z tem, co widziałam w poranku!

Jutro popłynę z panią Goddes do Mobile, gdzie mnie zaprosiła pani Valtom le Vert, sławna piękność Stanów Zjednoczonych. Przez jezioro Pontchartrin dostaniemy

się na zatokę meksykańską, miasto Mobile leży nad jej brzegiem.

Mobile (Alabama) 8 Stycznia.

W poniedziałek po południu, przy najpiękniejszej pogodzie, jaka u nas bywa ledwie około Św. Jana, wyruszyłam z Nowego-Orleanu w towarzystwie państwa Geddes. Plantatorowie z Luizyanny prześliczne mają wille nad jeziorem. Nasz statek *Florida*, kwiat parowych statków, nowy i wytworny jak cacko, niósł nas po wodach jeziora lekko i uroczco. Płynęliśmy całą noc, a nazajutrz z rana, o wschodzie słońca, przybyliśmy do Mobile.

Pani le Vert, czekała na mnie z powozem. Mała to kobietka, ale śliczna, pełna wdzięku. Odkryłam tylko głęboki ślad smutku na jej twarzy; w przeciągu dwóch lat straciła biedna dwoje dzieci i brata. Odtąd porzuciła świat, którego prawdziwą była ozdobą, zamknęła się w domu, oplakując samotnie swoją stratę. Dziś, czas uspokoił ją nieco, znać jednak, że nieszczęście przygnębiło jej duszę, a oczy noszą dotąd ślady łez wylanych.

Wczoraj po południu przejeżdżałam się z nią powozem po lasku magnolij, nad brzegiem meksykańskiej zatoki. Magnolja z tego podobna do lauru, że liść jej ciemnozielony nie opada nigdy. Powietrze było urocze, wody zatoki z pluskiem rozbijały się o brzegi, głębokie milczenie panowało w lesie.

Wieczorem byłam w teatrze, zaproszona przez dyrektora, który przysłał mi łożę na wszystkie przedstawienia, podczas mego pobytu w Mobile. Grano „Dziewicę Gwiazd,” cudna gra panny Julji D., łzy mi z oczu wycisnęła.

12 Stycznia.

Pięknie i spokojnie upływa mi tu życie. Miasto Mobile i jego mieszkańcy dziwnie mi się podobają. Mieszkam u pani Valtom, matki pani le Vert, jest to wyborna i miła kobieta, wdowa po gubernatorze Florydy. Ognisko jej ciepłe i jasne, szczęście promienieje na twarzy murzynów. Co dzień odwiedzam koczowisko indyan Choctow-sów za miastem i bawię się szczerze, patrząc na ich pierwotne obyczaje.

Obóz indyjski składa się z trzynastu chat, pokrytych z wierzchu korą. Wewnątrz bardzo ubogo, wszystkie zabiegi indyan, ściągają się do zapewnienia materialnych potrzeb. Ile razy byłam u nich, tyle razy zastałam ich przy jedzeniu. Dziś na śniadanie pożerali chciwie pomarańcze. Przed każdą chatą pali się nieustannie ognisko, a przy niem siedzą stare kobiety, siwe i wyschłe, istne czarownice. Dzieci biegają po murawie, grają w piłkę i swawolą. Mają w ogólności prześliczne czarne oczy. Młode kobiety przybrane w naszyjniki i świecidła, twarz malują w rozmaite wzory.

Dźwigając na barkach ciężary, przytwierdzają koszyk do głowy za pomocą paska. Indyanie polują obecnie w górach Alabama, nie wielu z nich pozostało we wsi. Noszą koleczyki w nosie i stroją się z wielkiem upodobaniem. Wysławiają tu wierność indyan i rzetelność ich w dotrzymaniu danego słowa.

Kraj Alabama jest także niewolniczy. W Mobile odbywają się zarówno targi na murzynów.

Widziałam w domu pani le Vert część wyższego towarzystwa tutejszego. Kobiety w ogólności bardzo ładne

i dowcipne. Mężczyźni jasno i rozumnie pojmują stanowisko społeczne, zaślepieni są tylko gdy idzie o murzynów. Z pomiędzy młodzieży podobał mi się bardzo poeta i autor dramatyczny, Reynolds. Towarzyszył mi w niejednej wycieczce, serce ma wyborne i wielką prostotę w obejściu. Ułożył na scenę wiele historycznych wypadków swego kraju. Niedawno napisał dramat pod tytułem: „Alfred i Inez, czyli oblężenie warowni St.-Augustin.“ Zabieram go w drogę do czytania.

Pomówmy jeszcze o pani le Vert, zachowałam ją na ostatek, bo prawdziwie umiała się wśliznąć do głębi mego serca.

Miło to znaleźć istotę, która nam się prawdziwie podoba. Rzecz szczególna, że ta kobieta, o której wdziękach tyle się nasłuchiwałam, stała się dla mnie prawie siostrą. O! bo też znalazłam w niej prawdziwą dobroć, serce kochające i zbolełe, a co więcej brak próżności i gotowość poświęcenia się w każdej chwili. Przystaliśmy też zupełnie do siebie, pani le Vert powiada, że jej daję posiłek duchowny.

Jeżeli chcesz poznać ideał pani i niewolnicy, spojrzij na Oktawję le Vert i mulatkę jej Betsy. Betsy żyć nie może bez swej pani, służy jej z miłością i najszczęśliwszą, gdy dostrzeże uśmiech na jej ustach. Podróżowała z Oktawją po Stanach Zjednoczonych i z największem upodobaniem opowiada jak sławiono piękność jej pani: „Mój Boże, pani dziś nie taka jak była“ — dodaje z żalem i łzami te słowa.

Wszyscy murzyni w ogólności szczęśliwi w domu pani le Vert i jej matki. Dobra kobieta nie łudzi się jednak i stanowczo utrzymuje, że niewolnictwo murzynów jest wielkiem złem. Zupełnie się w tym względzie zgadzamy.

Umyśliłyśmy popłynąć razem na wyspę Kuba. Jutro zatem udamy się do Nowego-Orleanu, a ztamtąd wyruszymy dalej. Widok zielonych palm orzeźwi znękaną umysł Oktawji, a łagodny powiew południowy rozwinie róże na jej zbladłym licu. Słowa moje obudzą nadzieję w jej duszy. Cieszę się serdecznie tą myślą.

Nim opuścę to ładne miasto, dodam jeszcze, że stan Alabama uprawia głównie bawełnę. Ma na południu bogate plantacje i wielkie sosnowe lasy, na północ zaś szerokie łąki i góry. Żegluga po rzece Mobile ułatwia wewnętrzny handel. Miałam ochotę popłynąć nią do miasta Montgomery, stolicy stanu Alabama, ale nie dosyć mam czasu. Drogi żelazne, żegluga parowa, szkoły, uniwersytety, nadają życie tym stronom. Pomiędzy miejscowemi zwyczajami uważałam i ten, że kobiety białe nacierają sobie dziasła mocną tabaką, co im chwilowo podnieca umysł i dodaje sztucznego ożywienia.

Bądź zdrowa moja Agato, pierwszy list odbierzesz odemnie z wyspy Kubu.

Nowy-Orlean 15 Stycznia.

Niestety! zamiary nasze spełzły dotąd na niczem. Wypłynęliśmy z Mobile szczęśliwie, Oktawja dosyć była wesółą. Zaczny doktor le Vert dał żonie znaczną sumę na jej przyjemności i potrzeby w podróży. Betsy była z nami, mówi bowiem doskonale po hiszpańsku, równie jak i jej pani. Wsiadłyśmy na statek o wschodzie słońca i cały dzień płynęliśmy swobodnie po jeziorze.

Oktawja siedziała w oknie wpośród kwiatów, miło było na nią patrzeć. Wieczorem księżyc świecił uroczo.

Siedziałyśmy długo na pomoście, kilku podróżnych przyłączyło się do nas, rozmowa szła ożywiona. Ledwie żeśmy zasnęły, statek zatrzymał się nagle. Wstałam, wyjrzałam oknem, księżyc odbijał w czystym zwierciadle jeziora, ale niestety, osiedliśmy na mieliźnie. Pierwsza godzina wybiła, o szóstej trzeba nam było stanąć w Nowym-Orleanie, a o dziewiątej puścić się na morze. Taki był nasz zamiar, tymczasem rade nie rade musiałyśmy stać na miejscu i spokojnie czekać przypływu.

Dzień był równie piękny jak poprzedni, ale niestety, głód zagrażał nam wszystkim, na statku żadnych nie było zapasów. Uprzejmi panowie zaradzili temu, popłynęli łódką do brzegu i dostarczyli hojnie żywności. Podróż na wyspę Kubę odwlecze się do dalszego czasu, odprawię ją sama zapewne, gdyż Oktawja nie może opuszczać domu na tak długo.

Przybyliśmy późno w noc do Nowego-Orleanu. W hotelu St.-Charles było zaledwie parę pokoi na czwartym piętrze. Gdym weszła do pokoju Oktawji, zastałam ją zalaną łzami. Betsy załamywała ręce z boleścią, zbliżyła się do mnie i wyrzekła z cicha: „Tu, w tym pokoju, stała przed dwoma laty z córeczkami, tu ubierała je na dziecienny balik.

Podniosłam głowę Oktawii, zapytała mnie słabym głosem: czy chcesz zamienić ze mną pokój?

— Jak najchętniej — rzekłam i czempredzej wraz z Betsy przeniosłyśmy nasze podróżne tłumoczeki.

Rzuciłam okiem w podwórze i pomyślałam z trwogą, cobyśmy zrobiły w razie ognia, na takiej wysokości? Spałam jednak spokojnie, ufna w Boga, a nazajutrz obudziłam się bez przygody. Oktawja biedna przepłakała całą noc, uspokoilałam ją trochę w poranku.

Po południu przenoszę się do domu państwa Cooks. Krewna ich, panna W., zaprosiła mnie w ich imieniu, jeszcze przed moją wycieczką do Mobile. W tej chwili jestem pod jednym dachem z panną Geddes, wybieram się z nią i z przyjacielem moim Harissonem na przechadzkę po grobli brukowanej muszlami, która ciągnie się nad morzem. Prawdziwy to cud Nowego-Orleanu. Państwo Goddes mieszkają w hotelu i przebędą w nim całą zimę. Wiele rodzin żyje tu w ten sposób, gdyż lubo życie w hotelu drogie, urządzenie własnego domu więcej jeszcze kosztuje. Znam młode małżeństwa, które nie mając dość pieniędzy, aby urządzić sobie własne ognisko, mieszkają w hotelu, czekając aż los im poszczęści. Życie takie zły wpływ wywiera na młode kobiety, przywykają łatwo do lekkomyślności i próżności.

21 Stycznia.

Po hotelowym zgiełku, odetchnęłam wreszcie swobodnie pod dachem zacnej i spokojnej rodziny. Wieczór był prześliczny, mimo stycznia. Siedziałyśmy z panią W. późno w noc na tarasie, otoczone oleandrami, aloesami i tysiącem najpiękniejszych podzwrotnikowych roślin. Na jutro jednak zima weszła znów w swoje prawa, a chłód zewnętrzny tak oddziałał na mój humor, że cieszyłam się w duszy, iż nie mam niewolników, gdyżbył może w dotkliwy sposób dała im uczuć złe usposobienie. Przed po-
bytem moim w Ameryce nie pojmowałam nigdy, do jakiego stopnia wrażenia zewnętrzne działają na stan duszy. Zapalono jednak ogień w moim pokoju, co mnie trochę pokrzepiło. Oktawja przyszła z panią Geddes, zaczęłam obiedwie rysować w moim albumie. Rozmawiałyśmy swo-

bodnie, gdy nagle wbiegł posłaniec pana Geddes z oznajmieniem, że hotel w płomieniach. Pani Geddes pobiegła co żywo niespokojna o męża i dzieci. Oktawja bez trwogi przyjęła wiadomość. Jakkolwiek zostawiła w hotelu swoje pieniądze i kosztowności, mało troszczyła się o wszystko. Serce udręczone głębokiem nieszczęściem, obojętne bywa na straty, które snadno powetować. Poszła jednak do przyjaciółki mieszkającej w bliskości hotelu, niespokojna o Betsy.

Ledwie że odeszła, zadzwoniono silnie do kraty, poznałam Betsy i wybiegłam ku niej co żywo.

— Wszystko ocalone — wołała zadyszana mulatka z rozpromienioną od radości twarzą. Mam pieniądze przy sobie. A gdzież moja pani?

— Poszła w stronę hotelu.

— Już go nie ma — rzekła Betsy — został tylko stos gruzów i popiołu. W rzeczy samej, w przeciągu trzech godzin piękny kilkopiętrowy hotel, zbudowany z drzewa, zamienił się w perzynę. Czteryście osób pozostało na bruku.

Poszliśmy razem z Betsy szukać pani le Vert. W drodze dobra dziewczyna opowiadała mi, jak będąc u znajomych dowiedziała się, że ogień wybuchnął w hotelu. Pobiegła więc, wybiła drzwi gwałtem i ocaliła wszystko. Mówiła mi jak kocha dobrą panię. Mogła była kilkakrotnie iść za męża, ale nie miała odwagi rozstać się z właścicielką swoją.

Zbliżyłam się do miejsca pożaru, ogień dogasał już zwolna, malowniczo sterczały kolumny otoczone kłębam płomieni i dymu. Dziś słyszałam, że zbierają już podpisy na odbudowanie gmachu. Nowy w tym dowód czynności amerykańskiej. Nikt nie zginął, kilka osób tylko odnio-

sło nieszkodliwe rany, wiele za to spaliło się rzeczy i kosztowności. Ogień wybuchnął obok pokoju Oktawii.

27 Stycznia.

Pomimo mgły i niepogody czas schodzi mi przyjemnie. Nowi przyjaciele moi gościnni, pełni życia, dom ich może służyć za wzór amerykańskiego ładu. Wieczorem czytuję z panną W. dzieła tutejszych poetów. Poznałam prace dramatyczne Bowringa. Nie jest to pierwszego rzędu artysta, ale pisze z głębokim uczuciem, to też ogrzewa i rozwesela serce. W pieśni jego czuć świeżość i siłę, a technicznie zapachu który ożywia pierś poety, ogarnia nas powoli.

Byłam na przedstawieniu „Proroka,” opery Meyerbeera. Sztuka prozaiczna i zimna, ale wystawa wspaniała, a muzyka mimo huku i szumu, ma kilka ustępów prawdziwie dramatycznych. Gdyby autor zamiast niedołężnej miłosnej intrygi, oddał był fanatyzm religijny i pychę słynnego historycznego proroka, Jana z Lejdy, byłby utworzył rzecz prawdziwie zajmującą. Tak jak jest, opera nie porusza wcale serca, działa tylko na nerwy, goniąc za efektem i trudzi niesłychanie.

Zwiedzałam także szkoły. Żeńskimi zakładami trudnią się nauczycielki wychowane w Stanach północnych. Na charakter tutejszych dzieci szkodliwie działa otoczenie ich od kolebki murzynami. Dziecko przyucza się od małego rozkazywać i ostro karać najmniejsze przewinienia względem siebie.

Ochmistrzyni zakładu dziewcząt egzaminowała w obecności uczennice swoje, zadziwiła mnie szybkość niesłycha-

na, z jaką przeskakiwały z jednego przedmiotu na drugi. Zapytania i odpowiedzi szły mniej więcej w następującym porządku :

Zkąd pochodzi śnieg? ile wojsk ma Cesarstwo Rosyjskie? Gdzie leży Laponja? Czem był Napoleon? Co to jest saletra? Jak daleko ziemia położona od słońca? W którym wieku żył Szekspir? Kiedy umarł Washington? Jaka jest ludność Francyi? Co to jest księżyc?

Młode dziewczęta odpowiadały chórem i prawie zawsze właściwie. Dziwiłam się, że w tych młodocianych umysłach tak się do ładu układało wszystko i śnieg i Napoleon i saletra i tyle innych rzeczy!

W niedzielę po południu byłam w tak zwanym afrykańskim kościele, w chwili gdy metodyści nawracali murzynów na chrześcijańską wiarę. I tu już bowiem duch chrześcijański zaczyna dzieło odrodzenia, otworzono nawet szkółki niedzielne dla murzyńskich dzieci, gdzie uczą ich poznawać Boga.

Przyszliśmy właśnie po kazaniu, ale posiedzenie religijne trwało jeszcze. Tak zwani exorcyci obchodzili obecnych, dawali im rady, napomnienia, zachęcali, pokrzeptali smutnych i zwątpianych. Jeden z tych exorcystów, czarny jak heban, mówił z nieporównanym zapałem. Słowa jego jakkolwiek jednostajne, pełne były głębokiego chrześcijańskiego znaczenia, płynęły z serca, to też stanowczo szły do serc słuchaczy.

„Wspierajcie się — mówił — na Chrystusie! On jest panem Wszchemogącym. On wam przybędzie w pomoc. On wszystko najlepiej doprowadzi do końca! Wiercie mu siostry moje i wy bracia moi! Wzywajcie Go! Opierajcie się na Nim! On jest Panem naszym! etc.

Wrzawa powstała w kościele: „Przybądź Jezu Chryste, przybądź wiekuista chwało,“ — powtarzali wszyscy. I murzyni podskakiwali w górę, wyciągali ręce. Niektórzy rzucali się na ziemię, przechodząc w stan konwulsyjny. Słysząc było płacz, okrzyki i westchnienia. Kobiety powstały z ławek, chodziły po kościele z wyciągniętymi w górę rękoma, wołając Alleluja! inne klękały przed ołtarzem i modliły się gorąco. Jedna mulatka padła pół-mar-twa na flizy.

— Co to jest? — zapytałam murzynów.

— Nawrócona — odpowiedzieli z radością.

Ta scena dała mi poznać charakter murzynów. Nie może być w porównanie z ich zapałem. Dzieci gorącej Afryki raz powziąwszy pojęcie o Bogu i nieśmiertelnej prawdzie, miłują Go z całej mocy swej duszy.

Cóż ci więcej powiem o Nowym-Orleanie? Wielkie to miasto, ma bowiem przeszło sto tysięcy ludności, głównem jest ogniskiem południowego handlu. Zbudowane w półkole nad rzeką Mississipi, ma piękne place, domy i ulice, wiele drzew i ogrodów, jak wszystkie amerykańskie miasta.

Obyczaje po większej części lekkie, winno zapewne to miasto francuzom, pierwszym założycielom swcim. Dziś jednak anglo-amerykanie pozyskali w niem przewagę. Pod względem rzetelności Nowy-Orlean wątpliwą ma reputację. Jeden z tutejszych handlarzy, człowiek znany z prawości, te wyrzekł do mnie słowa, stojąc wpośród beczek cukru: „Tyle się tu dzieje oszustw i niegodziwości, iż boję się nie żartem, iżby los Gomory nie spotkał grzesznego miasta.“

Duch przedsiębiorczy działa tu jednak bez spoczynku. Obecnie miasto buduje ogromny dom dla waryatów, gdzie wszyscy znajdują wygodne pomieszczenie i życie.

Hiszpanie i francuzi odkryli Luizyanę. Francuz pierwsi zaczęli ją kolonizować. We Francyi i Anglji mówiono w owym czasie o odkrytym kraju, jakby o ziemi obiecanej, o nowem Eldorado, pełnem złota i klejnotów. Sławny John Law oparł spekulacyę na tych bajecznych skarbach Luizyany i pociągnął zgubę wielu majątków. Wielka przestrzeń kraju na południowym brzegu Mississipi łącznie z Arkansasem, zwana Luizyaną, przeszła od francuzów w ręce hiszpanów i znów wróciła do francuzów, którzy ją posiadali aż do 1803 roku. Wtedy rząd Stanów Zjednoczonych kupił ją i przyjął do związku jako stan niepodległy. Przez ten czas francuzi, hiszpanie, anglicy i niemcy zaludnili Luizyanę, a miasto Nowy-Orlean wzrosło pomału i doszło do dzisiejszej potęgi. Rzeczywiste odrodzenie kraju i miasta nastąpiło w 1812 roku, gdy pierwszy statek parowy pojawił się na Mississipi.

Uprawa cukru, bawełny, kukurydzy, indygo, stanowi główny dochód tego kraju. W północnej części rozciągają się olbrzymie lasy, złożone z odwiecznych dębów, kasztanów, orzechów, magnolij, saxifragów i topoli. Na południu rosną morwy, cedry, sosny i mnóstwo dzikiego winogrodu. W pośrodku na jeziorach i bagnach gnieźdzą się olbrzymie aligatory, które porywają często małe dzieci murzyńskie. Mówią, że w Luizyanie rośnie wiele ziół jadowitych, że w jej lasach kryją się węże i inne szkodliwe zwierzęta. Nie chciałabym tu mieszkać, choćby mi dano wszystek cukier i bawełnę, jakich ten kraj dostarcza.

W kronice obejmującej zbrodnie Nowego-Orleanu pozostało krwawemi litery wyryte imię kobiety, pani Lallorn. Posiadała ona ogromną plantacyę w Luizyanie, bez miłosierdzia dręczyła biednych murzynów. Sąsiedzi patrząc na jej nieludzkie postęпки, umyślili oskarżyć ją przed władzą.

Pani Lallorn przeniosła się do Nowego-Orleanu, tam czyniąc zadość okrutnym popędom, pastwiła się nad biednymi ofiarami. Najmowała niewolników i odbierała im zapracowane przez nich pieniądze, więziła w piwnicach swego domu i popełniała zbrodnie, o jakich tylko pogańskie słyszały czasy. Jęki nieszczęśliwych przedarły się wreszcie przez kamienne sklepienia, miasto pocięło o zbrodniach, lud poruszony do głębi serca obległ dom okrutnej kobiety. Tysiące rąk zabrało się do dzieła, poczęto łamać mury; zbrodniarka uciekła nocą, opuściła Nowy Orlean i Amerykę, przybyła do Europy i zamieszkała w Paryżu, gdzie używała ogromnych skarbów, zdobytych w Luizyannie. Umarła podobno w tych czasach. Mąż jej żyje dotąd w Nowym-Orleanie. Chwałą go jako dobrego człowieka.

Najsroźszymi właścicielami niewolników są zwyczajnie francuzi, za niemi idą szkoci, holendrzy.

Rozpytywałam o zabawy i tańce murzynów podczas świąt Bożego Narodzenia, o których mi tyle mówiono. Ponieważ nie zmielono jeszcze cukru i nie zebrano bawełny, nie było wcale dorocznej uroczystości z wielkim moim żalem.

W ogóle jednak Nowy-Orlean miłe w umyśle moim pozostawił wrażenie. Harisson mówił mi, że mieszkańcy miasta weseli, ale nie zamięłowani w literaturze, lubią wszystko co bawi, co wpada w oczy, co piękne. Nie spodziewałam się zatem wcale gościnnego przyjęcia, a jednak inaczej się stało. Wdzięczna też jestem miłemu tutejszemu społeczeństwu za serdeczną i przyjacielską życzliwość, jaką mi okazało.

Oktawja le Vert powróciła do rodziny przed kilkoma dniami, pożegnałyśmy się ze łzami.

Jutro rano siadam na statek parowy, a za trzy dni będę na wyspie Kuba. Cieszy mnie prawdziwie myśl, że zobaczę nową, nieznaną mi piękność, że odetchnę innem powietrzem, że na kilka tygodni usunę się od zmiennego amerykańskiego klimatu, który szkodliwie działa na moje zdrowie.

Bądź spokojna o mnie Agato. Przebyłam szczęśliwie Mississipi, lubo w tym czasie pięć statków wysadzonych zostało w powietrze pod murami Nowego-Orleanu. Opuściłam hotel Saint-Charles, w chwili, gdy stał się pastwą płomieni. Bóg wyraźnie czuwa nademną.

Dokończenie w tomie IV-tym „Rozrywek”

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA.

I.

Ze smutkiem i z radością zarazem biorę piórą do ręki, pragnąc uczcić zasługę niewiasty polskiej, której pisma tak silny wpływ wywarły, tak powszechny i słuszny obudziły poklask, której imię pozostanie na wieki wypisane nie tylko w rocznikach literatury, ale niemniej zgłoskami wdzięczności w sercach wszystkich kobiet polskich. Przyśtępuję do tego ze smutkiem, bo jakkolwiek wiele lat upłynęło od skonu Hofmanowej, pamięć jej nie zatarła się w mojem sercu. Znałam ją osobiście przez dwa lata, a należałam do liczby jej uczennic, słuchałam z ust jej wykładu nauki obyczajowej, której udzielała z taką prostotą i namaszczeniem, nareszcie, śmiało powiedzieć mogę, że pierwsze pojęcia, pierwsze zamiłowanie swojskich rzeczy i własnego języka, pismom jej winna jestem wyłącznie. Po matce mojej, która nauczyła mnie pacierza i głównych za-

sad wiary świętej, Hofmanowa najwięcej wpłynęła na rozwinięcie umysłu mego i rozbudzenie w sercu uczucia ku wszystkiemu co wzniosłe, piękne i uświęcone wspomnieniem. Ona też była drugą matką moją, jako i całego współczesnego mi pokolenia. Obok słusznego żalu, z radością jednak biorę się do skreślenia jej życia, bo za chlubny uważam obowiązek złożyć hołd niewieście, która wytrwała pracą podejmowaną przez dwadzieścia sześć lat bez przerwy, wysłużyła sobie miłość powszechną i wpływ wywarła stanowczy. Zjednała sobie miłość, bo też pracowała z miłością i poświęceniem; wywarła wpływ, bo siłą głębokiego przekonania umiała pociągnąć drugich, bo wreszcie Opatrzność, która przez ludzi dobrej woli spełnia zamiary swoje na ziemi, zesłała ją nam w chwili, gdy język nasz tonął w powodzi francuzczyzny, gdy wstydem było w tak zwanem lepszem towarzystwie odezwać się po polsku. Ona pierwsza wystąpiła do walki z przesądem i powiodła zbłąkanych do uznania prawdy.

Klementyna przysła na świat 23 listopada 1798 r. Ojcem jej był Ignacy Tański, mąż i pisarz zasłużony z czasów Stanisława-Augusta, matką Maryanna z Czempińskich, córka słynnego w swoim czasie lekarza. Rodzice Klementyny skutkiem ogólnych wypadków zubożeli nagle i zmuszeni byli wynieść się z Warszawy do małej wioseczki zwanej Wyczułki, położonej o sześć mil od Warszawy, którą wypuścił im przyjaciel dawny Tańskiego, Jan Łuszczewski, późniejszy minister z epoki Ks. Warszawskiego. W owym to czasie Bóg pobłogosławił Tańskim, dając im dziecię, które miało w przyszłości tak chlubnie uwieńczyć pamięć wczesnie zgasłego ojca, taką pociechę przynieść owdowiałej matce, tak pożytecznie wysłużyć się ziemi, na której się zrodziło.

Klementyna trzeciem była z kolei dziecięciem Tańskich, urodziła się w Warszawie, gdzie rodzice przebywali chwilowo. Pierwsze trzy lata życia spędziła w rodzicielskim domu w Wyczułkach. Owe lata, jak mówi sama, pozostawiły w jej dziecięcym umyśle, a raczej w sercu jakiś ślad miły, tajemniczy, niepewny, a przecież żywy i niezatarty, który tak wdzięcznie przypominały jej później uroczę słowa Bogdana:

Błogo temu, kto pamięta
Luby, dziwny gdzieś przed laty,
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek!
Kto w cielesnych więzów męce,
W niebo codzien wznosząc ręce,
Do tych dusznych drży pamiętek.

Rychło jednak, bo w czwartym roku życia, mała Klementyna opuścić musiała ten raj zaczarowany, te miłe i wesołe zabawy z rodzeństwem pod okiem dobrej i tkliwej matki. Książę jenerał Ziem Podolskich dowiedziawszy się o smutnem położeniu Tańskiego, wezwał go do boku swego, pragnąc aby mąż uczony dopomagał mu w literackich pracach. Tańscy wyjechali do Puław, zabrawszy ze sobą najstarszą córkę, małą zaś Klementynę zostawili w Izdebnie, w domu staropolskiej matrony, pani Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej, wdowy po staroście wyszogrodzkim, pod opieką jej córki, panny Doroty Szymanowskiej, która zajęła się nią po macierzyńsku, jakby własnym dziecięciem. „Dom pani starościny (mówi Hofmanowa) — prawdziwie zacnej, światłej i znakomitej biało-głowy, był co do prawości i gorliwości w wierze, co do

skromności w rozmowach, czystości w obyczajach, co do pracowitości, dobroczynności, gościnności, zupełnie domem staropolskim. Jeszcze tam czeladka, wprawdzie już tylko żeńska, zbierała się rano i w wieczór na wspólną z panią i jej córkami modlitwę, jeszcze wszystkie obrzędy, święta, posty, wszystkie przepisy kościoła, surowo wypełniano, jeszcze pani domu, choć urodzona z Barbary Krasieńskiej, siostry Franciszki królewiczowej polskiej, sama klucz od skarbczyka trzymała, głowy cukru rąbała własną ręką, wódeczki zaprawiała, z kobietami swemi smażyła konfitury i po całych dniach do kościołów szła, jeszcze były w domu panny na respekcie i po kilka ubogich dziewczątek różnego wieku na wychowaniu, jeszcze był szpital koło kościoła, gdzie w pewne dni pani i córki odwiedzały chorych, jeszcze w zapusty zajeżdżały kuligi, a przez rok cały w jakibądź dzień, o jakiejbądź godzinie gość zawitał, zawsze bywał mile przyjęty, a choćby najnudniejszy, zawsze zatrzymany.“

Mimo to, dom pani starościny wyszogrodzkiej, jak tyle innych pańskich i możniejszej szlachty tego wieku, stał jakby na rozstajnej drodze, w połowie jego trzymała się jeszcze stara, prosta, poczciwa polszczyzna, a w drugiej połowie szerokie wrota otwarte były obczyźnie i cudzoziemka wypierała silnie prawą dziedziczkę. Sama starościna zawsze jeszcze prawie mówiła po polsku, lecz córki jej, które uczyły się czterech zagranicznych języków, mówiły, pisały, a nawet modliły się po francuzku i nigdy prawie nie czytywały polskich ksiązek. Tym więc trybem prowadzoną była i mała Klementyna, którą w domu za trzecią uważano córkę. To też jak powiada, przez dziesięć lat spędzonych w Izdebnie, miała za ledwie w ręku dwie lub trzy polskie ksiązki i to poważnej treści, któ-

rych mało co rozumiała; za to panią de Beaumont i Berki-
na umiała prawie na pamięć. Historji polskiej nawet
uczyła się po francuzku z Naruszewicza, którego z umysłu
dla niej tłumaczono. Jedyne ćwiczenie polskie Klemen-
tyny było takie, że gdy ze starościna długie w kościele
przesiadywała godziny, wiedząc, że w domu Bożym nie
godzi się myśleć o czem innym jak o rzeczach świętych,
wynała sobie sposób skracania czasu bez grzechu.
Z książki więc do nabożeństwa „La journée chrétienne,“ tłu-
maczyła sobie w myśli niektóre modlitwy na polskie i czu-
ła jak w jej duszy milej jakoś i uroczyściej brzmiały. Kle-
mentyna w Izdebnie była nadworną lektorką, oprócz dwóch
lub trzech godzin poświęconych lekcjom z panną Dorotą,
pisaniu dziennika i wyciągów po francuzku, reszta dnia
schodziła jej na czytaniu, podczas gdy starościna i jej cór-
ki szyły w krośnach. Te czytania w następującym odby-
wały się porządku: rano po kawie medytacye dzienne,
Evangile méditée, Considération religieuses, od jedenastej
do obiadu księgi historyczne jako to: Rollina, Millota itp.,
po obiedzie podróże, listy, dzieła Chateaubriand'a, Delila
i inne, w wieczór zaś romanse pani de Genlis, pani Cottin,
Montolieu, Ricobini, Souza, Redcliffe, Lafontaine'a, słowem
jakie tylko podówczas wychodziły.

Tak przeszło dziesięć lat młodej Klementynie, kształ-
cąc się pod takim wpływem dobiegła czternastego roku
życia. W czasie pobytu w domu starościny srogie do-
dotknęło ją nieszczęście, straciła ojca. Ignacy Tański
umarł w 1805 roku, gdy mała Klementyna kończyła le-
dwie rok siódmy. Śmierć ta głębokie sprawiła wrażenie
na umyśle dziewczynki, nastąpiła bowiem nagle, a do tego
niemał w jej oczach. Tańscy jak zazwyczaj przyjechali
z Puław na czas krótki dla odwiedzenia rodziny i przyja-

ciół, od kilku dni bawili w Izdebnie, gdy jednej nocy Klementyna, która sypiała w pokoju starościny, usłyszała głośny krzyk starszej siostry:

— Ratuście! tata umiera!

Porwali się wszyscy z łózek, biegną, mała Klementyna wydierała się za drugimi, gdy wtem ujrzała matkę jak ją wprowadzono do pokoju bladą z osłupiałemi oczyma i usłyszała okropne słowa — już umarł.

Wypadek ten, wyrzył się głęboko w pamięci małej dziewczynki, a wdzięczne jej serce zachowało tkliwe wspomnienie opieki, jakiej osierocona matka z rodziną, przez trzy miesiące doznawała w Izdebnie. Ojciec żadnego nie zostawił majątku, stosunki z Puławami zdawały się z jego śmiercią zerwane, księstwo jednak okazali się najszlachetniej, napisali oboje do Tańskiej i prosili, aby przyjechała napowrót do Puław, gdzie myśleć będą o dalszem jej utrzymaniu. Matka więc odjechała, a Klementyna jak poprzednio, została i nadal w Izdebnie.

W ciągu tych lat dziesięciu spędzonych w domu pobożnej starościny, wiara wkorzeniła się głęboko w serce przyszej naszej autorki. Zewnętrzne wrażenia silnie działały na jej umysł i wycisnęły na nim niezatarte piętno.

„Młode moje lata — mówi ona — spływały cokolwiek jak dziecinny wiek Joasa. Święta, uroczystości kościelne, były przez lat kilka najważniejszymi życia mego wypadkami. W skromnym kościółku wiejskim, w nieludnej parafji, nie wiele było wspaniałości, ale wyobraźnia dziecinna dodawała czego brakowało. W Wielki tydzień naprzykład nie wiem czybym więcej wiarą przejętą być mogła w kościele św. Piotra w Rzymie, jak w tej drewnianej świątyni. Kiedy ksiądz szedł do zakrystyi z Ukrzyżowanym, pewna byłam, że tam grób prawdziwy. Kiedy

ustrojono frankami kaplicę i stanęło dwóch chłopców na warcie z drewnianemi pałaszami, z pawiem piórkami u czapek, widziałam w nich żołnierzy Piłata. Pamiętam też jakie wrażenie na mnie zrobiły niektóre wystowienia dramatyczne tak z Ewangelji, jak z pieśni. Rozmowy duszy grzesznika z bolejącą matką Chrystusa w gorzkich żalach nigdy bez rozczulenia słyszeć nie mogłam. „Ach! mnie matce boleściwej,“ albo — „Co mnie pytasz, wszystkim w mdłości...“ i inne wyrażenia tkwiły mi w duszy, lubo fałszywie, piskliwie, okropnie przez organistę i wiejskie kobiety śpiewane. Kiedy w niedzielę wielkanocną skoro świt szliśmy na rezurekcyę i ten kościół wczoraj ciemny i smutny, dziś był jaśniejący i ozdobny, nie mogłam wstrzymać się od mimowolnej wiary, że coś istotnie cudownego zaszło, że Chrystus zmartwychwstał. Przekonana jestem, że do wpojenia we mnie wiary wiele dopomógł ten ciąg świąt i uroczystości, ta zgodność pisma i katechizmu, których uczyłam się w domu, z tem co widziałam w kościele.“

Inne jeszcze wrażenia silny ślad pozostawiły w umyśle Klementyny. Były to krążące w koło wieści o zwycięztwach Napoleona. a nareszcie przybycie wojsk francuzkich do kraju i zaszłe ztąd przemiany. I w losie Klementyny nie mniej się wszystko zmieniło. W kilka lat po śmierci męża, matka jej powróciła do Warszawy i zamieszkała tu stale, przygarnąwszy do siebie rozpierzchłą rodzinę, złożoną z trzech córek, z których czternastoletnia Klementyna drugą była z kolei. Wtedy to zaczęła się dla niej prawdziwa szkoła praktycznego życia. Zasoby matki szczupłe były, zdrowie jej stargane. Trzeba było wielkiej oględności, żeby z pięcioma tysiącami dochodu wystarczyć na potrzeby dosyć licznej rodziny. Klementyna uszczęśli-

wiona połączeniem z matką i siostrami, co od lat kilku było wyłącznym celem jej marzeń, zaczęła też jak mogła pomagać w zarządzie domu, coraz to chętniej porzucała książkę, a przykładając rękę do igły, zajmowała się wreszcie uczeniem młodszej od siebie siostry, swej ukochanej Maryni.

Zwrót taki do życia praktycznego, koniecznym też był dla przyszłego szczęścia młodej Klementyny. W jej charakterze objawiały się bowiem pewne odrębne, niezwykłe kobietom cechy. Przełamana w dzieciństwie, postać miała niezbyt kształtną, rysy jej twarzy były miłe i pełne wyrazu, prawie nawet ładne, lecz młoda dziewczynka przez powiększające szkło patrzyła na swoje upośledzenie, które oprócz niej, nie raziło nikogo; patrzyła na nie nie z jaką goryczą, ale więcej jeszcze z chęcią wyrobienia w sobie wyższych zalet, któreby ją w oczach ludzi trwałszym nad wdzięk urody przyozdobiły blaskiem. Matka i bliżsi znajomi strofowali ją nieraz o wszelki brak pretensyi, o zupełne zaniedbanie samej siebie, o jakąś pogardę ludzi, o głębokie przekonanie, że nigdy za mąż nie pójdzie, że ten świat nie dla niej i że nie ma prawa do najmniejszego szczęścia.

Przesada w wyobrażeniach tego rodzaju mogła być w rzeczy samej szkodliwą, mogła charakter Klementyny uczynić nieco dzikim i zanadto odskakującym od rzeczywistego życia. Ale od grożącego niebezpieczeństwa ocala ją dobra i rozsądna matka. Umiała to ocenić Klementyna, to też stanąwszy nad grobem, tkliwe i wymowne w liście do przyjaciółki oddała matce świadectwo. „Znałam — pisała ona — świętsze, doskonalsze, uczeńsze, więcej czarujące kobiety, ale milszej, praktyczniejszej, pobożności i cnoty, tak ujmującego ułożenia i humoru, większe-

go rozsądku, pewno już w żadnej nie zobaczę. Ona tedy nauczała mnie obejściem, słowami, przykładem, całą sobą, że można być pobożną, a razem wesołą i przyjemną, bo nie samo wieczne, ale i ziemskie szczęście jest w cnocie, i nie odpowiadamy za nikogo, tylko za siebie. Ona mnie przekonała, że staranność około powierzchowności naszej jest obowiązkiem, bo od Boga mamy i duszę i ciało, że można lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą, nie trzeba kłaść ich nigdy na pierwszym miejscu, ani nie móżdż wyżyć nigdy dnia jednego bez książki, a nareszcie ona mi zaręczyła, że wszystkie romanse to istne bajki, któremi wolno niekiedy się bawić, ale wierzyć im w czemkolwiek, broń Boże! Nie zapomnę nigdy jak odczytywałyśmy razem niektóre i jak jasno wykazywała ich przesadę i niedorzeczności. Trafiało się też często, że w miejscach gdzieś dawniej rzewnie płakała, wtedy, zwłaszcza przy dowcipie i wesołości starszej siostry, uśmiełam się serdecznie. W tem, jak w wielu rzeczach innych, zupełnie mi się oczy otworzyły, zaczęłam być młodą, naturalną, mniej wymagającą, zaczęłam poznawać zwyczajną rzeczywistość, a co większa, znajdować w niej upodobanie, co przedtem zdawało mi się stratą czasu, roboty ręczne, domowe zachody, to wnet w miłą powinność się zamieniło; nawet co do umiejętności zyskałam nie mało, czytałam nierównie mniej, ale uczyłam się daleko więcej, a co najważniejsze było dla polki, dla przyszłej pisarki, polszczyzna zaczęła wchodzić w mowę i w nauki moje. Nauczyłam się wprawdzie polskiego języka z reguł, bo nigdy niczego (i dotąd tego dosyć odżałować nie mogę i dla siebie i dla pism moich) nie uczyłam się porządnie. Matka umiała po francuzku, inaczej jakżeby mogła była żyć lat kilkanaście w wielkim świecie, ale

jako wychowana w staropolskim domu i żona polskiego pisarza, mówiła i pisała lepiej i chętniej po polsku, prócz tego mieszkała wraz z nią siedmdziesięcioletnia jej matka, Prowidencya Czempińska, godna rówieśnica kasztelanowej Połanieckiej, która pamiętała wybornie czasy Augusta III-go. Przy takiej matronie, francuzczyzna ostać się nie mogła, a do tego miałam jeszcze siostrę, nieodżałowaną Marynię, sześć lat młodszą od siebie, która chowając się do owej pory przy babce, ani słowa po francuzku nie umiała; moja matka rozdzieliła staranie uczenia jej między nas dwie starsze siostry, mnie się dostała religja i historia, bo trzeba jeszcze wiedzieć, żem uchodziła w rodzinie całej za małego Salomona; a między nami mówiąc, miałam się sama za daleko uczeńszą niż dziś, co może i tak było, ważąc naukę z latami. Bądźcobądź, przystąpiłam śmiało i gorliwie do uczenia młodszej siostry, a choć używałam dzieł francuzkich, musiałam jej wykładać wszystko ustnie i na piśmie po polsku, gdyż inaczej nie rozumiała, i taka to była pierwsza słodka przygrywka do tyłu późniejszych pism edukacyjnych, chociaż wtedy autorstwo nie było mi jeszcze w głowie.“

Pod tak szczęśliwemi wpływami umysł Klementyny dojrzewał pomalu przez lat siedm, po dziecięcim latach obfitości francuzkiej, jak sama powiada, nastąpiły dla niej siedm lat obfitości polskiej u matki. Przyjaciele dawni ojca Wyszkowski i ks. Woronicz, bywali często w domu, a dostrzegając w dorastającej dziewczynce prawdziwą chęć do nauk, wreszcie z podobieństwa z ojcem wróżąc jej pisarskie zdolności, wzięli sobie za cel oświecać ją i przewodniczyć jej w poznawaniu klasycznych pisarzy polskich. Tak przygotowana Klementyna, przeczytała nareszcie 1817 roku wiersz Brodzińskiego p. n.: „Żal za rodzinną mową.“

Dobre ziarno padło na uprawną rolę i wzeszło z zadziwiającym pośpiechem. Klementyna uczuła w sercu żal do samej siebie, za tyloletnią obojętność ku owej spuściźnie naddziadów, ku pięknej mowie, którą oni przez długie lata wyrażali swoją myśl i uczucie. Odtąd zaczęła pisać pamiętnik po polsku, żałując serdecznie, że uwiedziona przykładem powszechnym, późno przysłała do tego poznania i rozumu.

Nie było jednak za późno, pilność Klementyny, chęć jej silna i wytrwała wola powetowała czas stracony. Nabrawszy wprawy pisaniem dziennika, zaczęła kreślić ulotne myśli swoje po polsku. Z namowy matki z końcem 1817 roku, wraz ze starszą siostrą posłała do redakcyi „Pamiętnika warszawskiego“ dwa *synonimy*, z życzeniem, aby w nim mogły być umieszczone. Posłuchajmy, jak młoda autorka określa pierwsze swoje literackie wrażenia:

— Dwa numera wyszły, a naszych dzieł jak nie ma, tak nie ma, wstyd straszny! nareszcie wychodzi styczniowy (który, jak mówią, zawiera w sobie zawsze co redakcyja ma najlepszego). Są i nasze dzieła, wielka radość! prawdziwie trudnoby mi wyrazić, jak mi razem dziwno i miło było, gdym ujrzała pismo moje drukowane.“

Milszego jeszcze doznała wrażenia, gdy będąc w towarzystwie usłyszała jak chwalono bezimiennego pisarza, który ślicznemi *synonimami* tak ozdobił styczniowy numer „Pamiętnika!“ Tajemnica ściśle była zachowaną, Klementyna wiedziała zatem, że słowa te nie przez pochlebstwo wyrzucone były. Taka zachęta dodała jej bodźca do pracy i w młodej głowie zaczęły się snuć rozliczne marzenia na przyszłość.

— Nie pójdę za mąż — mówiła — to rzecz pewna, zawsze więc będę miała nie mało chwil wolnych, czytać

i pisać lubię nad wszystko, będę więc wprawiać się z wolna to tłumaczeniami, to małemi drobnostkami oryginalnie pisanemi, a skoro znajdę więcej oglady i wprawy w stylu, więcej nauki i rozsądku w głowie, wezmę się do jakiego dzieła. To dzieło będzie przydatne do edukacyi kobiecej, cnocie i prawdzie pióro moje poświęcę, a choć najpewniej pięknie pisać nie będę, może jednak praca moja nie będzie zupełnie daremną. Życia więc nie zmarnuję, a co więcej, może kiedyś będę ulgą dla kochanej matki.

Takie to były najmilsze marzenia naszej przyszłej pisarki, marzenia, które wbrew zwyczajnej kolei rzeczy ludzkich, przejść miały wszelkie oczekiwania i nadzieje.

Gdy zamiar pisania opanował raz młodą głowę naszej Klementyny, dręczył ją póty, aż go stanowczo urzezywistnić umyśliła. Przetłumaczyła więc naprzód powiastkę z francuzkiego p. n.: „Sans y Penser“ i znów ją podała do „Pamiętnika.“ Rodzina pochwaliła tę pracę, a Klementyna podsycona w miłości własnej, coraz bardziej ufna w swoje siły, zabrała się do poważniejszego dzieła. Przed kilkoma laty dostała ona od ciotki z Wrocławia książkę niemiecką Jakóba Glatz, p. n.: „Rozaliens Vermächtniss an ihre Tochter Amanda,“ myśl tego dzieła następująca: Dobra matka czując, iż umrze wkrótce, zostawia na piśmie córce swojej rozmaite przestrogi i rady, zalecając aby je często odczytywała, ta praca dostaje się publiczności po jej skonie. Dzieło to wydało się Klementynie bardzo dobre i pożyteczne, ale że forma jego była nazbyt poważna, że zawierało suche rozprawy religijne i kilka kazań, umyśliła więc nie tłumaczyć go, nie naśladować nawet, tylko wziąć z niego główną myśl i niektóre zdania, słowem postanowiła utworzyć rzecz zupełnie oryginalną i zamknąć w piśmie swoim krótkie nauki,

zdolne ukształcić miłą i cnotliwą kobietę. Umyśliła także dodawać do przestróg małe powieści, a lepiej przykłady, aby tem lepiej wrazić je w młode umysły. Chcąc tę dobrą matkę uczynić zajmującą, opisała ją w długim wstępie, nadała jej wszystkie cnoty i jedną tylko wadę niebezpieczną, choć wielce ponętną w kobiecie, wadę zbytniej czułości, źródło tylu wdzięków i tylu umartwień zarazem! Obraz Maryi skreśliła z natury, wzór do niej znalazła w zgasłej niedawno przyjaciółce matki, pani Łuszczewskiej, małżonce ministra. Biorąc się do tego dzieła, młoda autorka pojmowała już dokładnie warunki dobrego pisanja, wiedziała, że chcąc przekonywać drugich i działać na nich stanowczo, trzeba czerpać moc wymowy z serca i przekonania, trzeba w zgodzie być z sobą, słowem trzeba czuć w głębi duszy prawdę, którą się ludziom podaje. W całym tem piśmie — mówiła ona — własnego serca słuchać zamyślam, słowa nie powiem którego bym nie czuła, zdania nie przytoczę o którym bym przeświadczoną nie była, świat opiszę takim jak go widzę, nie tak jak go książki malują. O występkach mówić nie będę, bom sama młoda i dla młodości piszę, a ten wiek nietylko, że znać ich nie powinien, ale i niechętnie o nich wspomina.

Wierna przyjętej zasadzie nakreśliła więc dzieło swoje i nazwała je: „Pamiętką po dobrej matce.“ Do kończywszy pracy, odczytała ją w przytomności domowych, mężczyzna nie było na tej sesji literackiej, bo młoda autorka wstydziła ich się, jak sama do tego się przyznaje. Trwoga jej nie była uzasadnioną, przyszłość okazała to wymownie. Zasłużeni ówczesni mężowie, jak Woroniecz Brodziński, Siarczyński, Wyszkowski i inni, spostrzegłszy zdolność pisarską w młodej rodaczce, nie chcieli wytrącać, pióra z jej ręki, nie mrozili szyderstwem rozwijającego się

talentu; przeciwnie, czując w całym znaczeniu kapłańską, że tak powiem dostojność powołania swego, otoczyli ją skrzydłem opieki i pod tą tarczą dozwolili dojrzewać jej zdolnościom i wzrastać we właściwym i prawdziwie pożytecznym kierunku.

„Pamiętka po dobrej matce“ przyjęta z oklaskami w małym kółku rodzinnem, miała niebawem i na szerszym zajaśnieć widnokręgu. Klementyna w cichości serca gotowała się na wszelkie nieprzychylne krytyki, spokojną była jednak, bo czuła, że jakkolwiek styl jej niewprawny może ściągnąć zarzuty, cel jednak pisma szlachetny i pożyteczny, wynagrodzi powniejsze uchybienia w oczach rozsądnych ludzi.

— Wyrzutów sumienia (mówiła) nie mam wcale, bo dla pisania żadnych innych nie zaniedbuję zatrudnień. Pomimo to, że niby jestem autorką, najczęściej nasze pokoje moją uprzątnione ręką i wszystko co mam na sobie moją ręką uszyte. Do niczego mi ta praca nie przeszkadza, a dodaje wdzięku przyszłości mojej i uszczęśliwia mnie zupełnie.

Z pojawieniem się „Pamiętki,“ w literackim świecie sława Klementyny ustaliła się od razu. Dzieło jej takie zyskało rozgłos, że w mgnieniu oka pierwsze wyczerpało się wydanie i kilka miesięcy o drugim myśleć było trzeba. Pisma publiczne kilkanaście razy wspomniały „Pamiętkę,“ rozbierały szeroko jej zalety, a żadne nieprzychylne słowo nie doszło ucha młodej autorki, nie ostudziło jej zapału do pracy. Daleko było jeszcze do czasów próżnych szermierstw literackich, jeszcze dobre chęci zyskiwały współzucie, jeszcze zawiść nie śmiała targnąć się na młodą sławę, rozwijającą się swobodnie pod cieniem opiekuńczej powagi Woronicza, Brodzińskiego i innych

mężów rzeczywistej zasługi. To też Klementyna widziała z radością powodzenie swoje, poznała, że szacunek powszechny odpłaca jej poniesione trudy, mimo to nie wzrosła w pychę i zarozumienie i ludziom a nie sobie przyznawała zasługę z ocenienia jej pracy:

— Ludzie — mówi ona — daleko są lepsi niż powszechnie świat sądzi, pochwały dawane „Pamiętce,“ doskonale tego dowodzą. Prócz moralności nic w niej nie ma, a przecież wszystkim się podoba; dowód, że wszyscy albo są dobrzy, albo chcą być dobrymi, albo też dobrych szacują.

Najżywszą jednak wdzięczność czuła ku Bogu, który wskazał jej drogę i tak błogosławił jej zamiarom, ze szczerem też przejęciem w chwilach najżywszego powodzenia skreśliła w dzienniku te słowa pełne głębokiej pokory:

„Bóg dobry opiekuje się mną od dzieciństwa. Jemu winnam przyjaźń uczonych, która tyle ceny dziełku memu nadaje. Bogu winnam wszystko! talent mój bez jego opieki byłby niczem. Często pytam sama siebie, czym zasłużyła na tak troskliwą opiekę? lecz nie moje, ale rodzicielskie cnoty Bóg we mnie nagradza zapewne. Ręka jego tak ściśle dzieci z ojcami złączyła, że cnoty lub występki rodziców źródłem są szczęścia lub kary dla potomstwa. Nie wątpię, że ojciec mój patrzy z mieszkania swego na córkę, radość matki jest bez granic i przekładam ją nad wszelkie pochwały. Wreszcie czuję, że dziełko moje jest użyteczne. Już nie raz słyszałam tę najmiłszą dla serca każdego pisarza pochwałę, że po przeczytaniu rad moich, czuje każdy podwójną w sobie chęć do cnoty i pracuje nad tem, ażeby lepszym został.“

Klementyna była więc prawdziwie szczęśliwą, a do tego miała przeświadczenie o własnem szczęściu, dzięki-

wała też szczerze Bogu i nic więcej nie śmiała i nie chciała spodziewać się od przyszłości. Zadowolona w domu, żyjąc wśród serc kochających w ciągłej i pożytecznej pracy, przeplatanej miłą rozrywką, zadowolona w miłości własnej, widząc się celem powszechnego uwielbienia, nie chciała opuszczać rodzicielskich progów, gdzie jej było tak dobrze i odmówiła nawet zaszczytnego i korzystnego miejsca, gdy szanowna jedna rodzina wezwała ją do wychowania trojga drobnych dzieci. Ufna w przyszłość swą literacką, wolała iść dalej rozpoczętą drogą, niż krępować osobistą swobodę. „Co dalej będzie mówiła, ja się o to nie troszczę. Złożyłam przyszłość w ręce Boga i zupełnie jestem spokojna. Tyle doznałam troskliwej jego opieki, iż przekonana jestem, że tak los mój urządzić potrafi, iż w każdym położeniu zdołam znaleźć szczęście tego i przyszłego życia.“

W tak swobodnem usposobieniu ducha, przy tylu sprzyjających warunkach, Klementyna napisała dwanaście powiastek dla dzieci, zastosowanych do dwunastu miesięcy roku, które w jednym wydała tomie, poczem powzięła nowy zamiar, i śpiesznie postanowiła go urzeczywistnić. Ułożyła plan na obszerne dzieło, zamykające w sobie całą naukę chrześcijańską, historję religji, jej przepisy i obzadki, nauki te tak potrzebne, miały być udzielane dzieciom niby to przez matkę, też samą Amelję, której umiarająca matka pozostawiła rady w „Pamiętce,“ ozdobione przytem obrazkami wiejskiego domowego pożycia, dla ożywienia poważnego przedmiotu. W tym celu Klementyna zaczęła z wielką uwagą rozczytywać się w Bossuecie, Fenelonie, Pascalu i innych znakomitych pisarzach religijnych, niemniej wypisywać znaczne ustępy z Biblii. Praca ta podnosiła jej ducha, ulepszała ją, a myśl, że usposo-

bi dzieci polskie do czerpania w świętym zdroju religji, dodawała jej podniety i uszczęśliwiała ją prawdziwie. Nigdy może nie czuła się bardziej zaniepokojoną we wszelkich pragnieniach, jak w owym czasie, gdy zamknięta w osobnym gabinecie, zaimprovizowanym z dwóch wielkich parawanów, kreśliła karty Amelji. To też z duchem prawdziwie rozweselonym zapisała wtedy w dzienniku owe słowa: „Być ciągle tak spokojną, tak wewnętrznie szczęśliwą jak teraz jestem, nie przeżyć drogiej matki, ukończyć dzieło moje o religji i widzieć, że jest przydatne i pożyteczne, patrzeć na powodzenie siostr, widzieć pokój i swobodę w Izdebnie, to są życzenia moje, innych na to znikome życie nie czynię.“

Czując jak wielkie przedsięwzięcie dzieło, zaczęła je od pełnej namaszczenia modlitwy. Modlitwę tę kładzie w usta matki, w chwili, gdy po raz pierwszy zaczyna opowiadać dziatkom słowo Boże. Jakaż to prostota! Jakaż siła religijnego uczucia!

„O Boże wielki! mówi Amelja. Ty widzisz serce moje, czytasz w niem radość i trwożę. Raduję się, że niewinnym dziatkom wielkość Twoją i cuda opowiadać będę i trwożę się, czy godnie o Tobie przemówić zdołam! Gdzież jest mędrzec któryby najwyższą mądrość opisał? Któż potrafi opisać i określić godnie wszystkie dziwy miłosierdzia Twego? Czyż mnie to nędznej, nieudolnej i słabej niewieście, na tak wielkie dzieło porywać się przystoi! Tajemna trwoga na tę myśl śmiałą mnie przejmujel... Wiem, że sama przez siebie nic uczynić nie potrafię! Nie skorzystam nawet z najmędrszych ksiąg i rad, jeśli Ty Panie wspomódz mnie, umysłu mego otworzyć nie zechcesz! O Ty! który najdrobniejszą ptaszynę nauczyłeś jak dobrą ma być matka i każdej wy-

żywie swoje pisklęta pozwalasz, uczyn' niech i ja dzieciom moim prawdziwą matką być zdołam, niech im godnie duchownego pokarmu udzielę, do stołu Twego przygotuję i na wieki im błogi byt zabezpieczę. Ty przenikasz najskrytsze człowieka myśli, Ty wiesz, że nie żądza zyskania próżnej u moich sławy, ale chęć dopełnienia powołania mojego, pomnożenia chwały Twojej, jedynie mną kieruje!

„Oświeć rozum mój najmniejszym promieniem światła Twego, nadaj słowom moim wdzięk najdrobniejszego Twego dzieła, a pomyślnych skutków pracy mojej pewną będę. Z twoją pomocą sama niewiadomość mądrością się staje; wszak kilku prostych rybaków niemal świat cały oświecało. Z Tobą Panie sama słabość w potęgę się zamienia. Kiedy niedawno srogie zimna ziemię całą w twarłą opokę przeistoczyły, kiedy przyroda obumarłą była, Tyś słabemu wietrzykowi wiać kazał, za słodkiem tchem jego lody stopniały, przyroda ożyła, ziemia i drzewa piękną i świeżą ozdobę przywdziały. Dopomóż mi tylko Panie, a i słaby głos mój podobne cuda zdziała, stopnieje w sercu dzieci obojętność na prawdy twoje, obudzi się w nich ten duch ożywiający, który w pierwszego wlałeś człowieka i przywdzieją dusze ich nieśmiertelną cnoty ozdobę. A jeśli nie zechcesz udzielić słowom moim tej pomocy, usposób tylko umysły słuchających mnie dzieci, spojrzysz na nie łaskawie, przejmij je chęcią poznania Ciebie, a co ja niedoskonale w sercu ich wrazę, Ty Panie łaską swoją dokończysz i ugruntujesz!...“

Ta modlitwa pełna uczucia, pięknie maluje nam duszę autorki, jest wyrazem całego jej zawodu, „ona bowiem każdą pracę swoją pierwej myślą poświęcała Bogu i dopie-

ro z tą świętą rosą błogosławieństwa Boskiego, rzucała ją bliźnim swoim na zbudowanie serc enotliwych.“¹⁾

Ukończywszy pierwszą część „Amelji,“ posłała ją do przejrzenia księdzu Siarczyńskiemu, kanonikowi jarosławskiemu, uczonemu i pobożnemu kapłanowi, który niedawno surowo skrytykował „Panowanie Zygmunta III-go“ Niemcewicza i wiele w tej krytyce okazał nauki i sądu. Ta właśnie surowość jego skłoniła Klementynę, że mu powierzyła swą pracę. Wkrótce Siarczyński odesłał ją ze swemi spostrzeżeniami. Uznał, że cel dzieła bardzo piękny, ale wykonanie niewłaściwe i wymaga wielu odmian. Uwagi światłego kapłana rozwinęły umysł młodej autorki, podały jej wiele nowych myśli i wskazały jej drogę. Wzięła się więc do przerobienia dzieła z niezmierną cierpliwością, czytała księgi wskazane przez Siarczyńskiego, a badając rzeczy Boskie, czuła jak nieraz łzy wdzięczności zaszuwały im oczy i przerywała pisanie. I w tych chwilach, jak mówi, ziemia cała znikła przed nią i prawdziwie czuła się szczęśliwą.

Ukończywszy dwa pierwsze tomy „Amelji,“ zawierające część wstępną obszernego dzieła czyli ogólny obraz religji, Klementyna pojedynczo wydała je na widok publiczny.

— Im mniej — mówiła ona — pompy w zjawieniu się „Amelji,“ tem lepiej. Kobieta nie powinna wchodzić hucznie do świątyni sławy, zaledwie nieznacznie wsuwać jej się wolno.

„Amelja“ jednak nie sprawiła spodziewanego wrażenia, pisma ówczesne milczały o niej upoczywie. Z jej

1) Słowa pani E. Z., w „Pielgrzymce 1842 roku.“

to powodu autorka pierwszej na polu literackim doznała prawdziwej boleści, ludzie złej woli obwinili ją bowiem, że pochlebstwo prowadzi jej piórem i że dla tego, iż religja wchodzi w modę i ona bierze się do religijnego dzieła.

Posądzenie to ubodło ją w samo serce. „Już mam z powodu „Amelji“ zasługę — wyznała — bom wielkiej przez nią doświadczyła przykrości. Najostrzejszą krytykę łatwiejbym zniosła jak tę potwarz.“ Mimo to jednak, matki czytały „Amelję“ z wdzięcznością, dzieci z upodobaniem, autorka jednała sobie u ludzi coraz to większy szacunek. Woronicz pochwalał jej pracę, a dzieło postępowało coraz dalej i piąty tom pisać jej zaczęła. Dalsze koleje jej doli nie dozwoliły ukończyć i wydać tak ważnego dzieła.

Obok poważnej pracy nad „Amelją,“ umyśliła Klementyna utworzyć kurs edukacyjny dla małych dzieci i napisać go łatwym i zajmującym sposobem, ażeby zawczasu w swojskiej mowie zasmakować mogły. Przywiązanie jej do dzieci wzrastało coraz bardziej. Macierzyńskiem uczuciem ukochała drobną rodzinę starszej siostry. Lubiła przestawać z temi niewinnemi istotkami. Każde ich dowcipniejsze słówko zapisywała w pamięci, umiała czytać w ich prostych sercach i najszcześniejszą była gdy dopatrzyła w nich dobrą skłonność, zaród przyszłej cnoty.

Pierwsza książeczka z tego kursu wyszła w r. 1823, p. t.: „Wiązanie Helenki.“ Było to rzeczywiste wiązanie dla małej siostrzenicy, ogłoszone właśnie w czwartą rocznicę jej urodzin. Po wydaniu tego dziełka, widząc jak mile przyjętem zostało, młoda autorka postanowiła wydawać pismo peryodyczne dla młodzieży, pod tytułem: „Rozrywki dla dzieci.“

Myśl do tego pisma przyszła Klementynie w czasie zimowych zebrań w domu matki co wtorek, i u starszej

siostry, Tarczewskiej, co srodę. Tam pomiędzy innymi zabawami, jak szarady, pytania i odpowiedzi na piśmie i t. p., była i taka, że każdy prawie z obecnych przynosił co tydzień jakąś oryginalnie napisaną lub przetłumaczoną drobnostkę. Klementyna przepisywała to wszystko własną ręką w umyślną książkę i co srodę odczytała głośno cały numer na zebraniu u siostry. Wyszkowski, dawny przyjaciel ojca, obrał się cenzorem i pisał recenzję na czytane rzeczy, która wraz z numerem następnym odczytywaną była. Te rozrywki wieczorne (tak je bowiem nazwano), prawdziwie były zabawne. One to podały myśl do periodycznego pisma: „Rozrywki dla dzieci,“ które od 1-go stycznia 1824 roku, wychodzić poczęło co miesiąc.

Nowa ta praca, nowe na autorkę nakładała obowiązki. Zmuszona była poznać dokładnie dzieje i literaturę rodzimą, niemniej od czasu do czasu odbywać przejażdżki po różnych okolicach kraju, aby opisem ich wzbogacać pismo swoje; pierwszą więc w tym celu przejażdżkę odprawiła do Puław. Dwa tygodnie strawione w pięknych Puławach, należały do najprzyjemniejszych w życiu Klementyny, i serce jej i miłość własna najmilszego, jak mówi, doznały tam zadowolenia, ale za to smutny był jej powrót do Warszawy, zastała matkę słabą, a co gorsza zagrożoną na przyszłość niebezpieczną chorobą.

Im szczęśliwsze było dotąd życie Klementyny, tym boleśnieszka chwila w której przewidywać poczęła, że to pasmo pomyślności zerwać się wkrótce może. Ani nagroda pieniężna otrzymana od rządu za pożyteczne prace, ani chlubne mianowanie na urząd eforki, czyli dozorczyni kilku pensyj warszawskich, nie nie zdołało zaspokoić serca zbolalej córki, trawiącej dni całe przy chorej matce, zwłaszcza, że choroba co dzień stawała się groźniejszą

i bardziej zatrważającą. W sierpniu, na końcu 1825 roku, dobra matka skonała na rękę córki, a Klementyna gorzko opłakiwała zbyt wczesne osierocenie.

Bóg jednak któremu tak ufała, podźwignął ją w nieszczęściu. Biedna sierota czuła, że serce jej niepowetowaną poniosło stratę, że odtąd nic już nie zapełni jego samotności, że nigdy już tak kochać nie będzie. Mimo to jednak nie śmiała nazwać się nieszczęśliwą, bo wiedziała, że Bóg czuwa nad nią jakby dobry ojciec, a każdy dowód jego opieki przyjmowała z wdzięcznem i pokornem sercem.

Gdyby zadowolenie miłości własnej zagoić mogło rany serca, Klementyna mogła była nazwać się znowu szczęśliwą. Trudy jej bowiem coraz bardziej nagradzane były. „Rozrywki“ szły najpomyślniej i rzeczywistą młodziu przynosiły korzyść. W każdym domu, gdzie była liczniejsza rodzina, dzieci zarówno jak i starsi z niecierpliwością oczekiwali pierwszego dnia każdego miesiąca, a z nim pojawienia się książeczki, którą jakby miłego gościa witano oklaskiem radości. Tańska bowiem miała dar szczególny, że wszystkich zabawić umiała, pisma jej rzec można, były nauką dla dzieci, a rozrywką dla starszych.

W owym też czasie mianowano autorkę naszą profesorką w instytucie guwernantek, a sława jej coraz szerszy miała rozgłos. W „Revue encyclopedique“ nakreślono zaszczytną jej pochwałę, a co więcej poważne Towarzystwo przyjaciół nauk umyśliło przypuścić ją do swojego grona. Wszakże zamiar ten nie doszedł do skutku, uczeni bowiem mężowie nie śmieli przez to obrazić pań wyższego położenia w świecie, a nie mogli znowu zadosyć uczynić wszystkim wymaganiom. Urząd wizytatorski szkół żeńskich w stolicy, oraz pensya 6,000 złotych, wynagrodziły Klementynie ów niedoszły zaszczyt.

Obok stałego wydawnictwa „Rozrywek dla dzieci,“ które trwało pięć lat bez przerwy, zacna autorka nasza powzięła myśl wydawania pisma dla ludu. Myśl ta nieureczywistniona przez nią dla wielu przyczyn, przez trzydzieści lat następnych drzymała spokojnie, aż inna kobieta z nie mniej podniosłym uczuciem i równie przedsiębiorczym umysłem przywiodła ją do skutku i ztąd zjednała sobie wdzięczność powszechną. Zobaczmy jaki był plan Tańskiej, skreślony w jej pamiętniku, a przekonamy się, o ile odpowiadała mu wychodząca później „Czytelnia Niedzielną.“

Nic mnie mocniej martwić nie może (mówi ona), jak ciemnota naszego ludu, gdyby mi Bóg dopomógł, żebym choć iskierkę światła między nich rzuciła, byłabym najszczęśliwszą. Ja nie więcej nie mogę, nie umiem, tylko pisać, zamiarem więc jest moim wydawanie pisma peryodycznego. Wychodziłoby w sobotę p. t.: „Rozrywki niedzielne dla klasy ludzi pracujących,“ najwięcej arkusz, drukiem dosyć drobnym, mieściłabym w niem: Powieści biblijne, powieści moralne, wspomnienia o cnotliwych i pracowitych ludziach tej klasy z wyrażeniem nazwiska, biografij sławniejszych rzemieślników, ludzi którzy z pracy rąk własnych zrobili niezwykły majątek. Wzmianka o niektórych wynalazkach, a gdyby od drugich pomoc była, wszystko coby do wydoskonalenia rzemiosł służyć mogło, sekreta i nauki dla gospodyń i t. p. Moznaby dalej mieścić nauki z historyi przyrodzenia, z kąd się biorą, gdzie się rodzą te rzeczy, których rzemieślnicy potrzebują, byłyby w tem zaraz i wyobrażenia jeografji. Jabym też chciała tylko Warszawę i miasta nasze mieć na celu, wiem, że u nas pisma dla wiejskiego ludu będą marzeniem, póki właściciele dóbr ziemskich, a nadewszystko proboszczowie

nie zajmą się oświeceniem właściwem, bo trudno żeby ci korzystali z książek, co czytać nie umieją. Tymczasem po miastach są szkoły, wielu z klasy niższej czytać umie, ale czytać co nie ma. Nie pamiętam żeby który zamiar tak mi głowę zawrócił, tak sercu był miłym. Boże dopomóż do spełnienia go! Zatrudniona innemi pracami, którym zadosyć czynić trzeba, nie mam innego sposobu jak ująć sobie godzinę spoczynku, żeby i temu dać radę; uczynię to z największą radością przez czas jakiś, w tę godzinę zbierać będę materyały, a jak będzie zapas, sześć godzin na tydzień wystarczy do redakcyi arkuszewego pisma. W niem erudycyi i nauki nie będzie żadnej potrzeby, styl im prostszy tym lepszy, nie wątpię też, że pomocników znajdę, wreszcie gorliwość i przekonanie o użyteczności sił doda i Bóg takiej pracy pobłogosławić raczy.“

Miała słuszość. Bóg pobłogosławił tej pracy, choć inna podjęła ją ręka. Myśl rzucona pocziwie, z miłością, prędzej czy później trafić musi na dobrą rolę i pożyteczne wydać plony. Dzięki tej, która porzuciła ziarno, dzięki zarówno tej, która skrętną dłońią zebrała dojrzałe kłosa na zagonie, aby chlebem po Bogu nakarmić bliźniego.

Przejęta głębokiem przekonaniem o posłannictwie swoim na raz obranej drodze, długo Klementyna żyła z myślą, że nigdy za mąż nie pójdzie. Zajęta pracą, szczęśliwa z obecnego położenia, nigdy nawet nie miała czasu marzyć o przyszłości. Bóg jednak przeznaczył jej inne jeszcze obowiązki do spełnienia i w dojrzałych latach, bo w trzydziestym roku dozwolił osieroczonej po matce doznać pociechy rodzinnego życia. Pomimo zmiany stanu Hofmanowa zachowała urząd wizytatorki, była jak dawniej profesorką w instytucy, a wsparta zachętą męża, nie myślała porzucać autorskiego zawodu, któremu winna była

sławę, dobry byt i wewnętrzne przekonanie o własnej użyteczności. Powróciły znowu dla niej dni prawdziwego szczęścia, przerwane śmiercią matki i znowu jak dawniej dziękowała Bogu za opiekę ojcowską i łaski jakimi ją otacza.

Niedługo jednak trwały te chwile pomyślne, śmierć młodszej siostry, pięknej, dobrej i ukochanej Maryi, którą Klementyna z tak macierzyńskim wychowywała niegdyś uczuciem, śmierć jej tak wczesna, bo w dwudziestym szóstym nastąpiła roku, przerwała to uroczne pasmo pomyślności i przekonała pozostałą siostrę, że doskonałe szczęście nie jest udziałem tej ziemi. Pokorna chrześcijanka umiała i w tej boleści, tak dotkliwej, dopatrzeć duchowną korzyść. „Panie! — rzekła — Ty wiesz co czynisz! ona tam szczęśliwsza niż tu, jej tam lepiej u Ciebie, a i dla mnie może dobrze, że jej nie ma na ziemi; nie tyle tęsknię do ziemskiej ojczyzny, a więcej pragnę chwili przejścia do wiecznej!”

Na tem kończę zarys pierwszej części życia Hofmanowej. Dwunastoletnia praca autorska, której z takim oddawała się zamiłowaniem, nie tylko, że jej przyniosła cześć powszechną i sławę, ale co więcej przyczyniła się niesłychanie do powszechnego dobra. Dzięki jej usilnym dążeniom, nastąpiły wielkie zmiany w wychowaniu młodych dziewcząt. Religijność, że tak powiem, wsiąkała w krew młodego wzrastającego pokolenia, a język od dawna wygnany ze świetnych salonów, powracał do należnego mu dostojenstwa. Tak ważny wpływ wywarła kobieta młoda, nie uczona według zasad, nie jaśniejąca nawet blaskiem genjuszu, ale ufna w Opatrzność, wytrwała w pracy, pełna prostoty, miłości i dobrej woli. Bóg użyczając

jej łaski, błogosławiąc jej trudy, dał nowy dowód, że nie tylko przez wielkich przychodzi światu zbawienie.

II.

Widzieliśmy Klementynę w pierwszej połowie jej literackiego zawodu, młodą, swobodną, otoczoną powszechnem uwielbieniem i szacunkiem, a co więcej nad to, oddychającą owem ciepłem tchnieniem życia rodzinnego, wpośród swoich, które jest jedynym warunkiem szczęścia na ziemi. Zobaczmy ją teraz w drugiej połowie tego chlubnego zawodu. Wszystko zmieniło się w około niej. Opuściwszy rodzinną ziemię, wyjechała z mężem w obce kraje na długo, na zawsze... Węzły rodzinne z jedyną pozostałą siostrą, ściśle pomimo oddalenia, przestały być pociechą jej serca; życie wśród obcych nie mogło zapełnić Kochającej duszy; wreszcie potrzeba pracy na chleb codzienny, stawszy się koniecznym obowiązkiem, straciła może dla niej połowę dawnego uroku. Mimo to zacna niewiasta nie upadła na duchu. Wierzyła w Boga, że jej nie opuści, czuła świętość powinności małżonki, wiedziała, że powinna być osłoda i wsparciem tego, któremu poprzysięgła wiarę przed ołtarzem; miała nakoniec przeświadczenie o obowiązku umysłowej pracy, przed którą tak pożyteczny wpływ wywierać poczęła na wzrastające pokolenie kobiet; czuła, iż wiele jeszcze nie wypowiedziała słów, które leżały w jej duszy. Przyzwała więc Boga na pomoc, a patrząc bez trwogi w przyszłość swoją, zbierając w myśli cały zapas duchowych skarbów jakie posiada, a któ-

rych odebrać nikt jej nie może — Bóg, mąż i pióro — oto całe bogactwo moje, — rzekła z ufnością i wewnętrznem ducha rozradowaniem i urządziwszy się zaledwie wpośród obcych, gorliwie zabrała się do pracy.

W czasie kilkumiesięcznego pobytu w Dreźnie chcąc użyć pożytecznie każdej chwili czasu, oglądała z uwagą miejscowe osobliwości i galerie, i to wszystko dokładnie opisała. W ciągu podróży przez Niemcy, która dłużej nierównie trwała niż dziś przy tak upowszechnionych kolejach żelaznych, zwracała naszą uwagę na wszystko, a mianowicie na wewnętrzne życie narodu i własne spostrzeżenia skreśliła w dziełku p. n.: „Przejażdżka przez Niemcy.“ Wjechawszy w piękną Francję, nie czuła nawet całego uroku cywilizacji, powiewającego zewsząd, bo tęsknota émiła jej oko i zwracała myśl w inną stronę, „Nierównie — mówi ona — miłszego doznawałam wrażenia, gdy jeżdżąc po kraju naszym, spozrzałam przed siebie, nie nie widać było tylko drzew gromadę, aliści z pomiędzy tych drzew, dostrzegałam dym, wznoszący się w górę, dalej wieżyczkę drewnianego starego kościoła i wierzch gołębnika stojącego przed modrzewim dworem; wkrótce przed oczyma memi stawiło się kilkanaście chatek pochylonych z dachem słomianym, otoczonych niekiedy małemi ogródkami. Tu wprawdzie domy z kamienia, ale i cóż mi z tego? Nie ma tu tego ruchu, tego życia, jaki nasze okolice przedstawiają, chociaż tak znacznie Francya od Polski ludniejsza. Wszystko tu rozdrobnione i dla tego niknie; na małych własnościach ledwie po kilku robotników, trzód by była nie ujrzysz wcale, nie ma szerokich łąnów, ani łąk nieścignionych okiem, wszystko tu jakoś inaczej!“

Paryż nawet, wspaniały i piękny Paryż, o którym Klementyna nie raz marzyła w młodości, nie zupełnie od-

powiedział jej oczekiwaniu; ze smutkiem też zaraz po przybyciu, te kilka słów zapisała. „Tak jestem odurzona tym hałasem, tym ruchem, tym odmětem, tą prawdziwą cizbą sprzedających, że porządnie zebrać myśli nie mogę. To mnóstwo ludzi, którzy dla ciebie są jakby nie ludzie, bo ich ani znasz, ani obchodzisz, zasmuca, i przekonywasz się o prawdzie w którą nie wierzyłaś, że można być samotną pośród tłumu! Czy wyjdę na ulicę, czy sama siedzę w domu, dziwnie mi jakoś smutno, ogrom i zgiełk tej stolicy, jakimś niepojętym ciężarem serce moje tłoczy. Jak jestem sama, staje mi w oczach siostra, przyjaciele, domek własny taki miły, tyle drogich osób, i tęsknota mnie ogarnia; ale jak jestem z mężem, wszystko dobrze, wszystko miło i jeszcze mi się zdaje pomimo tego com straciła, żem najszczęśliwsza z kobiet, mam kogo kochać, na kim polegać, mam sumienie czyste, gust i zdolność do pracy. Bóg też widzi serce moje, On wie, że ani z ust moich, ani z męża, żadne dotąd nie wyszło szemranie!“

Z takim zapasem wewnętrznego szczęścia nie dziw, że Hofmanowej wszędzie dobrze być musiało, gdziekolwiek ją Opatrzność umieściła. To też osiedliwszy się raz w Paryżu, w własnym cichym kąciuku, z oknem wychodzącym na drzewa cudzego ogrodu, nie żądała dla siebie nic lepszego i szczerze zabrała się do pracy, widząc w niej całą swój majątek. Ależ ową pracę nie same przyjemne jak niegdyś literackie stanowiły zajęcia; nie raz poranek zszedł jej na szyciu i naprawianiu bielizny. Rozsądna kobieta, nie tylko że nigdy nie utyskiwała na to, ale z pewnem zadowoleniem zapisała w pamiętniku, „Dawno już obchodzę się bez służącej, i oprócz sukien nowych, nikt dla mnie, ani dla męża ściega jednego nie zrobił, wyznając, że tym szczegółem więcej może gotować się chlubić, ani-

zeli tem, że napisała w tym roku tyle a tyle; prawda, że to czas zabiera, aleć mnie się zdaje, że pierwszym mojem powołaniem było być kobietą, a dopiero drugim autorką.“

Nie zaniedbywała jednak piśmiennej pracy, czując się do niej obowiązana. Wziąwszy się po długiej przerwie do uporządkowania swych podróżnych notatek i powiązania ich w pewną całość, czuła niemal przymus a nadewszystko obawę, ażeby po pracy nie znać było, że nie z obowiązku a nie polubienia spełniana. Bolało ją z początku, że nie ma tu tej powagi, tego znaczenia, jak niegdyś pomiędzy swemi, że nie może takiego jak dawniej wywierać na otaczających ją wpływu. Ale w takich chwilach upadku ducha, religja przychodziła w pomoc tej prawdziwie chrześcijańskiej niewieście. „O! zapewne, mówi ona, dobra to może nauka! ja zbyt już wbiłam się w pychę, świeciłam może zanadto; tu prawdziwie człowiek wrócił do swej rzeczywistej wartości, piórka zupełnie oskubane. Przecież czasem żal mi tego znaczenia, żal stokroć więcej niż salonów, powozów, służących i tysiąca innych wygód, żal... ale gdzież religija, gdzie pobożność, jeśli nie w zgodzaniu się z wolą Boga? Tak *jest*, więc *tak jest* dobrze, a jeżeli jest jakaś przykrość, to ofiarować ją trzeba z pokorą.“

Wprawdzie po przybyciu do Paryża, była chwila, że Hofmanowa ufna w swój talent, znając biegłość swoją we francuzkiej mowie, chciała na szerszem zajaśnić wi dno kręgu, zamarzyła o nowej sławie, o wieńcach, które mogła na nowem zbierać polu. Znalazła nawet nie małą ku temu zachętę. Poznała się z panią Bradi, autorką kilku romansów i dzieł dla młodego wieku i pod jej wpływem zaczęła pisać dziełko po francuzku dla dzieci, niemniej poznała panią Belloc i pannę Mongolfier, które wy-

dając zbiorowe pismo dla młodzieży, pragnęły w niem mieć próbki literatury dziecinnej wszystkich narodów i szczerze namawiały Hofmanową do współudziału w ich pracy. Gdyby nasza autorka przetłumaczeniem tylko pism własnych chciała być zapomódz francuzką dziecinną literaturę, otrzymałaby niewątpliwie w nagrodę poklaski i niemałe pieniądze korzyści. Ale ona czuła, że talentu, który ma od Boga, nie wolno jej sprzedawać za żadne skarby świata; czuła, że nim nie ma dokupować się marnej sławy, ale że winna go obrócić na korzyść tych kobiet, których wychowanie tak rozpoczęła chlubnie i pożytecznie, to też po chwili ułudy wróciła na właściwą drogę: „Ja nie chcę postradać mej rodowitej barwy, zawołała z zapalem. Za najświetniejszą europejską sławę, nie oddałabym przekonania, że moim użyteczną jeszcze być mogę, nie chcę zapomnieć mego języka, nie chcę poznaniem obcych obyczajów, wad i przymiotów, zatrzeć wrodzonych wyobrażeń, nie chcę pisać dla francuzek, chcę polkom trafiać w ich potrzebę. Ani Europa, ani francuzki bynajmniej mnie nie potrzebują!“

I niebawem z pod pióra jej zaczęły wyrastać coraz to nowe kłosa, z których zdrowe ziarno jest i będzie przez długie lata pokarmem dzieci polskich.

Pojawiły się nowe prace, „Mała biblioteczka“ z pięciu złożona tomików, „Przejażdżka przez Niemcy“ i t. p. Wszystkie te dziełka nacechowane wzniosłą dążnością i prawdziwie pożyteczne, słabą były ledwie przygrywką do tego, co autorka nasza w przyszłości wykonać miała.

Czysta dusza Hofmanowej czuła jednak niesmak w tym chorobliwym odmiecie życia paryzkiego, które tak zgubny wpływ rozaczało wówczas do koła, była też to chwila wielkiego upadku ducha i skrzywienia umysłowego

we Francyi. Literatura tylko co dźwignęła się z klasycznego uśpienia, nowe talenta zabłysły na widnokręgu piśmiennym, ale duch religijny bynajmniej ich nie uświęcał, wszystkie ówczesne utwory nosiły na sobie dziwnie gorączkową cechę. Poeci i prozaicy wzięli sobie za cel działać wyłącznie na wyobraźnię, wstrząsać ją gwałtownemi wrażeniami, łądzić i zabawiać ogół, nie troszcząc się, czyli praca ich pożyteczne przyniesie plony, czy też przeciwnie zaszczepli niepokój w sercach i zaprawi je trucizną. Teatr nadewszystko, którego przeznaczeniem jest rozwijać myśli wzniosłe i szlachetne, który niegdyś był szkołą obyczajów, stał się widownią najczarniejszych zbrodni i najszkodliwiej działał na młode dusze, oswajając je ze złem wszelkiego rodzaju, zdzierając z oczu młodzieży tę niewinną powłokę, która jest najpiękniejszą jej ozdobą. To też autorka nasza ubolewała nad tem szczerze: „Kiedy— mówi ona — widzę młodzież francuzką czytającą albo patrzącą na płody dzisiejszych autorów, zdaje mi się, że widzę kwiaty jeszcze nierozwite, upadające pod kosą złośliwego czy nieuwważnego pracownika. Same okropności dla oka i dla duszy, balety ze szkieletów, całe sztuki z djabłów, złodziejstwo i zabójcy bohaterami, zbrodnia główną osnową wszystkiego. Dzisiejsi autorowie zrodzeni byli w latach rewolucyi, ta krew, te trupy, stały się niejako ich potrzebą, gdyby to przynajmniej przeszło z tymi ludźmi ale gdy raz ten gust zaszczeplony, czemuż go zastąpić?“

To też Paryż mimo całego uroku mało miał powabu dla tej czystej duszy. „Za nic nie chciałabym tu zamieszkać na zawsze, powtarza nie raz, jest w układzie, w całej postawie francuzkiego narodu coś takiego co przeraża, oziębła, zasmuca. Tu, zdaje się, że serce uschnąć może, imaginacya wywietrzeć, dusza straci całą piękność swoją.

Szczególna jest jakaś dążność do zerwania wszelkich illuzyj, do oswojenia z występkiem, pisarze siłą się na wymyślenie zbrodni, okoliczna natura nie dostarcza ani lasów wspaniałych, ani wód szumiących, ani gór wysokich, ani skał, słowem tego wszystkiego co do myślenia pobudza, co Boga przypomina.“

„Brak nawet muzyki w Paryżu czyni francuzów ludem zupełnie materyalnym. Poganie czcili przynajmniej Bogów swoich, mieli poważne święta; tu dwa są tylko bóstwa: pieniądz i zabawa. Jedynym środkiem do zmienienia paryżan w ludzi, byłoby wlewać w duszę każdego uczucie religji.“ Nie mogła także pogodzić się z ową sztuczością, która w pobliżu stolicy pokonała zupełnie naturę. „Wszystko to sztuczne, mówi. lasu jednego nie widziałam, ani łąki coby Pan Bóg stworzył, wszystko dzieło ludzkie. Stare drzewo jest tu osobliwością, lasy siane wszędzie i nie wyrosłe. Jest jakaś czezość, jakiś brak w widoku takiego kraju, serce schnie jak go nic w naturze nie porusza, przytem ptaków bardzo mało, słowika nie usłyszysz chyba w klatce, bociana nie zobaczysz, wróble tylko i wrony, bo tych nikt nie łapie. Często jak się przechadzam po wspaniałych Tuilleryach, po zaludnionych polach Elizejskich, po tych sztucznych wsiach paryzkich, a nawet kiedy widzę owe słynne wodotryski wersalskie, myślę sobie: wolę ja od tego wszystkiego naszą prostą olszynę.

Owa tęsknota wzmagała się bardziej, gdy zdrowie Hofmanowej zachwiało się znacznie w rok po przybyciu do Paryża. Słabość jej, jakkolwiek zrazu niezbyt dokuczliwa, była jednak zagrażająca, objawiała się bowiem wielka skłonność do raka, owej strasznej a nieuleczonej choroby, na którą i matka umarła przed kilkoma laty. Wezwani

weześnie lekarze radzili operacyę, którą Hofinanowa zniosła z prawdziwie męską odwagą w styczniu 1834 roku. Długo ramię jej prawe było niemal bezwładne, słabło zwłaszcza przy pisaniu: „Czyżby i to Bóg chciał odjąć? — mówiła z poddaniem. On dał, on wziąć może, niech się stanie Jego wola!“ Starania jakimi ją otaczano, budziły w jej sercu tkliwą wdzięczność, mimo cierpienia czuła się szczęśliwą na myśl, że tak powszechnie budziła współczucie. Z powrotem zdrowia wrócił też i błogi spokój do tej pięknej duszy, tęsknota ustąpiła na długo. „To prawda, mówi ona, że Opatrzność dała mi jakiś zapas szczęścia, którego los wyczerpać nie może; tyle utraciłam, a zawsze mam tyle! O! muszę się zabrać do czynności, do pracy piśmiennej, do gospodarstwa, żeby Bóg i mąż zadowoleni ze mnie byli!“

Pierwszem dziełem Hofinanowej po powrocie do zdrowia, była książka do nabożeństwa p. n.: „Modły dla polek,“ wzięła się do jej ostatecznego wykończenia w rok po szczęśliwie odbytej operacyi, chcąc owej ręki, której Bóg siłę powrócił, użyć na Jego chwałę.

Były chwile w których jako autorka doznawała rzeczywistej pociechy; gdy widziała, że posiane przez nią ziarno nie pada na opokę. Dnia jednego J. N., młody człowiek wielkich zdolności, ale bardzo wolno-myślący, przyszedł do niej z książką w ręku i ze łzami w oczach. Książką tą była „Amelja“ kupił ją za 20 sous u antykwariusza nad Sekwaną, przeczytał całą, lubo od dawna odwykł od religijnych rzeczy. Przypomniawszy sobie, jak tę książkę z matką już nie żyjącą, czytywał niegdyś w dzieciństwie; dziś gdy mu wpadła w ręce, czytał ją z największym rozezuleniem i przejęciem i zapewnił autorkę, że ta książka rozbudziła w nim oddawna uspięte religijne uczu-

cie. „Będę teraz — mówił jej — daleko lepszym, będę pobożnym, ta książka trafiła do mojej duszy, tak mi przypomniała wszystkie nauki matki... a matka już nie żyje, a ona tak mnie kochała, nikt teraz już mnie tak nie kocha!...“

Słowa te głębokie na Hofmanowej sprawiły wrażenie, to też nakreśliła je w dzienniku, ze łzą w oku zapewne, dziękując szczerze Bogu, że dozwolił aby jej trudy tak sowitą odebrały zapłatę.

Odtąd też z podwojoną gorliwością zabrała się do umysłowej pracy. W roku 1836 zamieszkała wraz z mężem w St.-Germain en Laye, niedaleko Paryża. Życie wiejskie oddalone od zgiełku, lepiej przypadało do jej spokojnej wyobraźni. Osiedliwszy się w małym wiejskim domku, skromnym ale wygodnym, z prawdziwą wdzięcznością dziękowała Bogu, że jej dał prostotę myśli i gusta niewinne, owe dwa nieocenione skarby, których Bóg nikomu zapewne nie odmawia, ale które mało kto cenić i dochować potrafi.

Tam najmilszą jej rozrywką były dalekie przechadzki do lasu, zrywała kwiaty i zioła, zasuszała je starannie, a potem zaglądała do książek i badała ich własności. Wtedy to, pod wpływem uroczystej ciszy wiejskiej, tak odpowiedniej ciszy panującej w jej umyśle i sercu, zapisała te prześliczne słowa: „Żeby być szczęśliwym, trzeba umieć być szczęśliwym. Sposób najpewniejszy do otrzymania szczęścia, „nie zagniewać Pana w sobie“ (Zaleski). Trzeba koniecznie wewnętrznej pogody, żeby pokój wyszedł na jaw, woda tylko spokojna powtarza obraz błękitnego nieba. Co to za rozkosz wyjść w stanie pogody w piękny poranek, bądź w pole, bądź do ogrodu! Nie myśli się o sobie, o żalu, o smutku swoim. Te drzewa, ta cichość, ta

świeżość przemawia do duszy naszej, przemawia o Bogu, o bliźnich. O! czuję, czuję mocno w sobie, co to za skarb dla człowieka spokój duszy. Bóg w miłosierdziu swoim dał mi go nieprzebrany zapas. Nie raz, kiedy wyjdę nawet na ulice Paryża, jakieś błogie przejmuję mnie uczucie, chciałabym przygarnąć wszystkich ludzi, dla każdego coś zrobić dobrego i żałuję wtedy, że nie mam mocy do sypiania pełnemi rękoma dobrodziejstw. Ale może lepiej robię, bo modłę się za wszystkich.“

Patrząc na to wewnętrzne życie Hofmanowej, tak swobodne i błogie, mniemaćby można, że dni jej snuły się w ciągłej pomyślności, jak piękny wieniec kwiatów, przeciwnie, Bóg dotykał ją nieraz, jak dotyka tych wszystkich których kocha. Niepewność o los przyszły, cierpienia własne i cudze, śmierć wielu przyjaciół, mianowicie Brodzińskiego, którego zgou opłakała rzewnie, były to boleści dotkliwe dla jej kochającego serca, ona jednak pełna wiary i poddania, z równą gorliwością jak drudzy szukają powodów do skarg i udręczeń, wyszukiwała we wszystkim powodu do dziękowania Opatrzności, pamiętając słowa, które matka wyrzekła niegdyś przed zgonem: „Pan Bóg jej nie opuści.“

W Saint-Germain najmilej życie płynęło naszej autorce, tam też najwięcej utworów wyszło z pod jej pióra. W przeciągu lat kilku zaledwie słońce cieplejsze zapowiedziało wiosnę, ona wraz z mężem dążyła do miłej ustroni, i nie opuszczała jej aż późną jesienią. W Saint-Germain napisała naprzód „Karolinę,“ powieść w trzech tomach, której przeszło rok pracy poświęciła. Zaledwie że ją ukończyła i wysłała do Lipska r. 1838, przyszła jej chęć do drugiej powieści. Siedząc raz w lesie pod dębem i czytając dzieło pani Necker-Saussure („Etude de la vie des

femmes), uderzyło ją silnie to, co autorka mówi o kobietach niezamężnych. Naprędce więc nakreśliła plan „Krystyny“ ołówkiem, zamierzając dzieło to poświęcić wyłącznie pannom. Tu, jak sama powiada, więcej niż w innych powieściach zamieściła szczegółów z własnego życia, wierne nakreśliła wizerunek nieodżałowanej matki, ztąd może ta powieść miłszą jej była nad inne własnego pióra utwory.

Około 1840 roku zamierzyła Hofmanowa założyć dom wychowania panien i wszelkie usiłowania skierowała do tak chwalebego celu. Skutkiem rozgłoszonej o tem wieści, dostała jej się na wychowanie młoda angielfka. Widząc jednak, że zamiar ten nie da się urzeczywistnić na szeroką skalę, wychowywała po macierzyńsku młode dziewczęta powierzone jej opiece, po większej części współrodaczki, a resztę zbywającego czasu poświęcała jak dawniej piśmiennej pracy.

Jeszcze w 1826 roku młoda autorka nasza zaczęła pisać powieść historyczną z życia Jana Kochanowskiego. Nakreśliwszy plan i początek, poddała pracę zamierzoną pod sąd Gołębiowskiego i Brodzińskiego, którzy przysłali jej rady swoje na piśmie. Właśnie gdy zabrała się w najlepsze do czytania dzieł historycznych i wypisywania obszernych ustępów, musiała zaniechać tej pracy, nie mogąc wystarczyć lekcjom i „Rozrywkom.“ Wszystkie więc zażytki i dokumenta zachowała na potem do swobodniejszego czasu. W szesnaście lat wzięła się znów do przerwanego dzieła, wzbogacona tyloletnią nauką i doświadczeniem. Odczytywała ciekawie pamiętniki i dzieła historyczne, mające jakikolwiek związek z czasami naszego wielkiego poety. Rok zwłaszcza 1584, w którym rzecz toczyła się w powieści, był wyłącznym celem jej badań, chwy-

udała więc skwapliwie wszystko, co go rozjaśnić mogło. Myśl jej do tego stopnia zajęta była tą datą, że gdy raz idąc ulicą spotkała fiakra z numerem 1584, długo szła za nim zamysłona, w mniemaniu, że jej coś powie o Janie z Czarnolasu.

Smutne przeznaczenie ścigało jednak tę pracę. Znów ją Hofmanowa przerwać na długo musiała z powodu wznowionych cierpień, które pociągnęły za sobą potrzebę nowej operacji. Ta mniej pomyślnie udała się niż pierwsza. jeszcze blizna nie zgoiła się po niej, a już nowe zaczęły się pojawiać gruczoły. Hofmanowa jednak znosiła wszystko z bezprzykładną odwagą i cierpliwością. Gdy słynny chirurg Roux w czasie tej powtarzanej operacji głęboko założył pod ramię żelazo, ona nie pomnąc na okropny ból, zatrwożyła się tylko, czyli ręka jej zdoła jeszcze władać piórem i zawołała przerażona: O Panie, ja pisać nie będę już mogła!

Wkrótce jednak powrót do Saint-Germain z Paryża, zdrowe wiejskie powietrze, życie jednostajne i ciche, pokrzepiły chwilowo nadwątlone jej zdrowie. Rozpoczęła znów ulubione przechadzki po lesie do starego dębu, w którego pień przed kilkoma jeszcze laty osadziła obraz Panny Maryi Częstochowskiej. Gdy zaś po raz pierwszy wzięła się do pisania po odbytej operacji, postanowiła złożyć srebrne pióro przed cudownym obrazem w Częstochowie, przejęta wdzięcznem uczuciem ku N. Maryi, do której przez całe życie wielkie zachowywała nabożeństwo. Ofiarę swoją uskuteczniła za pośrednictwem przyjaciółki.

Czując pokrzepione siły, z nowym zapałem zaczęła znów pracować nad Kochanowskim; pisała na kolanie, nie mogąc długo podnosić w górę chorej ręki, mimo to jednak skończyła wkrótce tę prawdziwie piękną powieść. Wtedy

to Bóg zesłał jej sposobność zbliżenia się do swoich i odbycia niespodziewanej przejażdżki do Wrocławia. Pani Małachowska z Sanguszków umarła właśnie w Paryżu, zostawiwszy trzy młode wychowanki. Hofmanowa uproszona przez nie, postanowiła odwiedzić je do Drezna lub Wrocławia i tam w równie pewną powierzyć je znowu opiekę. Jakkolwiek przykro jej było rozłączać się chwilowo z mężem, wszakże pocieszała ją myśl, że uściśnie drogą siostrę, powita przyjaciół i ukochaną ciotkę zamieszkałą w Wrocławiu.

W Dreźnie miłej doznała pociechy, widząc się otoczoną przez bawiących tam współrodaków względami, grzecznościami i hołdami, z wielką też radością zapisała te słowa w dzienniku: „Przejażdżka ta zupełnie zaspakaja serce moje... rozczuła mnie i przejmuje wdzięczność matek i pełne uszanowania obejście się córek. Sądziłby kto, że mnie każda uważa za wyrocznię i szczęśliwa kiedy mnie choć raz widzi, kiedy słówko do niej przemówię. Dwie nawet współrodaczki, L. i M., ujrzawszy mnie, rzewnie się rozplakały.“

Żywszej nad to doznała uciechy, gdy za przybyciem do Wrocławia przycisnęła do serca ukochaną siostrę, niewidzianą od lat dwunastu, gdy ujrzała ciotkę i miłych sercu przyjaciół. Przejażdżka w poznańskie niemniej zadowolila jej serce, lubo zachwiane zdrowie znosić nie mogło bez szkody tylu wrażeń. W końcu lata powróciła do męża i z nową gorliwością zabrała się do pracy.

Odtąd poświęciła pióro wyłącznie rzeczom świętym. Myśl jej uduchowiała się coraz bardziej, może w części skutkiem sił gasnących, świat zewnętrzny malał w jej oczach, a świat wewnętrzny, świat ducha, olbrzymiej za to nabierał potęgi. Układając powieści ze Starego i Nowe-

go Testamentu, błogą w sercu czuła pociechę i zapisała te pamiętne słowa: „Miałam chwile prawdziwego szczęścia, bo nieraz mi się zdawało, że jestem jedną z tych pobożnych niewiast, które za Chrystusem chodziły i tak żywo przejmowałam się tem wszystkim, jak gdybym żyła wtedy. Chanaanka nad wszystkie mnie rozrzewniała. A kiedym już doprowadziła moją pracę do Wniebowstąpienia Zbawiciela, jakaś dziwna tęsknota mnie ogarnęła, jak gdyby w istocie oddalił się odemnie i znikł mi z oczu; albo co prawdziwiej, jakby zdjąwszy z siebie postać ludzką, dostępny dla mnie, został znowu Bogiem niepojętym, niedościgłym. W ciągu całej pracy nad Ewangelią, czytałam w wolnych chwilach „Messyadę“ Klopstoka i była to zupełnie jakby przygrywająca mi muzyka, jakby wtór harmonijny. Z zapasami jakie miałam koło siebie i w sobie, może byłabym ukończyła coś wymowniejszego, gdyby przyjęty zakrój dzieła był inny. Mam jednak przekonanie, że żaden krój nie mógł być użyteczniejszy dla czytelników, dla których to dzieło przeznaczone. Bóg może dopełnić raczej to, czemu słabość moja nie podolała.“

Z równem namaszczeniem napisała „Żywoty świętych niewiast,“ obrazki pobożne, które poświęciła żyjącym w świecie kobietom. W dziełku tym przejęła się zupełnie świątobliwą prostotą Piotra Skargi, z którego „Żywotów Świętych“ brała barwy do swoich obrazków. Z największem znać upodobaniem kreśliła wielkie zasługi tych świętych niewiast, których cnoty wykwitły w cieniu domowym, a przez to snadniejsze były do naśladowania.

Zdrowie Hofmanowej tymczasem wątlało coraz bardziej, siły opuszczały ją zwolna. Ponieważ cierpienia znikały w porze letniej a wracały zwykle wraz z zimą, lekarze radzili jej zmianę klimatu i to było jednym z powodów,

dla których w miesiącu czerwcu 1844 roku przedsięwzięła podróż do Włoch wraz z mężem i wychowanką. Pomimo słabnących sił, baczna na wszystko zwracała uwagę, zamierzając opisać podróż całą za powrotem, jakoż w rzeczy samej pozostawiła dziwnie zajmujący i pełen życia opis Belgji i Szwajcaryi, na Włochy nie wystarczyło już czasu, pozostały tylko notatki z podróży, kreślone w dzienniku naprędce, pod wpływem pierwszego wrażenia.

Zatrzymawszy się w przejeździe parę dni w Konstancji, tam autorka nasza obchodziła dwudziestopięcioletni jubileusz, swego tak chlubnego literackiego zawodu. „Czyliżem się spodziewała w 1819 roku—pisze ona—że tę uroczystość tu obchodzić mi przyjdzie? Ależ jakie to ubóstwo serca w około mnie? Prócz jednego męża, nikogo nie ma z tych, co mnie wtedy tak serdecznie kochali, tak się mną chlubili. Co to przemian nastąpiło od tych czas! Jednak rzecz dziwna, siebie znajduję zupełnie taką samą i taki sam pokój panuje w mojej duszy, jaki wtedy panował.“

Przebywszy Apeniny i stanawszy na ziemi włoskiej, nacechowanej piętnem religijnej poezji, wzniosła jej dusza dziwnie uroczego doznała wrażenia. Sztuka nawet, nad którą ona zwykle przekładała naturę, przemówiła tu do niej tajemniczemi zgłoskami. Ukorzyła się w obec niej chętnie, bo też tu sztuka przybrała cechę Boską, bo tu cała zwróciła się ku niebu.

Tęskna myśl jednak nie odstępowała jej od początku naszej podróży. Z największem upodobaniem zwiedzała wszędzie groby. Oglądając kościół *San Spirito* we Florencji, wspaniałe dzieło Michała-Anioła, zwróciła baczna uwagę na klasztorne krużganki, mające przeznaczenie cmentarza czyli naszych katakumb. Wtedy to zapragnęła szczerze, aby kiedyś i krużganek Reformatorów w War-

szawie na podobny użytek obrócono i aby w nim mogła mieć kiedyś tablicę. „Tyle wspomnień — mówi — łączy mnie z tym kościołem, tam młodziuchną będąc, zaledwie powróciwszy do matki, uczęszczałam przez rok cały z ukochanemi siostrami, tam chodziłam dziękować Bogu za pierwsze autorskie wieńce, tam później ofiarowałam mu łzy nad chorobą i śmiercią matki, tam w pierwszych latach najszczęśliwszego małżeństwa znowu płakałam nad siostrą... Gdyby ściany tego kościoła mówić umiały, powtórzyłyby najsłodsze, najżywsze, najboleśniejże uczucia serca mego. Tam więc najwłaściwiej tablicę mi położyć i od niej rozpocząć nowe przeznaczenie krużganku!“ Też same myśli zajęły jej głowę gdy wróciła z pięknego kościoła Anunciata. Przybytek to wspaniały, pełno w nim posągów, obrazów, marmuru i złota, jednak bardziej nad to wszystko zajmowały ją krużganki. „Tambym życie pędziła — mówi ona — jakże piękne, jak wymowne te ściany, ta podłoga z samych napisów grobowych! Kiedy człowiek wiele już przeżył drogich osób, kiedy sam już przepołowiał życie, dziwne ma upodobanie w grobach, może jest w tem i samolubstwa trochę; miło wiedzieć, że i umarli zapomnieni nie są. O! zawsze, zawsze! coraz bardziej mieć pragnę tablicę w krużganku u Reformatów! nie nie chcę tylko nazwisko moje, rok śmierci i te słowa: „Dzieci i matki zmówcie Zdrowaś Marya za jej duszę!“

Wielkie także jej serce doznawało pociechy, ilekroć zdarzyło jej się napotkać gdzie jaką polską historyczną pamiątkę, czy to piękny obraz Kazimierza świętego, pędzla *Carlo Dolce*, w wielkiej florenckiej galeryi, czyli wspaniały wizerunek Batorego w słynnym zbiorze Medyceuszów, czy w *Palazzo Vecchio* portret Michała Wiśniowieckiego króla polskiego, w czerwonym kontuszu i łańcuchu złotym,

z orderem Złotego Runa na piersi. Z niemniejszą pociechą odwiedziła w Rzymie relikwie Św. Wojciecha, patrona Polski, darowane niegdyś przez Bolesława Chrobrego Ottonowi, które ten monarcha złożył w nowo zbudowanym kościele Św. Bartłomieja. U Maryi Panny na *Transtevere*, ujrzała z radością grób Hozyusza z pięknem jego popiersiem i obraz wystawiający Sobór Trydencki, a na nim prezydującego naszego kardynała i ów kościółek Św. Stanisława fundacyi Hozyusza, z domem przeznaczonym dla pielgrzymów polskich. Ze czcią uklękła na *Kwirynale* u grobu Św. Stanisława Kostki i widziała pokój gdzie umarł, dziś obrócony na kaplicę. Z chlubą nakoniec oglądała chorągwie zdobyte przez króla Jana, a złożone na wieczną pamiątkę w kościele *Sancta Maria delle Vittorie*, który zbudowano umyślnie na cześć wiedeńskiego zwycięstwa i ogromny sztandar turecki w *Sancta Maria Maggiore*, i tarczę Sobieskiego u Świętych Aniołów, a nakoniec grobowiec dzieci króla-bohatera, królewicza Aleksandra w kościele Kapucynów i Klementyny w Piotrowej bazylice. Serce jej uderzyło na widok tylu zaszczytnych a wiekopomnych pamiątek, świadczących wymownie przed światem o dawnych czynach jej współziomków, o ich przeważnem znaczeniu.

Do Rzymu wprawdzie przybyła już słaba i strudzona i ledwie że powierzchownie i przelotnie obejrzeć mogła piękności owej stolicy starożytnego świata, powleczonej cudownie barwą chrześcijańską, której pyszne łuki, bramy i obeliski tak ją zachwyciły przy wjeździe. Jeszcze we Florencyi siły widocznie opuszczać ją zaczęły, to też pod wpływem dziwnej tęsknoty i przeczucia zapisała te słowa: „Wszystko mnie męczy, spać nie mogę, wzrok słabiej,

zwykła to kolej rzeczy ludzkich i życia, a więc nie martwię się tem bardzo. Chciałabym tylko odpoczynku i pokoju. Chciałabym posiadać jaki pewny i miły kącik. chciałabym już być na tem miejscu gdzie umrę. Jak zobaczę Rzym i Neapol, gotowam dać cyrograf, że się nigdzie z miejsca nie ruszę, tylko niech mam widok aby na ogródek i niebo.“

Rzym jednak wielkie na jej umyśle sprawił wrażenie, bo duch jej silniejszy był niż ciało. Spoczywając na kanapie, z której się poruszyć nie mogła, z upodobaniem spoglądała na wspaniałą kopułę Panteonu, ozłoconą promieniami wschodzącego słońca. To wielkie mnóstwo kościołów i religijnych pamiątek uroczo przejmowało jej duszę. „W Paryżu — mówi ona — obejść się można bez szczęścia, byleby mieć pieniądze; w Rzymie szczęśliwym być można bez szczęścia i pieniędzy, byle tylko mieć wiarę!“ Zwiedzając starożytne Koloseum, niepojętego doznała przejęcia. „To pierwsze — mówi — dzieło ludzkie, które przeszło oczekiwanie moje. Jakaż to olbrzymia poezya! Ten gmach na pół rozwalony, te połamane słupy i bryły kamienne, te kobierce z ziół i trawy, ten krzyż stojący w pośrodku, jakże do dumania pobudza! Szkoda tylko, że wewnątrz tak gładko, że przysypano ziemię może jeszcze rumianą od krwi męczenników. Mnie stanęli w myśli ci, co się tam bawili, co cierpieli, a klękawszy u stóp krzyża modliłam się za jednych i za drugich.“

Żałowała szczerze, że te wszystkie cuda tak starożytne, jak i nowoczesne, z wierzchu tylko oglądać i podziwiać mogła, że Bóg ukazał jej zaledwie zdaleka, jak niegdyś Mojżeszowi ziemię obiecaną, że nie mogła zboczyć z drogi i uklęknąć na grobach ulubionych świętych nie-

wiaśc: Moniki, Franciszki i Katarzyny. Wielką też była jej radość, gdy po raz pierwszy weszła pod wspaniałe sklepienie świętego Piotra i ujrzała namiestnika Chrystusowego, gdy klękawszy pokornie na uboczu, w tej świątyni świątyni, błagała Boga o zdrowie, bardziej o cierpliwość, a najwięcej o zbawienie.

Odbywszy Wielkanocną spowiedź, jakby oświecona światłem Bożem, jasno widziała przyszłość swoją, ale mimo przekonania o rychłej śmierci, nie czuła żadnej trwogi. „Gdzie się zdrowie moje podziało? zapisała dnia tego, gdzie za rok Wielkanocna spowiedź? a czy żyć będę jeszcze?... Nie wiem co mi Bóg przeznacza, jaki będzie koniec tej słabości, ale to wiem, że duszy wyjdzie na dobre przy Jego świętej pomocy. Nigdy jeszcze śmierć i drugie życie tak mi mocno przed oczyma nie były. O gdyby nie mąż, dziś oto, w tej oto chwili z tego krzesła na którym wyciągnięta leżę, przyjąwszy Pańskie świętości, rozstałabym się z tym światem!“

W Wielki Piątek, gdy wszyscy udali się do grobu Pańskiego posłuchać pieśni pobożnych i Bożego słowa, ona w dniu tym bardziej zwątlona na siłach, pozostać musiała w domu sama jedna. Wtedy to z czystego jej serca ta prześliczna wypłynęła modlitwa: „Ofiaruję Ci Panie cierpienia moje, łzy moje, całą siebie, czynź ze mną co Ci się podoba. Jak ty ofiarowałeś się dziś Bogu Ojcu na krzyżu, za grzechy ludzkiego rodzaju, tak ja ofiaruję się Tobie za własne i męża mego grzechy, wreszcie na uczczenie Ciebie, na okazanie Ci mojej miłości. Chciej tylko przyjąć łaskawie tę ofiarę odemnie robaka, prochu ziemskiego. Przynrzekam być w rękę twojem jak glina w rękę garncarza, rób ze mną co się Tobie podoba, wróć lub za-

bierz mi zdrowie, trzymaj mnie w tem lub owem miejscu, w dostatkach czy ubóstwie, wśród przyjaciół czy samotną, w sławie lub zapomnieniu, na wszystkim gotowa, byleś tylko nas oboje zbawić raczył i przyjął na wieki do swojej chwały.“

Przed wyjazdem z Rzymu zdrowie jej pokrzepiło się nieco. Mogła więc w niedzielę Wielkanocną być na Mszy świętej, a potem przyjąć sławne błogosławieństwo Papieżkie. Z żalem tylko wielkim nie była uczestniczką wielko-tygodniowego nabożeństwa, ale dobra i tkliwa przyjaciółka z którą zjechała się w Rzymie, opowiadała jej dokładnie wszystkie widziane i słyszane rzeczy i była jej uchem i okiem. Dzięki tej tkliwej przyjaźni, oraz staraniom męża, dzięki nadewszystko własnej cierpliwości i rezygnacyi, nie przykrzyło się chorej jej kilkomiesięczne w Rzymie więzienie. Chętnie jednak widziała zbliżający się czas powrotu do Paryża. Podróż odbyła wodą dla uniknienia trudów. Wdzięczną była za starania jakimi ją otaczano, najmniejsze współczucie umiała ocenić. „Choroba aby na to się przyda, mówiła, że człowiek życzliwych znajduje, jakież to zaszczyt dla ludzi! O! jak kiedy wyzdrowieję, będę całym sercem służyć chorym, a jeśli nie, to przynajmniej modlić się za nich do Boga.

Gdy przybyła do Paryża szczęśliwie. troskliwy mąż wezwał do niej najpierwszych paryzkich lekarzy, którzy jakkolwiek uważali jej chorobę za ważną, nie tracili przecież nadziei. Po kilkotygodniowych lekach, gdy chwilowe nastąpiło polepszenie, wyjechała na wieś do Passy pod Paryżem. Wkrótce jednak siły tak widocznie opuszczać ją zaczęły, że sama zwątpiła o przyszłym wyzdrowieniu. Moc duszy jednak nie opuszczała ją do końca. Znosiła

wszystkie cierpienia z anielską powolnością, słodyczą i męztwem, jakby chcąc udowodnić własnym przykładem owe obowiązki wzorowej niewiasty, które przez całe życie zalecała w swych pismach. Przez czas pobytu na wsi trawiła chwile po największej części w ogródku na krzesle. Tam czytywała książki, zajmowała się igłą i przyjmowała liczne odwiedziny. Wieczory schodziły jej w przyjacielskiem kole na grze w loteryjkę. Trwało to prawie do ostatniego dnia jej życia. Czuła ona co ją czeka, uśmiech bowiem znikł zupełnie z jej twarzy; wszakże nie przewidywała aby śmierć nastąpiła tak rychło, dawała bowiem polecenia, jak urządzić nowe mieszkanie w Paryżu, dokąd miała się przenieść 25-go września. Skreśliła nawet plan codziennych swych zatrudnień, jak to oddawna miała we zwyczaju, nie przepominała w nim i o poważnem czytaniu i o pracy z wychowanką, najwięcej jednak czasu umyśliła poświęcać modlitwie. Bóg nie dozwolił jej spełnić tych pobożnych chęci, zabrał ją bowiem do siebie wcześniej niż można się było spodziewać. Skonała w Passy dnia 21-go września na rękę małżonka. Cicho i spokojnie przeszła z życia do śmierci, jak cicho przeszła po ziemi do niebieskiej ojczyzny swojej, dokąd pobożnym żywotem zwolna torowała sobie drogę.

Ciało ś. p. Klementyny Hofmanowej spoczywa w Paryżu na cmentarzu Père Lachaise. Według jej życzenia, w krążganku OO. Reformatorów w Warszawie jest kamień z napisem: „Matki i dzieci zmówcie *Zdrowaś Marya* za jej duszę.“

Ten krótki życiorys, dopełniony w części własnymi słowy tej świątobliwej niewiasty, da może choć niedokładnie poznać jej piękną i podniosłą duszę. Próżne byłyby tu wszelkie pochwały, gdzie same czyny tak wymowne

a sprawiedliwe oddają jej świadectwo. Zamiast więc powtarzać słowa uświęcone zwyczajem, dołączę tu jeszcze kilkanaście listów zmarłej, których mi łaskawie udzieliła jej zacna przyjaciółka.

Dokończenie w tomie IV-tym „Rozrywek”

PRZĄDKA.

Przędę ja wiernie kądziel mą białą.
Przędę od świtu do nocy,
I cicha prządka, wzywam nieśmiało
Anioła stróża pomocy.

Nie zawsze jednak anioł mój z nieba
Świeci mi skrzydły jasnemi,
O! bo i z siebie moc dobyć trzeba,
By coś dokonać na ziemi.

A gdy odemnie stróż mój daleko,
Gdy z nieba pomoc nie splywa,
Wolno się w pracy godziny wleką,
Szara nić mego przedziwa.

Serce wątleje, ramię opada,
Głowa bezsilnie się kłoni,
Niemoc dokoła ogarnia blada,
Kądziel wypada mi z dłoni.

Pomnę ja jednak — mawiała matka —
Wola wszystkiemu podola,
Wyteżaj siły tve do ostatka,
A Bóg ci zesze anioła.

To też ja przędę kądziel mą białą,
Przędę od świtu do nocy,
A gdy sił braknie, pieśnią nieśmiałą.
Wzywam anioła pomocy.

I czasem anioł śnieżnemi pióry,
Z cicha szeleśnie nademną,
Błede niemocy rozproszy chmury,
W serce tchnie siłę tajemną.

Wszystko mi wtedy w wianek się splata,
W duszy pogodniej, weselej,
I wszystkie cuda Bożego świata,
Wsnuwam do mojej kądzieli.

I z cichej gwiazdy co ludziom płonie,
Nocą na modrem sklepieniu,
I z drobnych ziólek, co sieją wonie
Uśpionej ziemi w milczeniu.

I z tej ulotnej pajęczej tkanki,
Którą wiatr nosi po świecie.
Co nią w jesieni mgliste poranki,
I bluszcz i piołun oplecie.

I z tych okruszyn szczerego złota,
Wiary, nadziei, miłości,

Co panu z myrrą w bólu żywota,
Świecą pokorni i prości.

I z tej ożywczej pociechy rosy,
Co zeschłe trawy zieleni,
Którą po kropli sączą niebiosy,
Z łaski odwiecznych strumieni.

I z wszystkich cudów tej ziemi Bożej,
Wiernie ja snuję nić złotą,
Gdy białe skrzydła anioł stróż złoży,
Nad cichą prządką — sierotą.

Dobry aniele, pochodnią jasną
Wiernie ukazuj mi drogę,
Niech mi twych natchnień blaski nie gasną.
Rozpraszaaj niemoc i trwogę.

O! nie usuwaj piór twych aniele,
Bo gdy z nich siła nie spływa,
Pożytku z mojej pracy nie wiele,
Szara nić mego przedziwa.

Dość już na ziemi, dość przedzy szarej,
Dziś złotych włókien potrzeba,
By ludzi wiodła święta nić wiary.
Anielskim torem do nieba.

Aby spadł obłęd, co im pokrywa
Zorzę niebieskiej otuchy,
Aby miłości jasne ogniwa,
Spoiły serca i duchy.

I cóż pomoże słaba nić przedzy,
Z wrzeczona prządki ubogiej,
Gdy ziemia tonie w bólu i nędzy,
Drżąca od chłodu i trwogi?

Ja jednak skrzętnie, przędę dzień cały
Kądziel od świtu do mroku,
Ty przyplyń z góry aniele biały,
Wiernie u mego stań boku.

A gdy piór twoich jasna osłona,
Mocy mi z niebios udzieli,
O! może prawdy nić nieskażona
Błyśnie i z mojej kądzieli.

KAROLINA SKIBICKA.

Obraz życia dziewczycy, zawczasie wydartej ojcowi i społeczności, której już była ozdobą od pierwszych lat młodocianych, życia nacechowanego pobożnością i duchem prawdziwie chrześcijańskim, jakże jest właściwym, jak nauczającym dla was czytelnicy moi? Przyjmijcie go z tem rzewnem uczuciem, z jakim ja go dla was skreśliłam.

Ona szczęśliwa, gdy my nędzarze, strudzeni drogą, ciężko ciągniemy do mety. Ona porwana, aby złość nie zmieniła umysłu, a błąd nie skaził jej duszy. Podobała się Bogu, dla tego pośpieszył ją wywieść z pośród nieprawości, (Lib. Sap.) tę, która w niebiosach czerpała, aby naśladować na ziemi.

Ona szczęśliwa! chóry aniołów, zdają się witać ją słowy: Pójdź Oblubienico Chrystusa, odbierz wieniec, który ci Pan przygotował na wieki.

Mowa Księdza Bogdana, przy pogrzebie zwłok Karoliny Skibickiej, dnia 7-go Listopada 1850 roku.

Bóg najwyższa prawda i najwyższa miłość, różnemi drogami powołuje ludzi do siebie, jednych drogą doświadczenia, pracy i boleści, drugich bezpośrednio wzywa głosem aniołów, którzy od kołyski krążą po nad głową wybranych i wskazują im promieniste ścieżki wolne od ziemskiej zwały. Takie istoty walcą także, bo walka nieodłącznym jest warunkiem życia, walcą, bo złożone z ciała, ciążą ku ziemi z której wzięły początek, gdy tymczasem, duch pełen siły wyrwa się z ich piersi ku niebu, swej nieśmiertelnej ojczyźnie! Ale walka takich istot odbywa się w głębokiej tajemnicy ducha, świat jej nie dostrzega, a jeśli ją spostrzeże, nie pojmuje jej nawet i uważa ją częstokroć za chorobliwe uniesienie. Bóg tylko jeden ocenia każdą pracę ducha ludzkiego, waży na sprawiedliwej szali każdą łzę uronioną w Jego Imię, On tylko zapłacić może ciche ofiary serc czystych, których nasza ziemia, wszystkiemi skarby swemi, całym blaskiem swoim zapłacić nie zdoła.

Niegdyś, w czasach gorącej religijnej wiary, nie brakło na ziemi naszej takich wybranych istot; wiele domowych podań uwieczniło ich pamięć. Nie jedna postać bogobojnej matrony lub pobożnej dziewicy świeci na tem tle przeszłości, jakby przewodnia gwiazda. Podczas gdy praojce nasi, słońcąc piersią kraj od najazdów pogańskiej dziczy, wiernie służyli sprawie kraju i powszechnego kościoła, świątobliwe prababki nasze, usunięte od spraw zewnętrznych, czyli to związane zakonnemi ślubami w cieniu klasztornych murów, czyli pod strażą starodawnej cnoty, czuwające w ciszy domowego ogniska, pielęgnowały z upodobaniem czysty kwiat pobożności, a zroszony łzą, rozwinięty ciepłem tchuieniem serca, składały go w ofierze u stóp Boga-Rodzicy. Dziś przykłady

takie coraz się rzadziej pojawiają, a jednak dzięki Bogu nie znikły bez śladu na ziemi naszej. „Są jeszcze istoty, których serca, nie przywiązując się do żadnej doczesności, wznoszą się ciągle do Boga, których dusza nie potrzebuje słów, aby przemawiać do Stwórcy, których życie jest tęsknotą za lepszym żywotem, których modlitwa nie jest tylko powodowana bojaźnią sądów Bożych, posłuszeństwem rozkazom, ale jest zarazem najtkliwszem wynurzeniem najserdeczniejszej, najżywszej miłości, miłości świętej, do której żadnej ziemskiej porównać nie można. I tych to życie jest prawdziwie szczęśliwe, one znalazły szczęście rzetelne, najdroższy skarb na ziemi; dla nich rozkosze ziemskie są niczem. One żyją modlitwą, a ciągle zjednoczone z Bogiem, gardzą tem wszystkiem, co od tego połączenia oderwać ich może. Ciało umartwiając, ducha bezustannie podnoszą. Owe to pokorne, czyste dusze, karmiąc się jedynie modlitwą, ściągają błogosławieństwo Boskie na swych współbraci, na narody, na kraje, a czekają na godzinę śmierci ze spokojnością, z upragnieniem, bo wtenczas ujrzą się złączone z tym, do którego dusza ich co chwila tęskniła!“

Ostatnie te słowa wypłynęły z gorącego serca jedynej z takich wybraanych istot, o których mówię. Niemi określiła ona podniosły ideał życia, jaki pojąć jej było dano, a do urzeczywistnienia którego, nie brakło jej ani woli ani siły, ale z wyroków Bożych zabrakło jej czasu. Anioł ten bowiem, po krótkim pobycie na ziemi, ubiegł do grona aniołów, aby wraz z nimi w wyższych sferach, głosić wiekuistą chwałę Pana. Zgasła jak gwiazda przelotna, zostawiwszy jasny ślad istnienia swego na ziemi w uwielbieniu powszechnem współziomków, w miłości osieroczonej rodziny i przyjaciół.

Nie jedno zdolne i znakomite pióro, wspomniało imię młodej Karoliny Skibickiej, nie jedna rzewna pieśń, zabrzmiała ku uczczeniu jej pamięci (1), dotąd jednak pozostały niezuanane ogółowi, wypadki cichego a namaszczonego jej życia. Pełen zasługi, a ukochany powszechnie pisarz (J. I. Kraszewski w „Atheneum“), kreśląc jej wspomnienie, temi wyraził się słowy: „Nie tkniemy chłodną ręką tych szczątków istnienia, które przypominają najzarliwsze wieki wiary, najgorętsze naszych świętych niewiast żywoty.“ Poprzestał więc tylko, na przytoczeniu słów kapłana Bożego, wyrzeczonych nad grobem zmarłej, tudzież na pięknych wyjątkach z jej listów. Zbytnią to może śmiałość z mojej strony, zbierać owe kłosa rozproszone na polu, których nie śmiał upleść w wieniec, zasłużony nasz przodownik; czuje głęboko nieudolność moją, wiem, że pragnąc odmalować oblicze anioła, trzeba duchem ubiedz wysoko od ziemi i w źródłu łaski czerpać właściwe barwy, aby obraz uczynić podobnym. Nie odważyłabym się na spełnienie tak trudnego zadania, gdybym z drugiej strony nie czuła, ile obraz taki, może przynieść prawdziwego pożytku

(1) Między innemi znana i ceniona Deotyma, jedną z pierwszych swych pieśni poświęciła pamięci zgasłej Karoliny. Oto ostatnia jej zwrotka:

I wrócił duch jasny do kształtów przejrzystych,
 Dziewica się w światło wieczności rzuciła,
 I matkę pozdrawia w spojrzeniach ognistych,
 I ojcu na ziemię pociechy zsyła.
 A duchy skrzydlate wlatując do koła,
 W swą siostrę patrząc z rozkoszą,
 I niebo jej złote, wieczyste przynoszą,
 Bo w niej uznają anioła.

młodym dziewczekom naszym, dając im wzór miłości, bogobojności i wiary, jak stanowczo może pociągnąć nie jedne, na otwartą dla wszystkich drogę udoskonalenia. Wreszcie, do obrazu tego, mam wiele gotowych zasobów, nakreślonych lepiej, niżbym ja to uczynić zdołała. Pozostaje mi tylko pozbierać w jedną całość rozpieczętowaną puściznę po zmarłej, przytoczyć rys jej życia, skreślony z miłością, ręką ochmistrzyni, pod której okiem rozwijał się ten kwiat, do rajskich przeznaczony ogrodów, nakoniec uzupełnić obraz, własnymi słowy Karoliny, w której, jak w czystej krynicy odbija anielska jej dusza.

Karalina Skibicka (mówi szanowna jej przyjaciółka), urodziła się w 1830 roku, we wsi Werbie, na Wołyniu położonej, a będącej własnością jej ojca. Miała lat cztery, kiedy jej przyszło opuścić na długo to miejsce rodzinne. Zwykle dzieci cieszą się na wszelki wyjazd, dla niej wrażenie wyjazdu było smutne. Smutno się żegnała z ojcem, który tam zostawał, oraz z ukochaną babką (1). Żal jej było małego braciszka w kolebce i kwiatów w ogrodzie drzew owocowych w sadzie. Wyjeżdżała ona do Drezna z matką, której zdrowie potrzebowało ratunku. Oczekiwała go ona od sławnych tamtejszych lekarzy. Pani Konstancja Drzewiecka, żona znanego w piśmiennictwie szefa Drzewieckiego, macocha, pani S... odbyła tę podróż z niemi i później opowiadała, że to dziecię, ta gołąbka bez zółci, jak się o niej wyraziła, bynajmniej nie przyczyniła im kłopotu w drodze. Ani wymyślna, ani swawolna, nie przykrzyła się nigdy nikomu. Nadąsaną i wrzaskliwą nie umia-

(1) Podkomorzyna z Błędowskich Skibicka, niewiasta wielkich enót i pobożności; niegdyś zadziwiająca urodą, owdowiała w młodym wieku i życie całe poświęciła jednemu synowi.

ła być jak inne dzieci, a kiedy ją czasem co zniecierpliwilo, to tylko w znak nieukontentowania, z żywością rozrzuciła swoje zabawki i cacka. Matka i za to strofowała, nawet groziła klapssem, gdyby się taka niecierpliwosc powtarzała. Biedna dziecina więc skoro czuła się być winną, biegła do matki i nadstawiała sama rączęta, mówiąc: „Mamo, ja byłam niegrzeczna.“ Ile razy to opowiadano, zawsze mi łzy w oczach stawały. Cztery lata dziewczynce, a ona już umie uznać swój błąd i dobrowolnie poddaje się karze. W tem coś i dziwnego i rzewnego razem. Jest portret jej malowany w ten czas w Dreźnie; nie mogłam się nigdy dość napatrzeć na te dziecinne rysy, tak już nacechowane wyrazem dobroci i rozwiniętego nad wiek pojęcia. W Dreźnie przyjęła matka do niej bonę niemkę i w krótkie dziecina tak się wyuczyła po niemiecku, że jak niemeczka mówiła biegle, co już wykazywało szczególną łatwość, jaką później miała do uczenia się obcych języków. Rok cały przebyła w Dreźnie. W ciągu tego roku, nadjechał ojciec i już w towarzystwie obojga rodziców pojechała Karolina do Włoch, dokąd matce jej dla klimatu udać się kazano. Oboje rodzice troskliwie pielęgnując niepospolite usposobienie swojej córki, starali się nasuwać jej uwagę, co tylko bardziej zajmującego mógł ogarnąć młodzieńki umysł. Nawet wrazić jej to wszystko w pamięć tak się im dobrze udało, że w lat kilka potem, zdumiewałam się, słuchając Karolinę rozmawiającą z ojcem, o podróży we Włoszech. Dokładnie opisywała miejsca niektóre, umiała zdać sprawę z widzianych arcydzieł sztuki. Wymieniała obrazy wielkich mistrzów po galeriach i kościołach rozmaitych, przypominała wiele historycznych pomników, pamiątek i zabytków starożytności, napotykanym na tej klasycznej ziemi, w czasie trzechletniego

swego na niej pobytu. Żadnych też obrządków religijnych, tak wspaniale obchodzonych w Rzymie, niepozwolili jej opuścić rodzice; wszędzie ją i zawsze z sobą mieli, wszystkie ceremonie kościoła naszego, w całym ich przepychu widziała, oraz głowę jego Papięza. Często z upodobaniem rozprawiał ojciec, że kiedy mieli szczęście być przedstawionemi Ojcu świętemu, dziewczeczka mała przy pocałowaniu w nogę, skwapliwie ją bardzo przyciągnęła do ustek swoich, aż się Papięz zachwiał i o mało nie upadł. Kiedyś znalazłam pomiędzy różnemi domowemi papierami seksternik ręką pani S... zapisany, były to rozmowy jej z córką, w których odpowiadając na zapytania, tłumaczyła jej co znaczą ważniejsze pomniki i ruiny rzymskie. Między innymi trafiłam na rozmowę o Kolizeum. Cóż to za prześlizczony był ustęp! Takim sposobem rozum Karoliny, rozwijał się bez przymusu, pod słodkim wpływem dobroczynnego światła, i kiedy miała rok jedenasty, zastałam ją nad wiek usposobioną co do nauki i wykształconą co do moralności i rozsądku, a przytem wesołą, niewinne pustą i prostego serca, jakby dziecię niemające lat siedmiu. Pani S... ślicznie malowała i rysowała. Główna ukochanej córki często jej za wzór służyła. Zostało też wiele rysunków w jej tekach, przedstawiających rozmaite widoki z okolic Rzymu i innych miast Włoskich, na których widać miluchną dziewczynkę, w okrągłym kapeluszu z florenckiej słomy, którego niebieskie wstążki, mięszają się ze splotami długich i jasnych jej włosów. Zbiera róże do fartuszka, albo też biega za pąsowym kółkiem, tocząc go pręcikiem przed sobą. W koło niej tłum ludu i panów, a wszyscy mile na nią patrzą, wszyscy ją wabią do siebie, wszyscy jej podają owoce, różne bawidełka i cukierki,

a ona od wszystkich zarówno wdzięcznie, z uśmiechem, przyjmuje podarki i pieszczoty.

Tak zwiedziwszy z rodzicami Rzym, Neapol, Medyolan, Florencyją i Wenecyją, przez Szwajcaryją i Niemcy, powróciła do kraju, na Wołyń. Zapomniawszy trochę po polsku, najwprawniej wtenczas po włosku mówiła, ale wkrótce rodowita mowa nad innemi językami pierwszeństwo wzięła u niej i zawsze do zwyczajnego służyła jej użytku. Nie długo mieszkała na wsi po powrocie z zagranicy, a bardzo wieś i wiejskie życie lubiła. W 1840 r. państwo S... przenieśli się na stałe mieszkanie do Warszawy. W roku następnym umówioną zostałam przez matkę Karolei, do pomocy jej w wychowaniu córki. I z żalem pożegnałam dom hr. Gr... u których lat kilka spędziłam i dość smutna, pamiętam, jakoś o zmroku sprowadziłam się na miejsce nowego mego pobytu. Pana S... zupełnie jeszcze wtedy nie znałam, samą panią S... parę razy widziałam zaledwie, a dziewczynkę raz tylko i to chwilowo. Idąc po wschodach, usłyszałam głos dziecinny: Czy to panna Ska...? a głos ozwał się tak przyjemnie, że jakby głos anioła, przemówił do mojej duszy. Był to głos Karoliny, która czekała na mnie, żeby mi wskazać pokój dla mnie przeznaczony i przyjąć na samym wstępie do domu. Nie podobna w tem do zwyczajnych dzieci, które z ukosa i nachmurzoną minką spoglądają na nową ochmistrzynię, ona przeciwnie od pierwszej chwili była dla mnie taką jak i nadal i do końca uprzedzającą, grzeczną i przyjemną. Na zawsze też od razu ujęła serce moje i przywiązała je do siebie.

W pół roku potem umarła pani S... Biedna Karolina rzewnie opłakiwała stratę matki. „Boże! mój Boże! wołała — i czemużeś mnie opuścił!“ Tuliła się do mnie,

szukając niby opieki i miłości. Odtąd zupełnie jej byłam oddana.

I znowu w rok potem śmierć zabrała Karolinie podszłą babkę, która wraz z nami mieszkała. Wszystkie dalsze lata mojej wychowanki, ubiegły jej z ojcem i ze mną. Jego cieszyła tkliwem przywiązaniem, szlachetnością charakteru, łatwością pojęcia, uwagą przy naukach, słodyczą w obejściu, mój zaś pobyt przy niej uprzyjemniała bardzo, a wesołość jej nieprzymuszona, niedokuczliwa, w odosobnieniu w jakim żyłam, jakże mile rozrywała mi czasem myśl tęskną! Kiedy doszła lat trzynastu, pan S... życzył sobie zawieść teściowi swemu, Szefowi Drzewieckiemu, wnuczkę, której był dawno nie widział. Pojechaliśmy więc na Podole. W przejeździe byliśmy w Werbie, w rodzinnej wiosce Karoliny. Z rozrzewnieniem obeszła tam opustoszałe zakąty domu, w którym kiedyś stała jej kolebka, i ów ogródek, w którym uczyła się biegać po świeżych trawnikach, pomiędzy kwiatami, dziś burzanem podrosły! Tam tkliwie też powitała dwie pierwsze towarzyszkę dziecinnych swoich zabaw, córki bliskich sąsiadów Werby. Z jedną szczególnie, Anielę P..., odnowiły się dawne serdeczne stosunki i trwały już między niemi do końca życia obu-dwóch, gdyż wkrótce jedna po drugiej zmarły obie młode przyjaciółki.

Przepędziliśmy na Podolu sześć tygodni najprzyjemniejszych, wśród zacnej rodziny do której Karolina tak blisko należała. Pan Szef patrzył na wnuczkę i dość się napatrzeć, dość się nacieszyć nią nie mógł. Niby mu córka ukochana w niej na świat powróciła. Pan Karol D... siostrę jedyną przypomniał sobie w jej pieczętotach. Nawet pani D... macocha jej matki, niezwykle ją lubiła i z przyjemnością wspominała drezdeńskie czasy, kiedy

mała dziewczynka, biegła do mamy po karę, uznając się niegrzeczną. Właśnie gdy tyle kochaną i tak uszczęśliwioną była uczuciem miłości, jakim ją darzyła rodzina, również i tem, jakim nawzajem sama odpłacała się krewnym, powiedziała jej raz ze smutkiem: „Teraz już nie dbasz o mnie, Karolciu!“ Na te słowa rzuciła mi się z płaczem na szyję: „Nie myśl, nie myśl tak — prosiła ze łzami—bo ja będę bardzo nieszczęśliwa!“ Aż mi się żal zrobiło, że ją chwilowo zmartwiła. Odtąd jakże to ona była przemyślną, żeby mi jak najczęściej dowodzić rozmaitemi sposobami, że mnie kocha i nie zapomina o mnie nigdy. Było to już w późną jesień, kiedy o owoce bardzo trudno; ale dla pieszczonego dziecka, pani D... wystarała się najdoskonalszych gruszek; dla niej tylko jednej je chowała i codziennie z nich dawała jej po parę. Dobra dziecina zawsze jedną położyła mi na stoliku w moim pokoju, dopóty prosiła i póty różnych używała figlów, aż zmusiła mnie zjeść na koniec gruszkę. Brała ona wtenczas lekcje angielskiego języka; korzystałam niekiedy z godzin, kiedy mogłam ją zostawić z nauczycielką, żeby gdzie wyjść lub wyjechać. Skoro skończyła naukę, wnet brała się do jakichś robótek ręcznych i z nie małym podziwieniem, znajdując w mojej komodzie albo w stoliku sakiewki, woreczki i hafty coraz nowe, dowiadywałam się, że nowe talenta przybywały mojej Karolci. Poskarżyłam się była kiedyś, że twarde mam w łóżku materac; następnej nocy czuję, że mam inny miękki. Ona to kazała mi swój położyć, a mój dla siebie wzięła. Drobnostkami to wszystko nazwać można zapewne; ale z takich drobnostek przyjemne lub przykre tworzy się pożycie. Wiele to młodych osób, na takie bagatele, zaniedbałoby zwrócić uwagę; jednakże *takie bagatele* uczyniły

serce moje przybytkiem, w którym pamięć Karoliny, zachowuje się uroczyście z miłością.

Częste i silne bóle głowy, jakich moja wychowanka doznawać zaczęła i przy których okazywała wielką cierpliwość, spowodowały na rok przyszyły podróż naszą do Odessy. Kąpiele morskie bardzo jej zdrowiu posłużyły i doprawdy, że prześlicznie wyglądała na zgromadzeniach i balikach, na które nieustannie ją zapraszano i na których otaczał ją rój młodzieży, skoro się pokazała: co podnosiło znacznie wrodzone jej zalety, spokojnej uwagi i prawdziwej skromności. Jeden z tych młodych paniczów, zajął się nią nadzwyczajnie i wyznał swoje uczucia. Ona do ojca się odniosła, a pan S... oświadczył, że zawczasem było mu jeszcze myśleć o postanowieniu córki i odmówił wyraźnie. Karolina zupełnie na to była obojętną. Na zimę powróciwszy do Warszawy i powagą kilku matron zniewolony, przystał ojciec na powszechne żądanie, żeby córkę wprowadzić już w świat wielki. Przedstawiał ją zatem wszędzie w towarzystwach, w których dotąd była nieznaną. Zaczęła więc bywać w świecie, a tak pięknocią jak dobrocią, szczególne sprawiała wrażenie. Lubo nie starała się aby ją widziano i odróżniano od drugih, ściągala przeciw powszechną na siebie uwagę. Żadne jednak hołdy, żadne pochlebne słowa nie rozbudziły w niej miłości własnej, ani zmieniły zwykłego trybu jej życia. Zawsze i wszędzie była jednakowa, wesoła ale pełna godności, grzeczna, uprzejma, rozważna. Dla młodych towarzyszek serdeczną okazywała przyjaźń i nie dla nich w duszy nie chowała skrytego. Gdy dobiegła lat siedmnastu, tak ja, jak i bliskie niej osoby, spostrzeżliśmy ją w niej dopełniała się przemiana, jak marność nad marnościami, słowem, wszystko co światową

jest uludą, odrzucała od siebie, jak coraz to silniej odrywała się od ziemi, a duchem podnosiła się wyżej i wyżej, aż nareszcie wszystkie swe myśli i uczucia utopiła w Bogu.

Na początku maja 1847 roku, odbyliśmy pielgrzymkę do Częstochowy; od tych dwóch dni, spędzonych na stopniach ołtarza, przed obrazem Boga-rodzicy, naznaczyć mogę ów pociąg Karoliny do modlitwy i pobożnych rozmyślań, którym potem całkiem się oddawała. Cudowny obraz zajął silnie umysł siedmastoletni; oderwać się od niego nie mogła bez wielkiej żałości i prosiła, żeby jej obiecać, iż koniecznie za rok wrócimy cześć mu oddać na Jasnej Górze. Nie w rok, lecz później byliśmy tam jeszcze z naszą ulubioną dziewczką; ale wtenczas już nie do obrazu cudownego na Jasnej Górze, a raczej do samej precudnej Maryji w Niebiosach rwała się dusza jej, już bowiem w ten czas wieźliśmy ją chorą za granicę.

Po pierwszej pielgrzymce do Częstochowy, przyjęła wkrótce Sakrament bierzmowania i odtąd, znowu krok ważny uczyniła na drodze duchowej. Odtąd modlitwy jej i umartwienia byłyby dla zakonnicy dostateczne. Najmniej dwie godziny rano, wstając z łóżka i znowu przed spoczynkiem nocnym klęczała, odmawiając pacierze. Przez czas rozczesywania i układania włosów, (w czem zawsze zdawała się na służącą), miała zwyczaj czytać nabożną książkę i kiedykolwiek znalazła wolną chwilę od dziennych zatrudnień, do których czuła się obowiązana, zaraz wracała do ulubionego sobie czytania. Anioł Pański zawsze trzy razy dniem odmawiała i często post ścisły zachowywała do południa. Czasem, bardzo późno wieczorem, wracałyśmy do domu z jakiej zabawy albo od-

wiedzin, i to jej nie przeszkadzało do odmówienia wszystkich raz postanowionych pacierzy. Zapał do modlitwy budził ją ze snu i wstawała czasami w nocy, aby się modlić. Lękając się o jej zdrowie, czuwałam aby tego nie czyniła, budziłam się sama, żeby ją złapać na uczynku i cóż nie raz dostrzegłam—o, mój Boże! Wszak to wypieszczone dziecko, nie raz na gołej podłodze, bez poduszki nawet leżało.

Cały wielki tydzień 1848 roku inaczej nie spała; ale ja wtenczas, ani domyśleć bym się tego nie mogła była; później dopiero, dowiedziałam się o tem od sługi, która jedna przypuszczoną była do tej tajemnicy i uproszoną o ścisłe jej zachowanie. Teraz wyrzucam sobie taki brak czynności, nigdy jej nadto nie ma w dozowaniu młodych panienek. Nie tylko noce tak przepędzała nie dając wypoczynku ani duchowi, ani ciału, ale w lecie rozkoszą jej było wstawać z poranną zorzą i kiedy nadchodziły przeznaczone na nauki godziny, ona poprzednio długie swoje modlitwy, już była pokończyła.

Dogodzić sobie co do postów, trudniej było biedaczce. Zastępowała więc zwykłą formę postu, odmawiając sobie wszelkich nie tylko łakoci, ale nawet smacznych potraw i owoców. Na śniadanie i wieczór, nigdy nie innego nie chciała, prócz kawałka suchego chleba, albo jednego obwarzanka. Rada by była co dzień, mszy świętej słuchać, ale z rozporządzenia czasem naszym wypadało, że tylko w dni świąteczne, w niedzielę i piątki, bywałyśmy w kościele. Zawsze, klęcząc całej mszy świętej słuchała, jak mogła najbliżej ołtarza, nie na tłum i ścisk nie uważając. Kiedy chorować zaczęła prosiłam, żeby w ławkach szukała wygodniejszego miejsca. „Zro-

bię jak chcesz, odpowiadała, ale mi bardzo przykro będzie siedzieć podczas ofiary mszy świętej;“ a oczy jej tak litościwie błęgały łzami zachodząc, żeby tego od niej nie wymagać, iż często dawałam pokój naleganiom.

Zdaje mi się, że była sobie postanowiła, nigdy w zwierciadło nie patrzeć, a gdy się zdarzyło, że chciałam aby co przymierzyła lub poprawiła na sobie przed lustrem, udawała, że w nie patrzy. Dostrzegłszy to, nie chciałam później narażać ją na tę przykrość.

Cóż ja powiem wreszcie o jej miłosierdziu? To się rozciągało nie tylko dla ludzi, nie tylko na zwierzęta, ale nawet na wszelkie stworzone istoty. Często kwiatek, drzewko, przedmiotem były pełnego miłości jej zajęcia, co zaś ubodzy, ci zawsze byli jej na pamięci. Wychodząc na ulicę, nie myślała jak się przyodzieje jaką suknię, jaki kapelusz włoży, tego tylko pilnowała, żeby grosz jaki dla ubogich był w kieszeni. W obejściu zaś swoim ze sługami, z domownikami i bliskimi, doprawdy świętej była dobroci, słodyszy, cierpliwości. Wyraz tych cnót, wypiętnował się na jej twarzy i do obrazów świętych podobną ją czynił. Otóż, przypominam sobie, że nie ja tylko byłam tego zdania i drudzy toż podobieństwo upatrywali. Raz przechadzałyśmy się po ogrodzie w Łazienkach. Jenerałowa Kurn... rozповідаła o salach ochrony, o domach dobroczynności: Karolina z zajęciem słuchała. W tem Jenerał K... odzywa się do żony: „Proszę cię, patrz na nią, czy nie podobna w tej chwili do świętej jakiej?“ Hrabina P..., wychodząc kiedyś z kościoła, mówiła do pani Ch...: „Karolina S... roztarzenie mi robi, gdy się obok mnie modli, taka piękna, taki powab świętości w jej całej postaci, że oczów od niej oderwać nie można. W 1849 roku, byłam z nią

u pani L... w czasie Wielkanocnym, już była blada i cierpiąca. Rozgadałyśmy się o nękającym jej zdrowiu. „Złe mam o niej przeczucie — rzekła mi pani L... — ona się robi zbyt *aniełska*. Czyż taka istota może długo pogościć na ziemi? musi do lepszego przenieść się świata.“

Wprawdzie do tej *anielskiej* słodyczy, wprawialiśmy ją sami coraz więcej, bo nie mogę zataić, żeśmy często nadużywali nawet jej cierpliwości. Ja nieustannie ją odrywałam od długich pacierzy, od wewnętrznej modlitwy, bojąc się tego wysiłku ducha, dla jej zdrowia. Ojciec przeszkadzał w postach, w umartwieniach, wymagał aby się nie odrywała od świata, od towarzystw i zabaw, tembardziej, że i lekarze, których się zaczęto radzić (bo straszno było patrzeć, jak nikała raptownie, chociaż na żadne nie skarżyła się cierpienie) zalecali ruch i rozrywkę. Przez całe lato ostatnie, kazano jej pić salzbrumską i marjenbadzką wodę, dużo więc przechadzałyśmy się po Saskim ogrodzie, szukając zdrowia w tych przechadzkach. Ale na próżno! tłum zebranych osób nietylko że nie rozrywał Karoliny, ale ją nudził, o ile wnosić było można, z maleńkich zmian jednostajnego jej humoru.

Pył wzbijany przez wielu chodzących, raził ją widocznie. przeniosłyśmy się więc we Wrześniu do Willanowa; liczono wiele na odmianę powietrza; jakoż istotnie na wsi rzeświejszą była, a przynajmniej nierównie szczęśliwszą i swobodniejszą niż w mieście. Codzień tam mszy świętej słuchała, to samo już niesło jej duszy nie małą pociechę. Tem dusznem weselem, napiwszy się z rana, resztą dnia żyła wesoło. Chodziłyśmy czasem odwiedzać piękny Natolin, albo zapuszczałyśmy się w zwierzyniec za Wisłą *Morysinem* zwany; to była ulu-

biona jej przechadzka, bo tam miała znajomych dzieci dwoje w chacie leśniczego. Te skoro ją zobaczyły, zaraz naprzeciw niej wybiegały radośnie, bo je różnemi datkami przynęcała, a potem nieznacznie, rozmawiając, różnych dobrych uczyła ich rzeczy. Tam zwykle długo wypoczywała na ławeczce, napawała się z upodobaniem balsamicznem powietrzem, syciła się ową rozkoszą rozlaną w przyrodzie dla dusz, które wielbią i miłują Boga w Jego dziełach. Z przepełnienia serca, usta jej wyrażały niekiedy uczucia i wrażenia w słowach prostych, ale głęboko poruszających. Często ją odwiedził dobry ojciec, radosną była dla niej zawsze chwila jego przybycia. Miłość Karoliny do ojca, wzrastała niemal z ulatunującym jej życiem, a i on nawzajem, podwajał dla niej tkliwych starań i pieczy. Jeszcze mi oboje stoją przed oczyma: wśród tego pięknego lasu, widzę, jak Karolina pochylona ku ojcu, wspierając się o jego ramie, patrzy w jasno zachodzące słońce, jak odbicie ostatnich jego blasków, siedzi w cichej i gładkiej powierzchni, jak ostatnich jego promieni szuka na szeroko przed nią rozszlętej łące. Na tej łące, różne chłopięta pokosili siano, a dziewczeczki wiejskie ochoczo je gromadzą.

Obraz ziemskich starań i zabiegów, w obec tej postaci, zupełnie oderwanej od ziemi, a dążącej do nieba i jedynie już niebieskimi rzeczami zajętej, głęboko mnie przejmował. Mistrzowskiego pędzla by trzeba, żeby go odmalować światu, mnie silnie w duszę wraziło się to widzenie, niezatartemi rysy i barwy. Jeżeli którego dnia pan S... nie przyjechał, Karolina po kilka razy przez dzień pсыłała do niego z różnemi pisemkami, chcąc choćby tym sposobem wynagrodzić sobie nieobecność ojca. Niezmiernie za nim tęskniła, czując, że już

nie długo z nim będzie, bała się utraty każdej chwili. Już też nie tylko córką, ale i przyjaciółką zaczęła być Karolina ojcemu swemu. Ze wszystkiem jej się zwierzał, w każdej okoliczności pytał jej o zdanie, z nią troski wszelkie dzielił, z nią każdą cieszył się pomyślnością. Nie kończyły się prawie ich rozmowy.

Opuściłyśmy dopiero Willanów, gdy ostatnie listki prawie opadały z drzewa. Ostatni raz, chodząc po lasku, mnóstno ich widzieliśmy pod nogami. Można było myśleć, że one smutnym szelestem swoim, żegnały Karolinę na zawsze. Ale ja takiej myśli przypuścić do siebie nie zdołałam, oszukiwałam się jak mogłam najdłużej; jednakże niepodobna było za powrotem naszym do Warszawy, nie dostrzedz przerażenia na twarzach wszystkich przyjaciół Karoliny, którzy ją tłumnie przychodzili odwiedzać. Wielką znajdowali w niej zmianę, zbladła i wychudła bardzo. Wkrótce straszne objawiały się symptomata, krew rzuciła się do piersi, pierwsze jej zakaszlanie jakby sztyletem w serce nas uderzyło, zaraz też stroskany ojciec poprosił o paszport; w tydzień wszystko było gotowe do wyjazdu. Miałyśmy jechać do Paryża, a ztamtąd, według rady lekarzy, na wyspy Hieres, lub też do Madery. Smutny to był bardzo wyjazd, nadzieja nas odbiegła, jednakże niby bardzo wesoło wybieraliśmy się w podróż, mówiąc ciągle, że jedziemy po prostu, dla przedłużenia pod łagodnem niebem, koniecznie potrzebnego dla Karolci ruchu i wpływu powietrza. Układaliśmy sobie przechadzki w mirtowych i pomarańczowych gajach. Widziała ona, że my chcemy i siebie obalamucić i jej nie straszyć taką mową, udawała więc, że znała swój stan dokładnie. Jednej nocy, kiedy myślała że ja śpię, odezwała się kilkokroć lękli-

wie: „O, mój ojciec! mój biedny ojciec!“ te dwa słowa tłumaczyły i oczekiwanie blizkiej śmierci i trwogę jak ojciec zdoła przenieść ten cios tak okropny.

Przed wyjazdem, chciała się spowiadać i przenajświętszy przyjąć Sakrament. Ksiądz Prokop, Kapucyn, przyszedł do nas ze Mszą świętą i opatrzył biedną Sakramentami w jej pokoju, bo wychodzić już nie mogła. Przez ostatnie trzy dni przed podróżą, codzień miała u siebie Mszę świętą. W ciągu tych dni, wiadomość o smutnym stanie w jakim odjeżdżała Karolina, rozbiegła się po Warszawie i cały ten czas drzwi naszego mieszkania wcale się nie zamykały. Wszyscy ją tak prawdziwie lubili. Każdy chciał ją raz jeszcze zobaczyć, ucałować, pożegnać, ostatnie powiedzieć: „*bądź zdrowa!*“ Ona z rzewną wdzięcznością, przyjmowała wszystkie przyjazne odwiedziny, nikomu się nie skarżyła na cierpienia swoje, tylko niektórym bliższym znajomym mówiła: „*módlcie się za mnie!*“ Nakoniec okropna godzina naszego wyjazdu wybiła; było to 25 Października. Odprawiali nas część drogi Jaś S..., brat Karolci, z księdzem Ołajem, który zajmował się jego wychowaniem. Wyszliśmy z domu, z tą przerażającą myślą, która, pomimo woli cisnęła się do głowy. „Czy wrócimy tu wszyscy, jak wychodzimy?“ Dzień przynajmniej był pogodny, słońce jasno świeciło, krzepiłam się tem na duchu, za jakąś dobrą wróżbę, pragnęłam to uważać. Pani Ch... odprowadzała nas do kolei. Wszyscy słudzy jeszcze się tam zebrali na pożegnanie, wszyscy płakali rzewnie. Różia P..., młoda przyjaciółka przybiegła, aby raz ostatni uścisnąć odjeżdżającą, wagony ruszyły i uniosły nas szybko.

Zatrzymaliśmy się w Częstochowie, tam mieliśmy się pożegnać z wracającym do Warszawy Jasiem. W kaplicy Matki Bożkiej, odśpiewał nam nasz kapłan wotywę i dał uroczyste na drogę błogosławieństwo. Karolina była na Mszy Świętej, potem długo z bratem rozmawiała, polecała mu ojca, płakała; „pamiętaj — rzekła — pamiętaj, Jańciu o naszym ojcu, na mnie nic nie rachuj, ze mną już się wszystko kończy, dla mnie przyszłości już nie ma.“ Jednakże nie źle znosiła podróż; w nocy tylko odpoczynku nie miała, kaszel bowiem wzrastał się coraz silniej. Chcieliśmy, aby dzień jeden wypoczęła we Wrocławiu, miała jeszcze siłę pójść do katedry i tam już była po raz ostatni w kościele. W Dreźnie, chociaż zatrzymaliśmy się dni parę, nie mogła już ruszyć się z mieszkania. Wezwano do niej dwóch słynnych lekarzy, *Hedeniusa* i *Karrusa*. Wzruszyła się na widok *Karrusa*, bo on był lekarzem jej matki. Stały jej w pamięci czasy, w których go często u matki widywała. Z płaczem prawie mówiła do mnie: „Jakże on mi mamę przypomina.“

Od wyjazdu naszego z Drezna, coraz to nam więcej słabła, nocą zaś wpadała w malignę. Jadąc, ciągle się modliła, często na pamięć, czasem znów prosiła, żeby jej z książki niektóre czytać modlitwy. Ani na chwilę niepodobna było, na co innego odwrócić jej uwagę. Naprawdę pokazywaliśmy jej piękne kraje i widoki, któreśmy w przelocie mijali. Nic ją nie zajmowało, wewnątrz bowiem skupiały się jej życia ostatki. Przy końcu podróży nawet, nieustannie przymykała oczy, i głowę pochylała na piersi, jak gdyby usypiała. Trwożyło mnie to, bo nigdy nie miała zwyczaju spać w powozie. Nie

mogłam się wstrzymać raz od płaczu, a chociaż ukrywałam moje łzy, ona je zobaczyła i skinęła głową pokazując na ojca i dając mi do zrozumienia, że mój płacz smutne sprawi na nim wrażenie.

Dojechaliśmy do Paryża, wysiedliśmy w Badeńskim hotelu na bulwarze Włoskim, zaraz też nasza chora prosiła, żeby się mogła położyć. Podałam jej książkę do nabożeństwa, jak zwykle przed położeniem się na noc, odsunęła ją, okropnie mi się zrobiło, a więc już i modlić się nie mogłam! Nie rozbierałam się wcale i całą noc przesiedziałam przy jej łóżku. Niespokojna była i w malignie. Nazajutrz z rana, nieszczęśliwy ojciec, poszedł się rozpytać o najbiegłęjszych lekarzy i przyprowadzić z nich którego. Mój Boże! otóż ja jeszcze tak niecierpliwie wyglądałam ich przybycia, jeszcze oczekiwałam ratunku. Nadzieja widocznie ustępowała, a ja chwyciłam się jej uporczywie, jak dziecko. I jeszcze zabłysła iskierka drogiego mi życia; jeszcze o dziesiątej moja najmilsza Karolina prosiła mnie, żebym jej pomogła wstać z łóżka i ubrać się trochę. Co prędzej narzuciłam na nią najwygodniejsze odzienie i posadziłam ją w wielkim krześle przy oknie, siostrzenicę moją Leontynę, która była z nami, zostawiłam przy niej, a sama poszłam rzeczy nasze poukładać w drugim pokoju. Wracam za godzinę, zastaję ją spokojną i zwykły uśmiech widzę na jej ustach; ale po chwili spada jej głowa, oczy się przymykają a ręce niby czegoś szukają w powietrzu i dostać nie mogą, te widoczne oznaki śmierci, prawie mi odebrały przytomność. Za ledwie wielką mocą woli zdołałam siły zebrać, aby ją otrzeźwić. Podaję jej eter, rozcieram stygnące ręce i nogi, a na wszystko proszę ją i zaklinam: „Nie zamykaj oczu! nie usypiaj!” Usta nie mogły wymówić: „Nie umieraj!”

Otworzyła oczy i uśmiechać się zaczęła. Doprawdy, aniołowie chyba taki uśmiech mają. Korzystam z chwili takiego polepszenia, zbiegam na dół i wołam o jakiegobądź lekarza, byleby przybył i jak można najspieszniej. Rozpacz mnie brała na tę myśl, że ojciec przyjdzie i może już dziecka swego nie zastanie. Wtem nadszedł też, a z nim księżna Dorota L. Karolina wyciągnęła do niego ręce i do księżnej kilka słów przemówiła, a żegnając ją prosiła, żeby się pomodliła za nią. Od niejakiego czasu, takie jej było ze wszystkimi prawie znajomymi pożegnanie. Przybył i lekarz, potem drugi zaraz nadszedł i to najślawniejszy w Paryżu. Przy egzaminie chorej śledziłam wyraz ich twarzy. Nic na nich nie dostrzegłszy, zaczęłam się znowu łudzić jakąś nadzieją, ale kiedy wyszłam za nimi z pokoju chorej i pierwsze ich słowa dosłyszałam, ciemno mi się w oczach zrobiło, zdało mi się, że ziemia cała nikła przedemną. Ona konała! Jeden z tych lekarzy ulitował się naszego położenia i nie odstępował już od nas. Wróciliśmy do Karoliny, w wielkiej była malignie, gorączka wzmogła się jeszcze w nocy. Ciągłe miała obawy o ojca, nieustannie o nim mówiła. Czepeczek spałł jej był z głowy i włosy w nieładzie spadały na ramiona. Podniosłam je, poprawiłam, przytwierdziłam grzebieniem. Ona tkliwie na mnie spojrzała, objęła za szyję i całowała mówiąc: „Tyś mi matkę zastępowała do końca, dziękuję ci.“ Oto były ostatnie jej do mnie słowa.

O czwartej godzinie nad ranem zawołała na mnie, żeby z nią zmówić Anioł Pański, głos jej był czysty w modlitwie, mowa wyraźna, jeszcze raz serce zadrżało mi jakimś uczuciem nadziei, pomimo zupełnego przekonania, że to nadzieja płonna. W mgnieniu też oka uleciała ode mnie, Karolina znowu wpadła w malignę, znowu o ojcu

mówić poczęła, widać ztąd jak był jej duszy przytomny. „Mój ojczel mój ojczel powtarzała, co się z tobą dzieć będzie, jak mnie już nie stanie!“ I zaczynała się modlić za niego. Dziadka także, wuja swego i wszystkich krewnych żegnała i mówiła: „Dziś dla mnie ten świat już się kończy.“ Prosiła o księdza. Nie uważaliśmy tego koniecznej potrzeby, gdyż wyjeżdżając z Warszawy przygotowała się była na śmierć, a odtąd już tylko konała. Imię Jezus i Marya ciągle powracało w jej cichych modlitwach. „Cóż to za anioł ulatuje do nieba!“ rzekł z przeniknieniem obecny temu lekarz. Nieszczęśliwy ojciec nie był w stanie znosić już dłużej takiego widoku, wyszedł z pokoju i my za nim. Ona prosiła Leontyny, żeby z nią jeszcze litanję do świętego Franciszka Salezego odmówiła i tak wzywając błogosławionych, duch jej stanął pomiędzy nie-mil W dziesięć minut powróciłam do niej, już bladeść śmierci była na obliczu, już życie uleciało na wieki.

Działo się to 7-go listopada. Trzeciego dnia po południu księży współrodacy wyprowadzili jej zwłoki do kościoła Ś-go Rocha, a nazajutrz ztamtąd wynieśli na cmentarz (Père la Chaise) i tam tymczasowo w grobowcu umyślnie na to przygotowanym, złożyliśmy szczątki świątobliwej dzieciны, bez których ani pomyśleliśmy wracać do kraju.

Dopóki jeszcze ciało jej mieliśmy u siebie, sprowadziliśmy rzeźbiarza, aby zdjął z niej podobieństwo, do wyrobienia później z niej popiersia. Ten obcy człowiek nie mógł się napatrzeć na martwą. Ani znać było że umarła, zdawało się, że śpi tylko, taki pokój, taka słodycz, taka święta niewinność odbijała w jej rysach. Tylko wybrani pańscy taką umierają śmiercią.

W tem krótkiem opowiadaniu nie wspomniałam, że obok zalet serca i duszy, wieloma jeszcze talentami uposażona była ta miła i tak niepospolita istota. Nikt prawie z najbliższej nawet znajomych, nie słyszał ani gry jej, ani śpiewu, tak nie lubiła popisywać się z tem co umiała. Przecież bardzo przyjemnie grała na fortepianie i śpiewała do serca. Mówiła wybornie kilkoma językami obcemi: angielskim, francuzkim, niemieckim i włoskim. W trzy-nastu leciech przetłumaczyła była z włoskiego: Maksymy Ś-go Franciszka Salezego, które wydrukowano w „Pamiętniku religijno-moralnym. Rysowała przytem i malowała z wielkim wdziękiem i smakiem. Nauki miała wiele, bo lubiła czytać dobre dzieła i uczyć się nie zaniedbywała nigdy, skoro tylko podano jej ku temu sposobność, a któżby się był tej nauki w niej domyślił, jak fijołek miluchny, ukrywała się z zaletami swojemi. Tam dopiero pokazać pragnęła naukę, gdzie sądziła, że prawdziwy z niej może wypłynąć pożytek. I tak, z nieporównaną cierpliwością często młodszego brata przygotowywała do lekcyj, a później z równą dobrocią i zastanawiającą świadomością rzeczy uczyła siostrzeniczkę moją, Leontynkę. Najlepszy mistrz byłby jaśniej nie wytłumaczył niektórych w naukach trudności.

Z czasu jeszcze podróży z rodzicami po Włoszech, miała Karolina znajomą jedną zakonnice w Neapolu; siostrę *Maryę-Ludwikę*, powszechnie za świętą uważaną, pisywała do niej często, kiedy jej więc doniesiono o śmierci naszej Karolei i proszono o modlitwy za nią, tak na to odpisała: „Zapewne będziemy się tu modlili za nią wraz z wami, ale zamiast *Requiem*, zaśpiewamy *Te Deum*.“ Później jeszcze w bardzo tkliwych wyrazach pisała o niej w liście do księdza A...

Otóż wszystkie wspomnienia tego skromnego dziewiczego życia, które powinnyby służyć za wzór wszystkim chrześcijańskim dziewczicom. *Amen.*

Uzupełniając ten śliczny rys życia, dodamy, że zwłoki Karoliny w następnym roku, w maju, po dopełnionym obrzędzie ekshumacyi, przewieziono z Paryża do Hawru. Okręt norwegski czekał już w pogotowiu, kapitan i marynarze z odkrytymi głowami stali na pokładzie. Zbolały ojciec z małym gronem bliskich sercem zmarłej, klęczeli ukorzeni, powtarzając cichą a gorącą modlitwę. Szczątki Karoliny, morskim powierzone falom, dopłynęły do Gdańska, z kąd statek parowy *Kopernik* zabrał je i złożył na Bielanach. W samą rocznicę skonu przeniesiono je do rodzinnego grobu na Powązkach, gdzie spoczęły na własnej ziemi, obok prochów babki i matki.

Przy tym smutnym obrzędzie w obec licznego orszaku przyjaciół, którzy pośpieszyli oddać ostatnią ziemską posługę tej, która może w gronie aniołów modliła się za niemi do Ojca swego w niebie, zabrzmiał uroczyste głos słynnego mówcy, a jego słowa pełne zapału, odbiły się o serca słuchaczy i łzy żalu z niejednego wycisnęły oka. „Ocknijcie, się wołał on, nie tego świata dziedzice! nie tego świata, gdzie się uganiacie za pozorem, omamieniem, ułudą, gdzie sama cnota i niby wielkość wasza, w obec niebios jest pelzaniem, a mniemane poświęcenie się, skrytem samolubstwem albo szaleństwem, jeśli nie Boga ma za cel. Przebudźcie się, zerwijcie wasze ze światem łączące was węzły i temiż pętami krępujcie wasze ciała, aby duch wolnym był wznosić się w niebo. Ocknijcie się, wy, przeznaczeni do życia bez końca, wy nieśmiertelne dzieci wiecznie żyjącego Boga, iskra jego świętego technienia,

acz tłumiona wewnątrz w was, tleje. Chciejcie ją tylko rozdmuchać, podsycać rozżarzać, a ta iskra gorącym i niezgaszonym zajaśnieje płomieniem!“

Tak samo, ale potajemnie, przemawia do młodych sere współrodaczek nieskażony duch Karoliny. „Ocknijcie się, szepcze on z po za świata, droga do Boga otwarta wam wszystkim, anioł-stróż trzyma pochodnię po nad głowy waszemi, Boga-rodzica z Jasnej Góry pogląda na was okiem macierzyńskiej opieki. Idźcie śladem bogobojnych prababek waszych, chowajcie w piersi iskrę, którą Bóg powierzył wam jako święty zakład przyszłości. Módlcie się w miłości, prostocie i pokorze, *czerpacie w niebiosach, aby naśladować na ziemi.*“ (Św. Ambroży).

PAMIĘTNIK RODZINNY.

Ciąg dalszy.

ROZDZIAŁ V.

Obowiązki rodzinnego pożycia. — Poróżnienie i zgoda.

Jadwisia wzrastała i rozwijała się codziennie, zresztą życie nasze tak było ciche, tak jednostajne, że nie pozostawiało w pamięci żadnego wydatniejszego rysu, zasługującego na wyłączną uwagę. Błogosławione to chwile zaprawdę, te, które przechodzą niepostrzeżenie. Za wiele wagi ludzie przyznają powszechnie wrażeniom, uganiając się cheiwie za nimi, w chorobliwym tylko stanie mogą być miłe i pożyteczne, owe nagłe wstrząśnienia, pobudzające krew do prędszego bicia, umysł do ocknienia się z letargicznej odrętwiałości, w normalnym zaś stanie tak po-

jedyńczych ludzi, jako i społeczeństw, spokój jest najwyższym dobrem, on tylko zwolna ale stanowczo wznosi ducha naszego ku prawdzie. On najściślej jednoczy nas z Bogiem.

Przeszła jak sen zima i następnie lato. Jadwisia skończyła już półtora roku, gdy na pogodnym tle naszego nieba pojawiać się zaczęły coraz wydatniejsze chmurki. Zbyteczna moja troskliwość o dziecię, zbyt wyłączne zajęcie się niem, z zaniedbaniem innych obowiązków, było jedynym ich powodem. Przecież obok owych przelotnych chmurek, przebijał chwilowy, świetniejszy niż kiedy promyk słońca, z niezrównaną pociechą dostrzegaliśmy oboje z Władysławem każdą nową oznakę budzącej się w dziecinie naszej myśli, każdy nowy dowód stopniowego wyzwalańia się jej z niemowlęstwa i zamieniania w istotę myślącą i działającą. Pierwszy uśmiech Jadwisi, pierwsze wyciągnięcie jej drobnych rączek, pierwsze wymówione przez nią słowo, były powodem niezwyklej w domu radości i rozjaśniały nasz widnokrąg niepojętem szczęściem.

Ale wraz z rozwijającą się myślą dziecięcia, budziły się także jej skłonności. Skutkiem niedoświadczenia i zbytnej drażliwości przywiązywałam zbyt wielką wagę do wszystkiego. Każdy grymas dziewczynki brałam za wydatny zarys jej przyszłego charakteru. Ztąd nie brakło mi powodów do coraz nowych a niepotrzebnych udręczeń.

Nie śmiałam ani na chwilę spuścić z oka dziecięcia, kołyska Jadwisi stała się wyłącznym moim światem. Ustały prawie nasze wieczorne schadzki, nasze wspólne czytania i pogawędki, nasze miłe przechadzki.

Jadwisia w kółku domowym była ową osiã, dokoła której wszystko się obracało. Dziecię, czując instynktowo swoją przewagę, wpadało zwolna w samowolność i upór.

Ja z mej strony nie chcąc jej drażnić, bojąc się doprowadzić ją do wybuchu, w razie którego należałoby użyć stanowczych środków, uprzedzałam jej myśli i życzenia, słowem, z obawy aby nie uchybić w czemkolwiek obowiązkom których czułam całą świętość, wpadłam w przesadę w ich pełnieniu, a uczucie macierzyńskie doprowadziłam do chorobliwej przesady.

Władysław tracił z wolna zwykłą wesołość, nie raz powróciwszy do domu po całodziennem zatrudnieniu brał książkę i siadał samotnie pod kasztanem, smutny i milczący. Zajęta wyłącznie Jadwisią, mało zwracałam na to uwagi. Kilkakrotnie nawet dał mi do zrozumienia, że macierzyństwo nie powinno uwalniać mnie od innych obowiązków, jakie winnam światu i mężowi. Po tego rodzaju wymówkach, następowała chwilowa zgoda, ale niebawem wpadałam znowu w zwykłe błędy.

Nie uszło to wszystko bacznego oka ciotki. Raz gdyśmy wraz z nią i ojcem pili herbatę w ogrodzie, a dziecię bawiło się kwiatkami na murawie, naprowadziła z umysłu rozmowę na dawne wychowanie, porównywając je z obecnem.

— Lepiej to było zaprawdę — rzekła kręcąc w rękę tabakierkę — dopóki wszystko szło po prostu, jak Bóg przykazał, bez niepotrzebnych wymysłów. Dzieci od pieluch uczyły się czcić i szanować rodziców, bo widziały w nich panów i opiekunów, a nie służebników gotowych na ich każde skinienie. Dziś samolubstwo lęgnie się jak robak w młodziuchnem sercu, nie ma w tem dziwu, bo dziecko spostrzegając wyłączne sobą zajęcie, rośnie z przekonaniem, że jest wyższą jakąś istotą, której wszyscy ulegać powinni. Dawniej, młodzian pod wąsem, nie śmiałby za nic w świecie usiąść w obec ojca, a panna na wydaniu

drżała jak liść przed matką, bo rodzice umieli zachować należytą powagę, to też byli względem dzieci widowym obrazem bóstwa na ziemi.

— Z dwojga złego — odparłam — lepsze podobno dzisiejsze moja ciciu, postrach tłumi niewątpliwie uczucie i nie da się sercu rozwijać jak należy.

— Wątpię bardzo — odparła ciotka — nie było wprawdzie chorobliwej przesady w miłości synowskiej, ale dla tego była ona krzepka i silna, a może prawdziwsza niż jest dzisiaj. Pamiętam, po śmierci matki, ledwie żem nie umarła z ciężkiego żalu, choć policzyć hym mogła, ile mnie razy w życiu pocałowała.

Każda rzecz ma dwie strony — rzekł ojciec, kładąc fajkę którą palił — przy dzisiejszym postępie nie właściwą byłaby może dawna surowość w obejściu z dziećmi, gdybyśmy jej się zbyt ściśle trzymali, przecież i dzisiejsza zbyt uczynna troskliwość może obudzić w dzieciach samodzielność, jeżeli każda myśl jego wprzód będzie uprzedzoną, zanim się sama objawi. Przyzwyczajone do ustawicznego prowadzenia za rękę, nie ośmieli się postawić kroku o własnej sile, lub też upadnie i stłucze się, skoro nie będzie czuło obok siebie oparcia do którego nawykło.

W dalszem życiu stokroć jeszcze smutniejsze wynikną z tego skutki. Lada wpływ okaże się przeważny nad umysłem giętkim i chwiejącym, który w dzieciństwie nie nabrał samodzielnego rozwinięcia. To też nie należy zakrywać przed okiem dziecka twardych zapór i licznych kałuż, jakie napotka na drodze życia, ale należy je tak usposobić, aby przeszło wśród nich bezpiecznie, nie zraniwszy stóp i nie ulgnąwszy skutkiem nieświadomości. Nade wszystko zaś, trzeba z całą swobodą dać się zbudzić sumieniu, inaczej cóż pokieruje biedne dziecko w dalszem życiu,

gdy Bóg usunie od niego rodzicielskie ramię? Istota zbyt troskliwie pielęgnowana wybuja jak bluszcz wątły, który się musi koniecznie czepiać innego przedmiotu, niezdolny ostać się o własnej sile, lub też pełza po ziemi nikiemny i niedołączny.

Trudno było zaprzeczyć prawdy słowom ojca, uczułam całą ich ważność, a jednak fanatyzm mój macierzyński wziął nad nimi górę, bo któż nie uzna, że najniebezpieczniejszem dla nas bywa złe, które przedstawia nam się ozdobnie, pięknym pozorem cnoty. To też widnokrąg nasz domowy nie rozjaśniał się wcale, ale coraz bardziej stawał się mglistym i pochmurnym. Częste uwagi ciotki wydawały mi się czczą gadaniną, przebaczałam je tylko przez wzgląd, że ona nigdy nie była matką. Rady nawet dobrej Anieli wydawały mi się niewłaściwemi, obwiniałam ją w duszy o chłód, od którego tak była daleką! Nabierałam z dnia na dzień coraz więcej zarozumienia, łącząc do niego jak zwykle, mimowolną pogardę i lekceważenie drugich i stawiając się wyżej nad wszystkich we własnem przekonaniu.

Bóg wreszcie, prowadząc rzeczy do ostateczności, dał mi zbawienną naukę i dozwolił mi upamiętać się w samą porę.

Dnia jednego, było to w końcu września, Władysław wcześniej niż zwykle powrócił do domu. Słońce jakby na pożegnanie ziemi rzucało jasny i ciepły promień, drobne nitki pajęczyny osnuły drzewa w naszym ogródku. Chłodny powiew rzeźwił powietrze, słowem czas był prześliczny, jak się to niekiedy zdarza w początku jesieni.

Pogoda dnia, wpłynęła dziwnie na umysł Władysława, wszedł do pokoju z promieniejącem okiem, z uśmiechem na ustach.

— Zosiu — rzekł, całując mnie w czoło — zabieraj się co żywo, pójdziemy do ojca, potrzebuję się z nim widzieć w ważnym interesie.

— Niepodobna mi iść mój Władziu — odparłam — idź sam, kiedy interes wymaga tego. Co do mnie, przyrzekłam sobie nie odstępować ani na chwilę Jadwini. Dzie czynka coraz więcej staje się grymasna i samotna i coraz bardziej wymaga czujnego mego oka. Ot, i przed chwilą rozplakała się, zem jej nie pozwoliła iść z Katarzyną do miasta.

— To ją zabierzemy ze sobą — rzekł Władysław, biorąc na ręce dziecię, które siedziało na dywanie wśród zabawek, posępne i pochmurzone z czerwonymi od płaczu oczyma.

— Dajże pokój mój kochany — odrzekłam cierpko — zaziębi się jeszcze i zachoruje, wiesz przecie, że to nie lato, wieczory takie chłodne.

Dziewczynka usłyszawszy o przechadzce, rozplakała się głośno na moje słowa, które odbierały jej zbudzoną nagle nadzieję.

— O mój Boże! mój Boże! co to z niej będzie — zawołałam, załamując ręce z boleścią — charakter jej staje się coraz gwałtowniejszym, kto wie nawet czy nie dostrzegam w niej śladów złego serca. Nie można z nią nic poradzić dobrem słowem ani prośbą.

— Dziecko zwyczajnie — odparł Władysław — trudno przywiązywać znaczenie do każdego grymasu.

— Tak ci się zdaje mój kochany — odrzekłam — przecież to i w dziecku dostrzedz można zarody przyszłych wad i zalet?

— Samaś sobie winna, czemu ją źle chowasz — rzekł Władysław — czemu nie słuchasz ojca, który ci niedawno

tak zbawienne dawał rady? O! Zosiu złą idziesz drogą— dodał smutno. Bóg nam dał dziecię na to, aby było osłoda i pociechą naszego życia, nie żeby stało się nam ciężarem. Z jednej ostateczności snadno wpaść w drugą, bo-dajby tylko trudy jakie sobie dobrowolnie zadajesz z wychowaniem jej, nie zraziły cię kiedyś do pełnienia obowiązków z całą sumiennością i staraniem.

— Nigdy! nigdy! odparłam gorzko. Zanadto czuję ich świętość, abym się od nich uchylić miała. Dla ciebie chyba powinność może stać się uciążliwą, ale co o mnie nie lękaj się daremnie.

— I ja nie zapomnę o tem co do mnie należy — odparł Władysław z wiarą—choć nie wpadnę w taką jak ty przesadę, oj! kobiety, kobiety! wszystkie was mniej więcej opanowała manja dobrowolnego męczeństwa. Pragniecie korony cierniowej, a jeżeli Bóg lekko wam ją położył na skroni, wgniatacie ją własną ręką. Zdaje wam się koniecznie, że potrzeba krwi, aby uzupełnić ofiarę. Nie przeczę bynajmniej, że należy przyjąć z dobrą wolą krzyż jaki nam Bóg zsyła, ale żeby go szukać i za nim gonić, to istne szaleństwo!

Krew zawrzała we mnie na te słowa, była to pierwsza w życiu zniewaga, jakiej doznałam od Władysława.

— Na co ci chceć przekonywać szalonych, masz rozum, schowaj go więc na twój własny pożytek.

To mówiąc odebrałam płaczącą Jadwisie z rąk męża i wyszłam z nią do salonu. Władysław postąpił za mną parę kroków, ale zatrzymał się nagle, słuchając znać poszeptu miłości własnej, otworzył do biurka, dobył dawno zapomniane cygaro i palił je chodząc szybkim krokiem po pokoju i pogwizdując niby wesoło znaną jakąś piosenkę.

Ja z mej strony usiadłam do fortepianu i zagrałam

hucznego mazura. Jadwisia, zwyczajnie jak dziecko, z płaczu przeszła w nagły śmiech, niemniej głośny. Jeżeli w domu naszym nie było w tej chwili serdecznej radości, to przynajmniej niezwykła wrzawa objając się o ściany, mogła uludzić nieświadomych, pozorem sztucznego wesela.

Dzwonek zadzwonił i niebawem we drzwiach ukazała się ciotka.

— Cóż się tu u was dzieje? — zagadnęła z uśmiechem — głośno się coś bawicie, aż słyhać na ulicy żeście wszyscy w dobrym humorze. I ty Władysławie gwizdziesz istnie jak czyżyk, dotąd ukrywałeś się z talentem.

— Chciałbym zagłuszyć fortepian, od którego już mi uszy puchną — odparł Władysław niby żartobliwie.

— Dziwna rzecz doprawdy — rzekłam z przekąsem, zbliżając się ku drzwiom na powitanie ciotki, niedawno przecież tak lubieś muzykę.

— Moje dziecko—odparła ciotka — wyjmując z woreczka pończoszkę z drutami, wszystkim na świecie przesyć się można. To też na tem polega cała umiejętność życia, aby nie posuwać się do ostateczności.

Zapłoniłam się na te słowa, czułam bowiem, że do mnie były z umysłu wymierzone.

— Tak, zapewne — odrzekłam nie chcąc pozostać dłużną w odpowiedzi — tak, nie należy posuwać aż do przesyty naszych uciech i przyjemności..

— Nawet i obowiązków—dodała ciotka — bo i najzdrowszą strawą zaszkodzić sobie można, gdy przeberzemy w niej miarę.

Władysław przyklasnął z zadowoleniem, czułam jak krew zbiegła mi do piersi, a dreszcz chłodny przebiegł mnie całą.

— Zdaje mi się — rzekłam z przyciskiem — że w tym względzie częściej ludzie grzeszą zaniedbaniem niżeli zbytnią gorliwością.

— Wszystko się zdarza na tym Bożym świecie moje dzieci — mówiła ciotka dobywając z kieszeni tabakierkę — nie daleko szukając, miałam ci ja w mojem własnem życiu oczywisty tego dowód. Bo i ja przed laty byłam młoda! Nie zawsze zmarszczki były na czole, nie zawsze szron we włosach, nie zawsze chłód w duszy jak teraz — dodała z westchnieniem. I ja miałam męża, którego kochałam szczerze, choć po prostu i bez przesady i on mnie kochał, niech mu Pan Bóg za to świeci, ale zwyczajnie jak to mężczyzna, a do tego palestrant (bo był wówczas gdyśmy się pobrali pisarzem w palestrze lubelskiej), miał swoje zwyczajne zatrudnienia. W pierwszym roku po ślubie wszystko szło ślicznie, pięknie, jak z płatka, mój pan Marcin miał czas na wszystko. Z rana pracował za domem, po obiedzie zasiadał przy biurku pod oknem i jak mól ślęczał w swoich szpargałach; ale uchowaj Boże nie bronił mi do siebie przystępu, owszem, żądał sam abym siedziała z robotą w tymże pokoju i od czasu do czasu przebąknął do mnie słówko. Wieczorem zaś jak była pogoda, szliśmy zawsze nad rzekę, lub też na górę zamkową użyć świeżego powietrza i nacieszyć oczy pięknym widokiem. Aleć nie długo skończyła się Panie odpuść uciecha. Miał właśnie jak dziś pamiętam zjechać na Wielkanoc trybunał z Piotrkowa. Już deputaci trybunalscy ciągnęli po jednym jak bociany na wiosnę, a każdy dworno i szumno, na ulicach świeciły się jeno pasy i karabele, a hajducy i pacholki snuli się istnie jak mrowie, oczekiwano tylko na przyjazd marszałka. Mój pan Marcin, ledwie że w głowę nie zachodził, tyle miał naglącej robo-

ty. Wiedziałam ja dobrze, że to nie przelewki z trybunałem, znosiłam więc wszystko cierpliwie, obiecując sobie, że poczekawszy, za cztery miesiące, ów tartas skończy się przecie i wszystko do dawnego powróci trybu. Przeszło lato, zwinięto trybunał, po uceztach i biesiadach co się aż miasto od nich trzęsło, wyjechał marszałek, za nim deputaci rozpierzchli się na wszystkie strony. A tu mój pan jak przywykł do roboty, tak go ani oderwać od zielonego stolika. Choć i powrócił na obiad do domu, to wnet po obiedzie zamykał się w swej komnatce na zasuwkę i nie dał do siebie przystępu.

Sprykrzyło mi się nakoniec, bo się też miara przebrała, a dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, nie darmo mówi przysłowie. Słuchajcież mnie jakem sobie poradziła. Było to jak dziś pamiętam, w niedzielę przed wieczorem, dzień był piękny jesienny, pełno ludzi uwijało się tu i owdzie po mieście, a ja siedziałam tylko jak przykuta, tęskno mi się zrobiło do ludzi, do świata, a bardziej jeszcze bolało mnie to ciężko, że mnie tak mój Marcin zaniedbuje. Nie wiele myśląc, poszłam do jego komnatki, zapukałam śmiało we drzwi, przeżegnawszy się jednak za progiem, po długich korowodach, otworzył mi przecie.

— Co się stało takiego? myślałem że gore — rzekł mąż pochmurno, nie rad żem mu przerwała pracę.

— Nic się nie stało — odparłam — ale przyszłam ci wreszcie powiedzieć, co mi już dawno ciąży na sercu, że źle sobie ze mną postępujesz jegomość, na tośmy sobie zaprzysięgli wiarę przed ołtarzem, żebyśmy żyli z sobą jak Bóg przykazał w swoim zakonie. Nie należy nam się odzwyczajając od siebie mój Marcinie, bo jako żywo nie do-

bręgo złąd dla nas obojga nie wyniknie. To mówiąc otarłam nieznacznie łzę z oka.

— Daruj mi moja Dobciu, miałem bardzo pilną robotę — odpowiedział — trochę niby pomieszany mojem tak śmiałem przemówieniem, bo jużcié czułem sam, że ma złą sprawę. Zebrał jednak swoje szpargały ze stołu, zamknął je do biurka i rad nie rad wyszedł ze mną za miasto.

— No i jakże było potem? — zapytał Władysław.

— Ha i cóż! — odparła ciotka — odtąd mój pan Marcin miał zawsze na uwadze, że choć ważne były jego obowiązki jako palestranta, nie mniej ważne i te, które mi zaprzysiągł przed ołtarzem, że będzie mnie kochał i szanował aż do grobowej deski.

Władysław spojrział na mnie przelotnie, uczułam jego wejrzenie i rumieniec wystąpił mi na twarz. Chcąc ukryć pomieszanie, wzięłam za rączkę Jadwisię, która się napierała spać i zaprowadziłam ją do kołyski.

Ciotka odeszła niebawem, Władysław odprowadził ją do domu, a korzystając z pięknego wieczoru poszedł do ojca, z którym się widzieć pragnął.

Zostałam sama przy kołysce śpiącej Jadwisi. Żal niepojęty ścisnął mi serce, wyrzucałam sobie gorzko moje zaniedbanie względem Władysława. Ukłękłam przed obrazkiem Matki Boskiej i modląc się gorąco, więcej myślą niż słowy, zalałam się rzewnymi łzami.

— Mój Boże! — pomyślałam w duszy — tu w temże samym miejscu poprzysięgłam sobie niegdyś, że szczęście jego będzie moim wyłącznym celem, że będę jego opiekuńczym aniołem, jego pociechą w trudach życia, a dziś jakże dopełniam przyrzeczenia?

Pokrzepiona modlitwą, usiadłam znów nad kołyską, promień księżyca rzucał srebrne i drżące światło na pokój, lampka płonąca w oddaleniu, wątpliwym blaskiem otaczała rozstawione sprzęty. Cisza usposabiała myśl do dumania, do głębszego poglądu w siebie. Spojrzałam na Jadwinę, uśmiechnęła się we śnie owym uśmiechem niewinnym, właściwym dziecięciu, jasne jej włoski, wijące się ponad białem czołem, otaczały jej główkę niby złotą koroną i uczyniły ją istnym obrazem aniołka.

— O! ty nie będziesz zaporą do naszego szczęścia— pomyślałam. Ciebie Bóg dał nam jako łaskę i ubłogostawienie, jako święte ogniwo, wiążące dusze nasze. W imię twoje przysięgam poprawę i upamiętanie.

Wtem lekki szelest dał się słyszeć w przyległym pokoju, Władysław powracał. Serce uderzyło mi silnie. Ukryłam się po za białą firanką, spuszczoną od kołyski.

Władysław zbliżył się do śpiącej dzieciny, długo, długo patrzył na nią w milczeniu. Podniósł rękę do oka, otarł łzę, pochylił się nad kołyską i pocałował Jadwisę w czoło.

Nie byłam panią siebie, uchyliłam nagle firankę, wyciągnęłam rękę do męża. On ją pochwycił, przycisnął do ust z głębokiem uczuciem.

— A więc zgoda — rzekłam drżącym od łkania głosem.

— Zgoda! na zawsze zgoda! — rzekł tuląc mnie do serca. Zosiu moja, czyń jak chcesz, bylebym cię widział jak dawniej, swobodną i szczęśliwą.

— Nie Władziu — odpowiedziałam stanowczo — trzeba abyśmy oboje byli szczęśliwi. Bóg mi powierzył

twoje szczęście, przyrzekam ci święcie, że odtąd będę nad nim czuwała.

Spojrzelśmy na dziecinę, uśmiechnęła się we śnie, wyciągnęła drobne rączka, jakby anioł stróż przeleciał nad jej uśpioną głową.

ROZDZIAŁ VI.

Nagła zmiana. — Zmniejszenie dostatków. — Nauka dana przez dzieci. — Ufność w Bogu. — Przyjaciel odzyskany.

Upłynęło lat pięć, a pamiętnik mój zaniedbany, zapomniany, spoczywał w głębi biurka. Jakicież słowami malować szczęście ciche, jednostajne, niezmienne, jak błękit po którym żadna nie przepływa chmura, szczęście pod wpływem którego człowiek oddycha pełną piersią, nie zdając sobie z niego sprawy, nie wiedząc prawie, że to szczęście, dopóki go smutny wypadek nie ostrzeże, że ów błogi spokój ma być zakłócony, że to niebo może się zaciemnić, że wichur i burza mogą zmącić wody czystego potoku.

Urodzenie Stasia przerwało wprawdzie bieg jednostajny dni naszych, ale wkrótce potem wszystko do dawnego powróciło stanu, przybyła tylko w sypialni kołyska obok łóżeczka Jadwisi, przybyło tylko trochę gwaru, trochę życia, przybyła w kółku rodziny jedna istotka więcej do koхания, jeden więcej powód do składania Bogu dziękczynnej modlitwy, za szczęście, jakiego nam nie skąpił.

Wkrótce po przyjściu na świat Stasia, Władysław chcąc polepszyć byt zwiększonej rodziny, postarał się o no-

minacyę na patrona. Wkrótce otrzymał czego żądał. Znamna jego uczciwość i bezinteresowność zapewniła mu liczną klientelę. Najwięcej jednak dopomógł mu stary pułkownik B..., niegdyś dowódzca pułku w którym służył ojciec, powierzył mu bowiem wszystkie sprawy jakie prowadził w trybunale, a liczba ich była nie mała.

Pułkownik, człowiek nieskażonej sławy, znanej odwagi i nieposzlakowanego imienia w zawodzie wojskowym, miał jednak dziwną manję procesów. Przyzwyczajony do życia czynnego i zajętego, całą dawną działalność umysłu przeniósł w szperanie starych papierów, w wydobywanie z ukrycia zbutwiałych dokumentów i wygrzebywanie jakichsić zastarzałych sporów. Żyłkę tę odziedziczył pułkownik po ojcu, który był słynnym piniaczem swego czasu, a któremu śmierć nie dozwoliła dokończyć mnóstwa rozpoczętych procesów. Dopóki pułkownik służył w wojsku, nie miał czasu dochodzić ojcowskich pretensyj, porzuciwszy dopiero służbę, wdał się w piniastwo i umiłował je do zbytku. Nie był on chciwym na cudze, chętnie zawsze podał rękę biednemu, ale skrzętnie lubił dochodzić swej własności, a osobisty interes zaślepił go częstokroć na słuszność sprawy. Była to słabość jak inna, nędzny przywilej ludzkiej natury, niespokojnej, burzliwej, tak skłonnej do wpadania w ostateczności.

Manja pułkownika przyczyniła się jednak wielce do polepszenia bytu naszego, przyjaciel dawny ojca, pragnął z serca dopomódz synowi i nie tylko, że sam oddał mu do prowadzenia własne interesa, ale nadto skłonił do tego przyjaciół i znajomych, wystawiając zręczność i prawość Władysława.

Umarł był właśnie przed niedawnym czasem hrabia P..., bezżenny i bezdzietny, po którego śmierci miał się

rozpocząć zawikłany proces pomiędzy domnieranymi spadkobiercami. Pułkownik, daleki krewny zmarłego, jakkolwiek nie rościł żadnych praw do sukcesyi, wezwany był do rady, jako człowiek z głową i oznajmiony z prawnictwem. Z jego polecenia zatem Władysław miał wprowadzić sprawę do trybunału. Był to interes nadzwyczaj korzystny, z jednej bowiem sprawy mogło wyniknąć wiele innych, a klienci byli możni i przeważnie zajmowali stanowisko w warszawskim świecie. Przyszłość nasza zdawała się więc zapewnioną.

Było to na wiosnę. Ogródek nasz troskliwie od lat tyłu pielęgnowany, jakby wywdzięczając się za długie starania i trudy podjęte około niego, zabłysnął całym bogactwem majowego wdzięku. Bzy perskie i włoskie naginały się ku ziemi pod ciężarem pysznych kwiatów. Grządki pełne narcyzów, hijacyntów i tulipanów, rozsiewały woń do koła i nęciły oko różnobarwnością barw i odcieni, słońce świeciło jasno na pogodnym niebie. Zakryci przed jego palącymi promieniami cieniem starego kasztanu, siedzieliśmy raz przed wieczorem na ulubionej naszej ławeczce, wraz z Władysławem, ojcem i ciotką. Dzieci bawiły się około nas na trawniku. Było to właśnie w chwili, gdy się najświetniejsze przed nami otwierały nadzieje.

— Naciesz się Zosiu ogródkiem — rzekł Władysław — wkrótce go zapewne porzucimy. Nowe położenie wkłada na nas nowe obowiązki. Trudno nam dłużej będzie poprzestać na naszym skromnym mieszkaniu.

— Szkoda, wielka szkoda — odparłam z westchnieniem — przyszły mi bowiem na myśl wszystkie szczęśliwe chwile, których miejsce to cichym było świadkiem.

— Wiesz co Władziu — dodałam — a gdybyś też kupił ten domek z ogródkiem, mógłbyś go rozprzestrzenić, postawić piętro?

— No, no! — przerwała ciotka — czego ci się też nie zachciewa moja Zosiu, nie od razu Kraków zbudowany. Powiększy wam się dochód nie ma co mówić, ale trzeba przecież czekać lat kilka nim się uzbiera kapitałik potrzebny na nabycie domu.

— Ha! kto wie moja ciociu czy żądanie Zosi tak niepodobne do ziszczenia — rzekł Władysław po chwili namysłu, w której obliczał coś w myśli. Moznaby ułożyć się o częściowe wypłaty, moznaby zaciągnąć pożyczkę miejską. Zresztą spodziewam się w tym roku mieć przynajmniej z jakie dziesięć lub dwanaście tysięcy dochodu.

— Zamki na lodzie, mój kochany — odparła ciotka, kiwając głową z niedowierzaniem — a znacież wy proste przysłowie: „Jeszcze skóra na baranie, a już owczarz pije na nie.“ Tak to i wy czynicie podobno moje dzieci.

— Niech się cieszą nadzieją — rzekł ojciec z łagodnym uśmiechem — tyle czleka podobno, ile się spodziewa w życiu. Pięknyż to przywilej młodości, którego już nie nie schwyce jak szron zmrozi skrzydła, jak zawód jeden i drugi przekona, że nic stałego na świecie, na czemby się bezpiecznie wesprzeć można!

Słowa ojca rzuciły niby cień na moje złote marzenia, niebawem jednak pochwyciłam przerwany ich wątek.

— Zajmiemy pierwsze piętro naszego domu — rzekłam — ojciec i ciotka muszą zamieszkać na dole obok Karolów i będziemy wszyscy blisko siebie, choć każdy z osobna, kiedy tego tak żądają koniecznie.

— A potem przykupimy może ów ogródek; co się nie spożytkuje, będzie można i sprzedać.

Ciotka skinęła głową, ojciec słuchał nas z uśmiechem.

— Mam! i my będziemy mieli więcej ziemi na nasz ogródek — rzekła Jadwisia, która bawiąc się z bratem, przysłuchiwała się bacznie naszej rozmowie.

— Będziecie mieli moje aniołki — przydałam tuląc do piersi dziecinę.

Wtem furtka otworzyła się nagle, wszedł służący pułkownika, zbliżył się do Władysława i podał mu list zapieczętowany i spory zwój papierów.

Władysław rozłamał pieczętkę, przebiegł list oczyma, wreszcie jął przeglądać papiery. Spojrzałam na niego i dostrzegłam wyraźny cień rozpościerający się zwolna na jego czole.

— Co to jest Władziu? — zapytałam niespokojnie, jakby ostrzeżona dziwnym przecuciem.

— Nic, to nic Zosiu — rzekł drżącym głosem.

— Powiedz twemu panu — rzekł zwracając się do służącego — że jutro rano dam mu stanowczą odpowiedź.

Służący oddalił się niebawem, chwilę trwało milczenie.

— Co tu czynić? — rzekł w końcu Władysław — pułkownik żąda koniecznie, żebym się podjął nowej jego sprawy. Przekonany jestem, że niesłuszna, znam bowiem interes ten oddawna. Zresztą proces ma się toczyć przeciwko ubogiej rodzinie, z którą pułkownik miał już kilkakrotnie zatargi; w razie gdybym wygrał, ojciec z kilkorgiem dzieci przywiedziony by był do nędzy! Co tu czynić? Jeżeli nie podejmę się sprawy, obrażę śmiertelnie pułkownika, w przeciwnym razie działać bym musiał przeciw własnemu przekonaniu!

I biedny Władysław wsparł głowę na rękę, zmarszczył czoło, twarz jego pobladła widocznie.

— Co tu czytać? — powtórzył po chwili zaciskając rękę.

— Co ci nakazuje sumienie—rzekł poważnie ojciec.

— Otóż i po naszych zamkach na lodzie! — rzekł smutno Władysław — znam pułkownika, wiem jak się upredza gdy idzie o jego interes.

— Może go przekonasz — przerwałam—może przemówisz do jego serca, wystawiając smutne położenie rodziny.

— Nie Zosiu! to człowiek żelaznej woli, nie przywykły aby mu kto stawiał opór. Upamięta się, wiem o tem, ale nie prędko. Widziałem nie raz, jak w chwili rozważa żałował pierwszego popędu, a jednak jak sobie co w głowie ułoży, nikt go przekonać nie zdoła.

— I cóż uczynisz? — zagadnęłam nieśmiało.

— Odmówię wprost pułkownikowi — odparł Władysław stanowczym głosem — ale wiem, że go obrażę, że mi odbierze powierzone sprawy, wiem, że zachwiana cała przyszłość nasza i naszych dzieci, ale mniejsza o to, wolę ich zostawić w ubóstwie, niżeli bogacić je kosztem mego sumienia.

Spojrzałam przelotnie na ojca, oblicze jego zaświeciło dziwnym wyrazem szczęścia i ojcowskiej dumy.

Ciotka migąła drutami od pończoszki i co chwila zażywała tabakę, nie wyrzekła przecież ani słowa.

— Boli mnie tylko — dodał Władysław — że muszę okazać się niewdzięcznym względem pułkownika. Winienem mu wiele, tak gorliwie zajmował się losem moim! Trudno jednak, nie skąpiłbym mu krwi własnej, ale nie poświęcę przekonania.

W tej chwili, jakby odpowiadając naszemu usposobieniu, chmury nagle przyémiły niebo. Zaszumiały drzewa poruszone zrywającym się wichrem, grzmot odezwał się w oddaleniu. Smutne przecucie ścisnęło mi serce, powstaliśmy wszyscy i udaliśmy się razem do pokoju. Karolowie wkrótce przyszli do nas na herbatę, on sam dowiedziawszy się o tem co zaszło i o niezmiennem postanowieniu Władysława, ścisnął w milczeniu jego rękę.

— Nie trać ufności mój kochany — rzekł — Bóg dobry nie opuszcza tych, którzy idą drogą prawdy.

Smutek jednak krążył złowieszczo w naszym kółku. Burza szumiała na dworze, błyskawice pruły obłoki, deszcz z gradem bił w okna pokoju.

Uspokoiła się wreszcie ulewa, księżyc błysnął z za chmury. Rozeszli się wszyscy, dziecińy posnęły swobodnie, ale sen nie skleił prędko nam powiek. Trudno spokojnem okiem patrzeć na rozchwiane w jednej chwili marzenia i nadzieje.

Nazajutrz rano Władysław wzięwszy papiery w rękę, udał się do mieszkania pułkownika. Stało się, jak przewidział. Pułkownik obrażony jego uwagami, nie mogąc go skłonić do przyjęcia sprawy, wpadł w gniew i odebrał mu wszystkie interesa.

Czuwałam w oknie z wielkim niepokojem na powrót Władysława, spostrzegłszy go zdaleka, wybiegłam przeciw niemu do sieni. Błady był i poźółkły, oczy wpadły mu głęboko, usta posiniały.

Nie pytałam go o nic, przeczuwając nieszczęście. Ścisnęłam mu tylko rękę, pocałowałam go w czoło.

— Władziu mój—rzekłam wprowadzając go do pokoju, byliśmy biedni, a jednak nie brakło nam nic do szczęścia, dla czegoż teraz upadasz tak na duchu.

— Co innego było dawniej — odparł — mieliśmy przed sobą przyszłość, mieliśmy nadzieję; teraz potrzeby nasze zwiększają się codziennie, trzeba pomyśleć i o wychowaniu dzieci. Zresztą, jak wiesz, w nadziei przyszłych zysków zamówiliśmy nowe sprzęty, poczyniliśmy różne wydatki, na urządzenie domu zaciągnęliśmy długi, a co gorsza przywykliśmy nieznacznie do lepszego bytu, nie łatwo więc przyjdzie nam znowu pogodzić się z dawnym ubóstwem.

— Prawda — odrzekłam — nie trać jednak odwagi, Bóg nam dopomoże.

Łzy przerwały mi dalsze słowa, spojrzałam bowiem na dzieci, które swobodnie bawiły się razem, siedząc na kobiercu wśród cacek.

Wkrótce po Władysławie nadszedł ojciec, ciekawy skutku rozmowy z pułkownikiem. Wysłuchawszy dokładnie Władysława, poszedł natychmiast do dawnego swego dowódcy, ale ten go nie przyjął; powtórzył odwiedziny, powiedziano mu w hotelu, że pułkownik wyjechał z Warszawy. W parę godzin jednak ojciec spotkał go w mieście, jadącego dorożką. Trudno było czynić cokolwiek bądź więcej z naszej strony, tymbardziej, że słuszność głośno przemawiała za nami.

Świat jednak, patrzący zwykle powierzchownem okiem, osądził inaczej. Zarzucano Władysławowi niewdzięczność, obwiniano go nawet, że zapłacony od przeciwnej strony, nie chciał prowadzić sprawy pułkownika. Plotki raz zasiane rozrastały się bujnie. Usłudźni nazbyt przyjaciele powtarzali je Władysławowi, z własnymi zapewne dodatkami. Władysław znów dumny wewnętrznem przekonaniem, nie chciał się bynajmniej tłumaczyć i dozwolił składać na własne barki cały ciężar cudzej winy.

Klijenci po jednym odbierali sprawy, kupcy i wierzyciele zgłosili się równocześnie o oddanie należności, dzieci do tego pochorowały się na odrę, doktor nie wychodził prawie z domu, słowem nędza ukazała nam się w całej okropności.

Nadeszły jesienne szarugi. Ołowiane niebo bez promyka słońca, smutniejszą jeszcze barwą otoczyło nasze myśli, wichur strząsając z głuchym szelestem suche i poczerniałe liście, zdawał się szeptać nam słowo zwątpienia. Trzeba było zaprowadzić zupełną zmianę w trybie zwyczajnego życia. Odprawiłam piastunkę Stasia, a poprzestając tylko na usłudze dobrej Katarzyny, musiałam się zająć wyłącznie potrzebami dzieci. Podwoiłam starania około domowego zarządu, aby ile tyle powetować doznane straty. Władysław ze swej strony pracował jak mógł; pozbawiony prawie zupełnie klijenteli, brał od mecenasów powierzone im sprawy i za szczupłym wynagrodzeniem pisał obrony, które oni we własnym podawali imieniu. Widząc jednak coraz większy niedostatek, z dnia na dzień wędził na duchu, upadał na zdrowiu i zniechęcał się widocznie, tracąc wszelką wiarę w przyszłe polepszenie losu.

Dobra ciotka nie mówiła ani słowa, odwiedzała nas jednak codziennie i mimo szczupłych dochodów nie przyszła nigdy z próżnymi rękoma. Zaopatrywała hojnie dzieci w pończoszki własnej roboty, w zimowe sukienki i inne ich potrzeby. Ojciec także dopomagał nam nad możność, wszystko to przecież było dla nas niedostatecznym, przy ciągłej zwłaszcza chorobie w domu.

Smutne były zimowe nasze wieczory! Z dawnych znajomych pozostali nam tylko poczciwi Karolowie, których przyjaźń oceniliśmy dopiero w złej doli, jaką Bóg nam zesłał. Umilkła muzyka, ustały pogawędki, spose-

pniały nasze progi, a jednak wierni przyjaciele schodzili się do nas na herbatę z suchym chlebem i bułką, którą z równem przyjmowali sercem, jak dawniejsze przysmaki.

Ojciec pokrzepiał jak mógł Władysława. Nie masz sobie nic do wyrzucenia synu, mówił, widząc jego zniekanie, śmiało więc mój kochany, nie upadaj na duchu. Jesteś ojcem rodziny, umiej być godnym tego wzniesłego stanowiska. Snadno żyć gdy wszystko idzie dobrze; ciągnęła pomyślność rozmiękczyła cię; dotąd życie było dla ciebie uciechą, poznałeś same jego kwiaty, prześliznąłeś po niem lekką stopą. Teraz Bóg zsyła na ciebie próbę, aby doświadczyć hartu twej duszy; umiej być człowiekiem, nie upadaj pod ciężarem krzyża, śmiało bierz go na barki i dalej w drogę, jak na chrześcijanina przystało.

Słowa ojca pokrzepiały chwilowo Władysława, ale niedługo wpadał w nowe zwątpienie. Co do mnie, nie lękałam się nędzy i tylko cierpienie biednych dzieci, które z jednej choroby wpadały w drugą, odbierało mi moralną siłę.

Przebrała się jednak miara złego. Bóg wstrzymał doświadcządzającą nas rękę. Z pierwszym promieniem wiosny dziecięcki nasze rozwijały się znów jak kwiaty w ogródku. Rumieniec zakwitł na ich wybladłych twarzyczkach; Jadwisia która zaczęła już rok dziewiąty, dopomagała mi według możliwości w mych domowych zajęciach; Staś, biegał na kijku jak na koniku dokoła pokoju wesół i ochoczy, a mnie serce przyrastało i mimo naszego ubóstwa, czułam się prawie szczęśliwą.

Nadszedł Kwiecień, a z nim rocznica ślubu, na kilka dni przed owym dniem tak zawsze uroczyście obchodzonym w naszym kółku, dostrzegłam widoczną zmianę

w postaci Władysława. Smutny był, ponury i milczący, pragnęłam go uspokoić, ale słowa moje były daremne. Pierwsza to była rocznica od czasu naszych nieszczęść, nie mógł bez głębokiej boleści spojrzeć w ubiegłe lata tak swobodnie, a które jak sen pierzchły bez powrotu.

Zbudziwszy się w dniu tym ze snu, spojrzałam w okno, promień kwietniowego słońca przedzierał się przez zieloną zasłonę i otaczał wszystko w około wątpliwem i tajemniczem światłem. Władysława nie było już w pokoju, wstał przededniem do pracy, Jadwisia hoża jak kwiatek spała w łóżeczku, Staś obok niej w kolebce. Dziwna swoboda opanowała moją duszę na widok hożych i zdrowych dzieci, serce uderzyło mi silniej, pierś moja czuła jakiś nadmiar życia z którego nie umiałam sobie zdać sprawy. Wstałam spiesźnie, pobiegłam do kościoła, modliłam się gorąco; pełna wiary, że Bóg mnie wysłucha. Po mszy świętej powróciłam do domu, ubrałam dzieci i przygotowałam wraz z Katarzyną lepszy niż zwykle obiad na przybycie ojca i ciotki. Przyszli oboje, poprzedził ich Władysław. W dniu tym więcej niż kiedy był pochmurny, uścisnął mnie tkliwie, ale łza błysnęła mu w oku. Bolało mnie to szczerze, bo serce moje szczególniej było do radości usposobione.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na kawę do ogródka, który przybrał się już w wiosenną barwę, tak ponętą dla oka. Stasio bawił się z drewnianym konikiem, Jadwisia wycinała mu żołnierzy z papieru. Zrazu zabawa szła cicho, wkrótce jednak stała się głośniejszą.

— Idźcie ztąd moje dzieci — rzekł Władysław — głowa mnie boli, nie mogę znieść hałasu.

Dzieci odeszły powolne woli ojca. Jadwisiu—rzekł

Staś do siostry, ułam mi kilka gałązek z drzewa boś ty wyższa, zrobimy sobie ogródek pod płotem.

Jadwisia nałamała gałązek z bzu i czeremchy, Staś je pozatykał w ziemię, a skończywszy zamierzone dzieło, klaskali oboje w ręce z dziwną radością.

— Czego oni tak się cieszą? — rzekł Władysław pochmurno.

— Bo mają niewinną prostotę, której nam już nie staje — odparłam — bo umieją być szczęśliwem! O! Władysławie, Pan Bóg zsyła nam naukę w przykładzie naszych dzieci! Czemuż i my nie mamy zachować pogody duszy w obec przeciwności? Co nam pomogą skargi? Jesteśmy młodzi, mamy zdrowe ręce i silne ramiona, czegoż więc rozpaczać i tracić nadzieję? Bóg więcej ma niż rozdał, ufajmy Mu, On nas nie opuści.

— Mniejsza o mnie — odparł Władysław — ale ty biedna Zosiu, ale biedne dzieci.

— O dzieci się nie troszcz — rzekłam wskazując je z daleka. Patrz jakie wesołe i swobodne. Co do mnie, wierz mi Władziu, gdybym tylko widziała uśmiech na twoich ustach, swobodę na czole, byłabym zupełnie szczęśliwą. Co znaczy ubóstwo, gdy dusze bogate uczuciem i wiarą?

Władysław patrzył na mnie zrazu z niedowierzaniem. Zdawało mu się, że udawałam sztuczną wesołość aby go zaspokoić. W końcu jednak przekonał się o prawdzie słów moich, przycisnął mnie do piersi. Zapłakaliśmy oboje.

— Nie lękaj się moich łez Władziu — rzekłam patrząc mu w oczy, to łzy szczęścia, bodajbyśmy nigdy innych nie znali!

— Wierzę ci, wierzę mój aniele — odparł z rozpromienionem okiem.

— Przynieknij mi spokój i swobodę—rzekłam—będzie to najmilszy upominek w dniu tak drogiej dla nas rocznicy.

— Przynieknę, przysięgam nawet!—zawołał w dziwnem uniesieniu.

— Niech Bóg błogosławi wasze chęci— rzekł ojciec zbliżając się ku nam. Bądźcie spokojni, nieszczęście ściga tylko słabych i niedołążnych, prawdziwy człowiek umie się nad nie podnieść.

To mówiąc złożył krzyżyk po nad naszymi głowami.

Spojrzałam na ciotkę, ocierała nieznacznie z łez oczy, nie wypuszczając z ręki drutów od pończoszki.

Od następnego dnia podwoiliśmy oboje gorliwość w zwykłych naszych zajęciach. Pracowaliśmy z ochotą sercem, ja z dziećmi i około gospodarstwa, Władysław w swoim zawodzie. Bóg chcąc zapewne okazać, że nie opuszcza tych, którzy mu ufają, pobłogosławił naszym chęciom. Władysław pozyskał zaufanie kilku nowych klientów, a lubo daleko było jeszcze do dawnego dostatku, nie było przecież rzeczywistej nędzy w naszym domu.

Skoro się raz szala obróciła na lepsze, wszystko zaczęło nam iść snadniej i pomyślniej. Co więcej okoliczność posłużyła Władysławowi, że pozyskał znowu względy pułkownika. Prawda wyszła zwycięzko.

Jeden z klientów chciał mu powierzyć do prowadzenia sprawę przeciw pułkownikowi. On odmówił stanowczo, pamiętny dawnego ku niemu obowiązku wdzięczności. Dowiedział się o tem pułkownik. Czas stłumił jego gniew, przekonał się o niesłuszności dawnych wyma-

gań, serce przemogło upór. Pułkownik pierwszy szukał zbliżenia z Władysławem.

Uczciwy z siebie człowiek — rzekł podając mu rękę na sądach. Nie odtąd nie rozerwie naszej przyjaźni.

Władysław uścisnął rękę pułkownika i w mgnieniu oka zapomniał wszelkiej urazy.

Sprawa o sukcesyę po hrabim zawieszoną była do-
tąd z powodu oddalenia kilku interesowanych w niej osób.
Za pośrednictwem pułkownika oddano ją Władysławowi.
Jasny widnokrąg roztworzył się znów przed nami.

ROZDZIAŁ VII.

Co pomyślność pociąga za sobą.— Portret.— Żle zrozumiana oszczędność.— Przyjaciele.— Stare sprzęty.

Położenie nasze z dnia na dzień stawało się świetniejsze. Władysław miał wprawdzie więcej niż kiedy pracy, ale trudy jego hojnie wynagrodzone były. Wkrótce z patrona został adwokatem, co mu dozwoliło prowadzić w apelacji proces, który z końcem roku wygranym został w trybunale, skutkiem jego zabiegów i zręczności.

Ze zmianą położenia trzeba było koniecznie zamienić skromne nasze mieszkanie na okazalsze i obszerniejsze. Zamiar kupna domku w którym mieszkaliśmy od lat tyłu, spełzył na niczem z powodu śmierci właścicielki i ustanowienia opieki nad małoletnimi jej dziećmi. Na parę miesięcy przed świętym Janem, zebrawszy się w rodzinnem kółku, naradziliśmy się wzajemnie nad konieczną potrzebą przeprowadzenia.

— Moje dzieci — mówiła ciotka — co wam to potem, siedzcie na miejscu kiedy wam dobrze; za moich czasów ludzie rodzili się i umierali w jednym domu i lepiej wychodzili na tem, człowiek jak nawyknie do swoich kątów, pokocha je i dobrze mu z tem zaprawdę. Za zmianą po mieszkaniu idą nowe znajomości, nowe stosunki, nowe nawyki, a na tem rzadko się kiedy zyska.

— Ależ ciociu — rzekłam — gobyśmy się nie wiem jak daleko wyprowadzili od Karolów, nigdy nie przestaniemy być ich najlepszymi przyjaciółmi, nigdy nie zaniechamy serdecznych z niemi związków.

— Tak wam się zdaje moje dzieci — rzekł ojciec — a jednak nierówność położenia dzieli serca, jak znów wspólne widoki, pragnienia i nadzieje utrzymują związki przyjaźni. Zmiana przychodzi zwolna, nieznacznie, ani człowiek spostrzeże aż zobojętnienie zastąpi miejsce gorącego niegdyś uczucia. Taki to smutny przywilej natury ludzkiej. To też chcąc zachować ścisłą przyjaźń, trzeba ją bacznie pielęgnować w sercu i podsycać nieustannie, ażeby nie wygasła.

Władysław i ja patrzeliśmy na ojca z niedowierzaniem, zdawało nam się niepodobną rzeczą, aby zapomnieć kiedykolwiek dobrych naszych przyjaciół z którymi przeżyliśmy tyle rozmaitych chwil życia, którzy nam tak w dobrej, jak i w złej doli zarówno pozostali wierni.

— Trudno nam jednak — rzekł Władysław — nie zastosować się do naszego nowego położenia. Z obowiązku mego zmuszony jestem przyjmować mnóstwo osób, trzebaż więc okazać się przed ludźmi przyzwoicie. Jak cię widzą, tak cię i piszą, mówi przysłowie.

— Jest ci inne właściwsze — rzekła ciotka z uśmiechem, dobywając tabakierkę z kieszeni.

— Jakież naprzykład moja ciociu? — zagadnęłam.

— Że chleb ma rogi, moje dziecko. To też co było dobre przed rokiem, nie może dziś uchodzić. Co czynić, taka już kolej na świecie, niechaj się każdy uczy własnem doświadczeniem.

Była prawda w słowach ciotki, przecież rozumowanie nasze przemogło. Uradziliśmy więc, że trzeba ko-

niecznie zmienić mieszkanie, co większa wyprowadzić się na jedną z głównych ulic Warszawy.

W czasie owej narady przyszli Karolowie, zamiar nasz zasmucił ich szczerze, przecież weszli w nasze widoki z dziwnem pobłażaniem. Tak w tej okoliczności, jak i w każdej innej, okazali się ludźmi prawdziwie wyższemi. Nic bowiem nigdy nie mąciło wewnętrznej pogody ich duszy, nic nie zdołało skłócić ich z życiem choćby na chwilę. On siłą ducha i woli umiał się zawsze wznieść nad wszelkie przygody. Ona krzepiona religijnem poddaniem, umiała stawić im czoło.

Dobrzy Karolowie bez najmniejszej zawiści ciesząc się z polepszenia naszej doli, zajęli się wspólnie z nami wynalezieniem stosownego dla nas mieszkania, najęliśmy je na Senatorskiej ulicy, na pierwszym piętrze z oknami wychodzącemi na plac przed teatrem, w nowym, niezamieszkanym domu.

Przy pomocy ciotki i przyjaciół zajęliśmy się przeprowadzeniem.

Z dziwnym żalem patrzyłam na opustoszałe kąty w owym cichym domku, gdzie upłynęło nam dziesięć lat życia, tak szczęśliwego, tak bogatego w pamiątki.

Zagłuszałam się jak mogłam, przywodząc na myśl wszelkie spodziewane korzyści, przecież smutno mi było i ciężko na sercu. Z większym jeszcze żalem żegnałam śliczny ogródek, tak przyozdobiony kilkoletniem staraniem, który w tej chwili jaśniał w pełnej swojej krasie. Róże, lilje i jaśminy napełniały go wdzięczną wonią, altanka z dzikiego wina mile nęciła do spoczynku, ławeczka pod kasztanem tyle nasuwała wspomnień. Ze łzami zamknęłam po raz ostatni furtkę, nie patrząc wcale za siebie, aby się nie drażnić daremnie.

Ustawiliśmy nasze sprzęty w nowym mieszkaniu, ale rzecz dziwna, owa kanapa, krzesła i stoły, które tak wspaniale wyglądały w pokoiku przy ulicy Solnej, znikły zupełnie w nowym salonie. Radzi nie radzi, musieliśmy pomyśleć o kupnie nowych mebli. Wzięliśmy je na wypłatę od najpierwszego stolarza. Jedne wydatki pociągały za sobą nieodzowną potrzebę drugich. Za meblami, musieliśmy pokupować lampy, żyrandole, zegary, kobierce, firanki i inne kosztowne przedmioty.

Dochody jakkolwiek znacznie zwiększone, nie mogły wystarczyć na wszystko; trzeba było zaciągać długi.

Pokoje nasze wspaniałą miały postać, a jednak dziwny chłód powiewał w nich, nie było owej swobody do której nawykliśmy od dawna. Dzieci przyzwyczajone biegać tu i owdzie, musiały teraz siedzieć cały dzień w swoim pokoiku, aby nie barłoczyły pięknej posadzki i nie uszkodzić kosztownych sprzętów. Było więc wszystko w nowym mieszkaniu naszym, brakło tylko życia i ciepła, w których najwyższy podobno spoczywa urok. Nie raz też, obejrzawszy się w moim pięknym salonie, westchnęłam mimo woli za przeszłością. A jednak, rzecz dziwna! widząc otaczający mnie zbytek, czułam się dumną i zadowoloną, jakby mi osobistej przybyło wartości.

Karolowie nabyli od nas stare sprzęty, częścią z potrzeby, częścią dla pamiątki. Miło mi było przynajmniej, że te pozostały w ich ręku.

Już wszystko urządzone było jak należy, korcił nas tylko z Władysławem portret mój zawieszony na głównej ścianie salonu. Błędy pędzla coraz bardziej biły nas w oczy, farby wydały nam się zblakłe i ordynaryjne, draperye sztywne. Ilekroć które z nas rzuciło okiem na ów nieszczęśliwy obraz, tyle raży przykrego doznało wrażenia.

— Wiesz co Władziu— rzekłam raz do męża—trzeba to koniecznie wyrzucić pod strych i to natychmiast. co sobie kto o nas pomyśli patrząc na ten bohomas.

— Zapewne — odrzekł Władysław — ale czymże by go zastąpić? ściana taka wielka, trzeba koniecznie zawiesić co w jego miejscu.

— Musimy kupić drugie zwierciadło— odpowiedziałam po chwili namysłu.

— Zwierciadło — powtórzył Władysław. Bój się Boga Zosiu, trzeba na nie wydać z jakie sześćset złotych!

— Cóżby innego? — rzekłam. Obraz olejny więcej by jeszcze kosztował, kupmy chyba piękną angielską rycinę.

— Policz ramę i szkło — odrzekł Władysław — to i zwierciadło będzie za te pieniądze, trudna rada jednak, trzeba będzie o tem pomyśleć.

To mówiąc zdjął obraz zawieszony na haku.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ojciec ukazał się w progu.

Powitawszy nas, zbliżył się, wziął portret z rąk Władysława i długo przypatrywał mu się z uwagą.

— Ojciec śledzi zapewne podobieństwo — zagadnął Władysław. Jeżeli było kiedyś, to teraz nie już z niego nie zostało.

— Nie moje dziecko, nie o to mi idzie. Ścigam myślą pamiątkę przywiązaną do tego obrazu. Przypominam sobie ów czas, gdy dobra ciotka kazała go malować przejeżdżającemu malarzowi, żeby ci sprawić niespodziankę.

— Wiem ile ją to kosztowało, było to bowiem wkrótce po przegranej procesie, gdy się wyczerpały jej zasoby. Nie zapomnę nigdy słów, które wtedy do mnie wyrzekała.

— Patrz oto kapitanie—mówiła—wskazując na portret — będzie to dopiero uciecha dla Władysława, prawda, że przez cały miesiąc nie jadłam pieczystego i nie piłam kawy, ale mniejsza o to, byleby tylko sprawić dzieciskom przyjemność. Tyleż to człowieka, ile żyje dla drugih.

Łzy stanęły mi w oczach na słowa ojca.

— Prawda! prawda! — zawołał Władysław — nie zapomnę nigdy chwili gdym go otrzymał w darze. Nie wyrzucajmy go Zosiu, umiejmy uszanować pamiątki, bo bez nich życie chłodne i bez uroku. Oceniajmy wszystko co nam przypomina ów czas błogosławiony gdyśmy byli młodzi, ubodzy i szczęśliwi.

Na te słowa rzuciłam się w objęcia męża, który mnie tkliwie przycisnął do piersi.

Tego samego dnia wydobyliśmy z pod strychu niektóre dawne sprzęty, ocalone jeszcze od sprzedaży, ustawiliśmy je w małym pokoiku za sypialnią, który przeznaczaliśmy wyłącznie na nasze zwykłe zebrania, zostawiając salony na przyjęcie gości. Portret zawiesiliśmy na ścianie. W obec przyszłości czuliśmy się jakoś swobodniejsi, a kto wie, czy i nie lepsi.

W owym czasie Karol otrzymał wyższą cokolwiek posadę, z obowiązkiem przeniesienia się do małego miasteczka, odległego o kilkanaście mil od Warszawy.

Cierpieliśmy wszyscy na owem rozłączeniu. Obok przykrości, straciliśmy wiele rzeczywistej korzyści. Przykład Karolów bowiem działał na nas zbawiennie. On jako człowiek wyższy, podnosił umysły tych z którymi często przystawał, ona istny anioł, umiała zawsze pocieszyć, ukoić, podzielić każdą radość i smutek.

Wkrótce jednak, świat jeżeli nas nie pocieszył po oddaleniu przyjaciół, to przecież odrywał zwolna od nich

myśl naszą. Rada nie rada, zmuszona byłam oddawać nieustannie wizyty i odbierać je nawzajem. Trzeba było wyznaczyć dzień w tygodniu na przyjmowanie znajomych. Przyjmując u siebie, należało zarówno udzielać się znajomym. Wieczory przepędzaliśmy częściej za domem. Szum, wrzawa i zgiełk świata zajęły miejsce cichego domowego szczęścia. Stroje pochłaniały znaczne pieniądze; bywając między ludźmi, niepodobna było występować gorzej od drugih.

Dochody wprawdzie wpływały znaczniejsze niż dawniej, po zaszłem jednak obliczeniu byliśmy biedniejsi niż kiedy, a ubóstwo nasze jakkolwiek świecące, było przecież rzeczywistem ubóstwem.

Trzeba było wreszcie zaprowadzić jakąś zmianę. Niepodobna było bowiem iść dalej rozpoczętym trybem. Złożyliśmy więc naradę w zwykłym kółku rodzinnem.

— Podług stawu grobla — rzekła ciotka — pamiętajcie o tem dzieci, inaczej źle będzie z wami. Zastanówcie się nad tem wcześniej, bo nie rychło stać się mądrym po szkodzie.

— Dobrze ciociu — odparłam — ale w czymże na-przód zaprowadzić zmianę? zdaje się, że nic nie wydajemy nad potrzebę.

— Potrzeba, rzecz względna — rzekła ciotka — co jest koniecznością dla jednych, dla drugih staje się zbyt-kiem. Najprzód mieszkanie wasze za drogę.

— Tak — przerwał Władysław — ale to rzecz skoń-czona, trudno się wyprowadzać w ciągu roku.

— Kuchnia za kosztowna — rzekła znów ciotka — możnaby się śmiało w tym względzie ograniczyć.

— Niepodobna ciociu — odrzekł Władysław — zmu-

szony jestem raz wraz mieć kogoś u siebie na obiedzie, interesa najlepiej prowadzą się niekiedy przy stole.

— Za wiele bywacie w świecie — mówiła znów ciotka — Zosia za bardzo się stroi, a co gorsza, dzieci przyzwyczajacie zawczasu do zbytków, co im się nie na wiele przyda.

— Ależ ciociu — odparłam zaczepiona osobiście — mogęż się narażać na to, aby mnie drudzy wytykali palcami? A i w dzieciach czyżby się nie obudziła próżność, gdybym je wystawiała na ciągłe upokorzenie w obec drugich?

— To nie dawajcie wieczorów — rzekła ciotka — któż was do tego przymusza?

— Co by na to świat powiedział — zawołałam — rozeszłoby się w mgnieniu oka żeśmy wszystko stracili i że gonimy ostatkami.

— Trzeba nam będzie od pierwszego — rzekł Władysław — zmienić nauczycieli dla dzieci. Braliśmy dotąd najpierwszych, a zatem i najdroższych; kto wie nawet czyby nie było lepiej posyłać oboje na jaką niedrogą pensję.

— Możemy wreszcie — dodałam — nie kupować tyle nowych książek, w zeszłym roku wydaliśmy na nie kilkaset złotych.

— Lokaja odprawić niepodobna — przerwał Władysław — trzeba będzie chyba przyjąć tańszego, lub też pozostawić i tego samego, jeżeli zechce poprzestać na niższych zasługach.

— Moje dzieci, wszystko coście wyliczyli, to istna kropla wody w morzu — odparła ciotka — podnosząc ramiona w górę.

— Zastanówcie się dobrze — rzekł ojciec z łagodnym uśmiechem — coabyście skorzystali na tego rodzaju

oszczędności. Ciężko wam odmówić sobie lichego przysmaku u stołu, a gotowi jesteście obywać się bez posiłku ducha. Żal wam pozbawić dzieci modnych sukien, a chcecie odmawiać im wykształcenia, które jest najwyższą, bo wewnętrzną człowieka ozdobą.

— Ojcze! nie sądź tak źle o nas — przerwałam zapłonią.

— Ja się nie obawiam moje dziecię — odparł dobry ojciec całując mnie w czoło — wiem, że ci nie brak dobrej woli, brak ci tylko doświadczenia i chłodnego zastanowienia. Otóż to są skutki nagłej pomyślności. Rozmiękczeni i niedołęzni, nie umiemy sobie nie odmawiać, tworzymy sobie urojone potrzeby, tracimy nawet uczucie sprawiedliwości i radzibyśmy zwalić na drugich ciężar ofiary, byleby nie na własnych nie dźwigać barkach. Jeżeli chcecie cokolwiek oszczędzić, moje dzieci, trzymajcie na wodzy próżność waszą, uskąpcie sobie zbytowych przyjemności, ale strzeżcie się żeby drudzy na tem nie szkodowali, nie odmawiajcie światła dziatkom waszym! Lepiej zaprawdę nie oszczędzić, aniżeli oszczędzać w ten sposób.

Zawstydziły nas słowa ojcowskie, przecież byliśmy na zbyt śliskiej drodze, aby z niej cofnąć się od razu. Trzeba więc było znosić dalej szkodliwe skutki pierwszego kroku, jakimśy niebacznie postawili.

Oprócz wydatków pieniężnych, które z resztą można z czasem powetować, traciliśmy więcej nierównie, bo czas, siły i zdrowie! Usuwaliśmy się zwolna od ojca i ciotki. Nie było w tem bynajmniej złej woli, ale była niemożność obliczenia się z czasem. Co do mnie, wyrzucałam sobie gorzko mimowolne zaniedbanie dzieci, ale trudno było zaradzić temu. W duszy naszej czego było i chłodno; dare-

mnie świat zagłuszał nas wrzawą, sumienie nie traciło praw swoich. Chowaliśmy jednak oboje w głębi duszy przykre wrażenia, bo człowiek nie rad objawiać tego co nam dolega, jeżeli złe pochodzi z jego własnej winy.

Odbieraliśmy często listy od Karolów, zwłaszcza z początku po ich oddaleniu z Warszawy, przecież korespondencya wzajemna ustawała pomału. Czas nasz tak był zawsze obliczony! Zresztą, co ich było zajmować opisem naszych zabaw! Listy ich jednak zawsze były równie tkliwe i serdeczne. Aniela opisywała swoje skromne uciechy, wieczorne czytania, wspólne przechadzki, zajęcia w ogródku, słowem drobne odcienia, tak mało wydatne na tle rodzinnego życia. W listach Karola były zawsze też same wzniosłe myśli i uczucia, które cechowały każde jego słowo. Zdawało się, że oboje nie dostrzegali zobojętnienia i zaniedbania naszego; znać, że sądząc przyjaciół według własnego serca, nie byli zdolni ich obwiniać. Narzekali tylko, że smutny zbieg okoliczności rozłączył nas tak nagle, a pełni wiary i wewnętrznej swobody, cieszyli się nadzieją rychłego spotkania.

Wydarzyła się wreszcie sposobność zadosyć uczynienia wspólnej chęci. Latem, w czasie feryj, zaproszeni byliśmy w kaliskie przez jednego z spadkobierców hrabiego, najwięcej interesowanego w tej sprawie. Droga wypadła nam właśnie o trzy mile od miasteczka, gdzie mieszkali Karolowie. Napisaliśmy do nich zapowiadając rychłe odwiedziny, gdy wyjazd nasz stanowczo ułożonym został. Odebraliśmy niezwłocznie odpowiedź. Dobrzy przyjaciele nie posiadali się z radości. Przygotowali na przyjęcie nasze najlepszy w domu pokoik, porobili w ogródku nowe ławeczki z brzeziny; wszystko, jak pisali, przybrało świąteczną postać w ich domu.

Przyszły konie nareszcie. Wyjechaliśmy z Warszawy w pierwszych dniach czerwca: po wspólnej jednak naradzie z Władysławem stanęło, że niepodobna teraz zbaczać z drogi. I tak powóz z końmi przez dwa dni przetrzymaliśmy w Warszawie, trudno było nadużywać cudzej grzeczności. Napisaliśmy więc do Karolów, przepraszając ich za zwłokę i przyrzekając wstąpić do nich z powrotem. Z odpowiedzi wnosić było można, że nas bynajmniej nie posądzali o zaniedbanie, ale że zawierzili zupełnie naszym tłumaczniom.

Aniela żałowała szczerze, że nie ujrzymy ich ogródka w całej wiosennej ozdobie, pocieszyła ją tylko nadzieja, że będą mogli przyjąć nas w owocowej porze, w ogródku bowiem mają wyborne winiówki.

Zabawiliśmy sześć tygodni w kaliskiem, wyjeżdżając do Warszawy, czułam się cokolwiek słabą. Jadwisia także trochę była zakatarzoną. Władysław miał nagłe interesa, wzięwszy to wszystko na uwagę, napisaliśmy jeszcze ze wsi do Karolów, że i na ten raz nie podobna nam zadosyć uczynić szczerzej chęci. Listy nasze były wprawdzie dłuższe i tkliwsze niż zazwyczaj, chcieliśmy pięknymi słowami wynagrodzić istotną obojętność.

W przeciągu drogi byliśmy z siebie wcale niezadowoleni. Mówiliśmy mało, każde z nas bowiem tłumikało w duszy myśl dręczącą, dzieci tylko szczebiotały między sobą.

Drugiego dnia podróży, dojeżdżając właśnie do Łowicza, wychylam głowę z powozu, w miejscu, gdzie łączy się z głównym gościńcem droga wiodąca do miasteczka, kędy przyjaciele nasi mieszkali. Bryczka okryta kurzem, z wielkim pośpiechem toczyła się drogą ku szosie. Mazur zacinał biczem parę lichych koników.

— Patrz! patrz Władysławie! — zawołałam budząc męża, który zasnął przed chwilą — czy to oni? zdaje mi się, że Karol.

Zanim Władysław przetaił oczy, wszelka wątpliwość znikła. Bryczka wstrzymała się nagle, Karol wyskoczył pierwszy, podał rękę żonie i w mgnieniu oka padliśmy z Anielą w wzajemne objęcia, podczas gdy on witał się z Władysławem.

Rozpłakałam się rzewnie, częścią z radości na widok dobrych i kochanych przyjaciół, więcej jednak z upokorzenia, czując jak mało byliśmy godni szczerzej i niezmiennej ich przyjaźni. Podczas gdy my żałując dla nich kilku godzin, nie chcieliśmy zboczyć z drogi wygodnym powozem, oni przyjechali do nas najętą od chłopca bryczuszką, narażając się na spiek i kurzawę, byle nas ujrzeć w przejeździe, byle nas uścisnąć chwilowo.

— Zosiu, pojedziemy z nimi. Nieprawdaż? — zagadnął Władysław, patrząc na mnie błyszczącymi od łez oczyma.

— Pojedziemy! pojedziemy! — odparłam, ściskając rękę Anieli.

Trudno opisać ich szczęście, ich wdzięczność.

— Jakże się Joasia ucieszy — mówiła Aniela — biedaczka miała taką chęć jechać z nami, ale nie było podobna, bryczka taka wązka!

Po krótkim popasie w Łowiczu zjechaliśmy na bok, przed wieczorem byliśmy już na miejscu. Aniela wsiadła ze mną do powozu, Władysław jechał bryczką z Karolem.

Nie pamiętam w życiu dnia szczęśliwszego nad ten, w którym po długim niewidzeniu spotkaliśmy znów przyjaciół, zawsze tkliwych, kochających, nie zmienionych wpływem czasu i okoliczności. Czułam, jak serce moje

ogrzewało się znów zwolna, jak się w niem budziły szlachetniejsze uczucia, przysypane już nieco zgubnym pyłem. To też i świat Boży piękniejszym mi się wydał. Mazowiecka płaszczyzna, na którą w innym czasie patrzyłabym zapewne obojętnie, nabierała dla mnie dziwnego powabu. O! bo szczęście wewnętrzne, bo uczucie doznane tak wszystko do koła nas upięknia i złoci!

Wieczór cały spędziliśmy razem w ogródku. Joasia, która z dziecka wyrosła już na dziewczynkę, wyręczała we wszystkim matkę, baczną na każde jej skinienie. Zastawiono w altanie wieczerzę i tak troskliwie dochowane dla nas winiówki. Dobrzy Karolowie przyjęli nas z prawdziwie starodawną gościnnością, zdało się, żeby nam serca własnego oddali chętnie cząstkę. Zapomniany od nas powiew cichego domowego szczęścia, otaczał ubogie ich progi. Udaliśmy się w końcu na spoczynek, prawdziwie pokrzepieni, radzi z drugich i siebie.

Aniela zaprowadziła nas do przeznaczonego nam pokoju. Gdy odeszła, Władysław spojrzął z żalem na skromne sprzęty, rozstawione tu i owdzie.

— Mój Boże! jak tu ubogo! — rzekł do mnie z wyrazem szczerego współczucia. Gdyby się też ich los mógł kiedykolwiek polepszyć!

— Ubogo? mówisz Władziu — odparłam wskazując mężowi znaną dobrze kanapę — a przecież to te same sprzęty, które nam się kiedyś tak pięknymi wydawały, nie wiele nawet od tego czasu zniszczone.

— Prawda — zawołał Władysław — to nasze dawne krzesła, które kupiłem na twoje przybycie. Zosiu! one prawie takie jak były, my tylko inni. Gdzie nasza prostota? gdzie nasza wewnętrzna swoboda, co taki urok roztaczała na wszystko? Świat zabrał nam ją Zosiu i cóż nam

oddał w zamian? Czczość i nudę. Cóż nam dały dostatki? oto uczyniły nam szczęście mniej dostępnem, trudniejszym.

To mówiąc Władysław pociągnął mnie za rękę ku otwartemu oknu, księżyc przepływał po niebie, jasny, otoczony milionami gwiazd, srebrne chmurki przelatały po pogodnem sklepieniu. Długo, długo patrzeliśmy w przestrzeń trzymając się za ręce, głowa moja płonęła, serce biło mi silnie.

— Ileż w dniu jednym nauki—rzekł po chwili Władysław drżącym i stłumionym głosem. Powiedz, co nam pozostało z marzeń młodości? serca wystudzone! tysiące sztucznych potrzeb, nieznanych niegdyś wcale. Uczucia najświętsze poświęcone wymaganiom świata. Zgiełk, wrzawa, w miejscu cichego szczęścia i spokoju! O! nie zapomnij dnia tego Zosiu, strzeżmy się jak ognia próżności, bo ta zabija serce, strzeżmy się zbytków, bo te niedołącznią ducha, nizeziemnią ciało; szanujmy pamiątki, bo w nich spoczywa całe bogactwo przeszłości, a nadewszystko czeijmy i oceniajmy zacne serca, bo tyle człowieka ile ukochał na ziemi.

— Bądź spokojny Władziu — odparłam — dzień ten nie będzie dla nas straconym, Bóg nas ostrzega w porę, czas jeszcze powstać i opuścić złą drogę.

ROZDZIAŁ VIII.

Zmiany.— Powrót do dawnego stanowiska.— Staś i Jądwisia.— Huśtawka.— Rozmowy wieczorne.— Czytania.— Nauki praktyczne ciotki.— Przechadzki.— Cmentarz.

Zabawiwszy dwa dni u Karolów, powróciliśmy do Warszawy, pokrzepieni na duchu; umyśliliśmy zaprowadzić natychmiast stanowe zmiany w układzie naszego życia, mieszkanie wprawdzie trzeba było zatrzymać na czas jakiś, żeby nie odstręczać interesantów zbyt częstem przeprowadzaniem, lecz wszelki zbytek wygnanym został na zawsze z progów naszych. Niektóre sprzęty nie zapłacono jeszcze, zwróciliśmy kupcom i rzemieślnikom z wynagrodzeniem za czasowe ich użycie, inne udało nam się sprzedać bez wielkiej straty. Kupiliśmy na to miejsce kanapę i krzesła jesionowe, podobne do dawniejszych. Wkrótce dom nasz inną przybrał postać, a jednak nikt z nas nie czuł się w nim mniej swobodnym i zadowolonym. Zbytki i wymysły jakimi się radzi otoczymy, tyle tylko mają znaczenia, ile go nadajemy sami; pochlebiają one tylko naszej próżności, nie przyczyniając się bynajmniej do rzeczywistej wygody. Snadno więc przychodzi obejść się bez nich, byleby tylko raz wyrobić w sobie moralne przekonanie o ich bezużyteczności.

Zdawało nam się obojgu, że to nie tak łatwo zerwać stosunki ze światem; lubo więc mieliśmy postanowienie wycofać się z nich pomału, uważaliśmy za konieczność nie naglić rzeczy i aby się nie narażać nikomu, powtarzać jeszcze od czasu do czasu odwiedziny, zanim je ostatecznie zaniechamy. Delikatność nasza okazała się zbytęzną, świat sam ułatwił nam drogę do zupełnego z nim zerwania. Zaledwie żeśmy zmienili pozór zewnętrzny naszego domu i rozpuścili pogłoskę, że dla bliższego zajęcia się wychowaniem dzieci, nie możemy wyznaczać dnia na tygodniowe zebrania, ci którzy niegdyś tak natarczywie cisnęli się w progi nasze, z równą łatwością usunęli się od nas. Widząc powszechną ku nam obojętność, oddaliliśmy się bez skrupułu od świata i ściślej niż kiedy zamknęli w obrębie domowego ogniska. Ojciec i ciotka, radzi szczyrze z postanowienia naszego, odwiedzali nas często w długie jesienne wieczory. Trzej nasi znajomi: major, radca i professor, schodzili się na wista i życie płynęło znowu, jak gdyby nie nigdy nie przerwało spokojności jego biegu.

Muszę jednak wyznać, że w pierwszych zwłaszcza chwilach, czułam niekiedy czczość i niesmak, tęskniłam sama nie wiedząc za czem. Świat działa na nas nakształt mocnego trunku; skoro podniebienie nawyknie do niego, nie zaraz potem zasmakuje znów w prostych napojach, które się nieraz tak dobrymi wydawały. Przeszły jednak wkrótce owe chwile mimowolnej nudy. Ścieśnione węzły rodzinne coraz miłszym i jaśniejszym czyniły nasz widnokrąg, a zdrowe uczucia rozbudzone w duszy naszej nie dawały nam czuć potrzeby sztucznych światowych wrażeń.

Zbiegła zima jak sen, dzieci zaniedbane chwilowo dla świata, znów się do nas przyswoiły bez trudu, a wzra-

stające co dzień ich przywiązanie, zapłaciło nam hojnie stosunki tak snadno zerwane z ludźmi, bo wsparte wyłącznie na próżności.

Wraz z wiosną porzuciliśmy nasze wspaniałe i puste salony i z serdeczną pociechą w duszy przenieśliśmy się znowu na ulicę Solną, do dawnego mieszkania, przybrawszy jeszcze dwa pokoiki zajmowane niegdyś przez Karolów. Z niemniejszą przyjemnością objęliśmy znów w posiadanie nasz mały ogródek, zawsze ładny i ukwiecony, lubo i na nim znać było dwuletnie zaniedbanie. Na usilne nasze proźby, ojciec, który od pewnego czasu podupadł nieco na siłach, najął sobie dwa pokoiki w tymże samym domku, aby być bliżej nas. Ciotka tylko, zawsze równie krzepka i zdrowa, nie chciała się oddalać od kościoła Karmelitów, niemniej jednak codziennym naszym była gościem. Dzieci rozwijały się jak kwiaty na wiosnę i charakter ich coraz wydatniejszej nabierał barwy. Jadwisia wychodziła z lat dzieciennych i dobiegała prawie mego wzrostu, Staś jakkolwiek młodszy, prześcignął ją o wiele tak we wzroście, jak i w naukach. Oboje z Władysławem usiłowaliśmy badać ich skłonności i działać stosownie na ich młodociane umysły. Trudno było od razu wniknąć w tajniki ich serc; trzeba było chwytąć owe przelotne chwile, w których dusza odbija się jak w zwierciadle, pobudzona zewnętrznymi wypadkami.

Okoliczność posłużyła nam w tym względzie. Raz przed wieczorem, nie mogłam jak zwykle siedzieć z robotą w altance, z powodu domowego zajęcia. Władysław pisał w swoim pokoju, ojciec czytał gazety u siebie. Dzieci same bawiły się w ogródku, Staś gracował uliczki, Jadwisia wrywała zielsko na grządkach. Skończywszy moje zajęcie, poszłam wraz z ojcem i Władysławem do ogródka,

zdziwiłam się ujrawszy porzucone gracie i nie widząc żadnego z dzieci.

— Cicho, cicho—rzekł ojciec— nie wołaj ich Zosiu, zjedźmy ich nieznacznie, zdaje mi się, że słyszę ich głos pod lipami.

Poszliśmy zwolna ku wskazanemu miejscu, coraz wyraźniej dolatał nas głos dzieci.

— Siadajmy tu — rzekł ojciec, wskazując brzozową ławeczkę, otoczoną gęstym kłębem bzu i czeremchy.

Usiedliśmy w milczeniu. Dzieci były od nas o parę kroków, każde ich słowo dolatało wyraźnie.

— Stasiu, daj pokój jak mnie kochasz — wołała Jadwisia — wiesz, że mama nie pozwala bawić się w huśtawkę.

— To i cóż z tego? — odparł Staś — mama nie zobaczy, a potem cóż mi się stać może?

— Spadniesz i potłuczysz się, Stasiu, daj pokój, o mój Boże!

— Choćbym się i stłukł trochę, mniejsza o to — rzekł chłopczyk — ale się przynajmniej zabawię.

Powstałam z ławeczki chcąc iść zapobiedz niebezpiecznej zabawie, zatrzymał mnie ojciec, rozgarnęłam ostrożnie gałęzie i przez zrobiony otwór przypatrywałam się dzieciom.

Staś uwiązywał linę pomiędzy dwoma lipami. Jadwisia stała przed nim blada i drżąca, prosząc, aby zaniechał wzbronionej rozrywki.

Niebawem huśtawka już była gotowa. Staś zasiadł na niej, chwycił obiema rękami linę, puścił się w górę naprzód wolno, potem coraz silniej, aż rozkołysany bujał jak ptak w powietrzu. Drżałam jak liść, ale posłuszna woli ojca, stałam nieporuszona.

— Stasiu! — wołała Jadwisia—zejdź na ziemię proszę cię, bo pójdę i powiem mamie.

— To idź — odparł brat, nie puszczając huśtawki—ja się nikogo nie boję.

Jadwisia jednak stała na miejscu, przyglądając się ciekawie.

— Ażebyś ty wiedziała jak to miło — rzekł Staś — zdaje mi się, że mam skrzydła i że lecę wysoko, wysoko, aż w obłoki.

— Czy to doprawdy tak przyjemnie? — zagadnęła siostra.

— Ależ jak, moja Jadwisiu; a możebyś ty miała ochotę usiąść ze mną?

— Spróbuję—odrzekła nieśmiało—zwolnij no tylko braciszku, ale przyrzecz mi, że będziesz bujał leciuchno.

— A widzisz?—rzekł Staś śmiejąc się głośno. Otóż nie będzie nic z tego, a coby mama powiedziała, żeby zobaczyła przypadkiem?

— Ej, nie zobaczy—odparła Jadwisia—mama w pokoju odbiera z prania bieliznę.

Staś zatrzymał huśtawkę, Jadwisia usiadła koło niego, z początku puścili ją powoli, niedługo jednak ośmieleni, rozbujali linę jak poprzednio.

— Wyżej! wyżej! braciszku — wołała dziewczynka co chwila, zarumieniona od radości i śpiesznego ruchu.

Widząc na co się zanosi, zawolałam na dzieci i wstrzymałam zabawę jednym słowem. Zawstydzone i upokorzone, poszły każde w swoją stronę, Staś gracował znów uliczkę, Jadwisia piekła na grządce.

— Poznaliście teraz wasze dzieci — rzekł ojciec. Widzicie w Stasiu charakter samowolny i nieugięty, niczem u niego przeszkody, byleby swego dopiął. Jadwisia

z natury łagodna i nieśmiała, a jednak jak łatwo da się wciągnąć do złego! jakże zgubnym zły przykład dla niej być może!

— Co tu czytać? — zagadnął Władysław — jaką drogą postępować z niemi? Jak tu wprzódz do jarzma konieczności ów umysł burzliwy i niesforny? jak tu uchronić przed burzą tę giętką i nieudolną istotę, którą lada powiew nachyla?

To już do was należy moje dzieci — rzekł ojciec — macie wskazówkę, działajcież więc stosownie. Dotąd obowiązki światowe nie dozwoliły wam zająć się jak należy waszemi dziećmi, nie poznaliście nawet ich serc, ich skłonności, bo człowiek z myślą rozproszoną sam siebie nawet poznać nie zdoła. Teraz bacząc pilnie nad niemi, wpływajcie na ich umysł zwolna, ostrożnie, ale stale i bez przerwy, a z dobrą wolą i cierpliwością wszystkiego dokażecie.

Nadeszła też właśnie pora w której zajęcie się dziećmi było koniecznym naszym obowiązkiem. Pojęcia ich rozwijały się codziennie, myśl się rozbudzała, skłonności uwydatniały. Chwila jeszcze zwłoki, a byłoby za późno. Jadwisia miała rok czternasty; Staś młodszym był rokiem.

Z nadchodzącą jesienią przypuściliśmy dzieci do naszych wieczornych posiedzeń. W ciągu dnia byliśmy od nich odłączeni. Staś bowiem chodził do szkoły, Jadwisia pobierała nauki w domu, od nauczycieli. Wieczorem zaś uwolnieni wszyscy od całodziennych obowiązków, trawiliśmy czas wspólnie na rozmowach i czytaniu. Ciotka zasiadała przy stole z pończoszką, ojciec palił fajkę chodząc po pokoju. Władysław i ja przybieraliśmy dziecinną niemal prostotę, aby słowami naszemi tem snadniej trafić do

ich pojęcia. To też pozyskaliśmy wkrótce bezwarunkowe ich zaufanie.

Wielką mieliśmy trudność w wyborze książek właściwych do czytania dla młodego wieku. Oprócz nieocenionych pism Hofmanowej, oraz bajek i przypowieści Jachowicza, naszego zacnego przyjaciela dzieci, nie znaleźliśmy nic prawie. Poważniejsze dzieła nie były dla nich dostępne, tłumaczenia zaś, jako pisane pod wpływem obcej narodowości, mało przynosiły pożytku.

Władysław zasięgnął listownie rady Karola, jako więcej doświadczonego w tym względzie.

„Ludzie uczeni — odpisał Karol — oprócz dzisiejszych nielicznych wyjątków, nie chcą się poniżać aż do pisania dla młodzieży, jakżeby kształcenie duszy człowieka nie było najehlubniejszym zadaniem! Piszą po większej części dla poklasku, dla chwały, dla próżności, dla popisu, ale za to jak mało dla prawdziwego pożytku!“

Z powodu małej liczby książek które mogliśmy dać bez obawy w ręce dzieci, musieliśmy częstkowo wydzielać im czytanie. Każdy przeczytany ustęp dopełnialiśmy własnymi uwagami, baczylismy nadewszystko, żeby dobrze strawiły podany im pokarm. Czytanie było uważane za nagrodę, a ponieważ nie szafowaliśmy niem nazbyt hojnie, było zawsze gorąco przez dzieci upragnionem.

Usiłowałam nadewszystko pozyskać ufność obojga i wkrótce dopięłam celu. Wieczorem po zwykłej rozmowie i czytaniu gdy zostały same ze mną, spowiadały mi się z całodziennych przewinień, opowiadały wszystkie swoje dziecinne zmartwienia i przykrości. Dumny charakter Stasia nie dozwalał wprowadzić nigdy przyznać się zupeł-

nie do winy, uważałam jednak, że pilnie baczył na odebrane napomnienia, rzadko kiedy wpadał powtórnie w błąd zganiony. Inaczej było z Jadwisią. Ta przyznała się od razu do złego, każdą winę gorzkimi oblała łzami, jednak za chwilę wpadała w nią znowu, bez względu na uczynione przyrzeczenia. U niej zapomnienie szło w ślady za popełnionym błędem. Prawda, że dobroć jej i pokora rozbrajała gniew od razu, ale w silnej woli i w szorstkiem usposobieniu Stasia więcej było rękojmi, że kiedyś potrafi odnieść nad sobą samym stanoweże zwycięstwo.

Dobra ciotka, pełna zdrowego i trafnego sądu, była mi często prawdziwą pomocą, zwracając z wolna umysł dzieci ku praktycznej stronie i stosując do potrzeb życia pobierane przez nich nauki.

Przyszła raz w chwili gdy uczyła Jadwisię botaniki. Była właśnie mowa o trawach, dziewczynka przechodziła kolejną wszystkie gatunki zboża, opisywała szczegółowo cechy każdego z osobna, kształt, pożytek, czas zasiewu i zbioru. Ciotka słuchała cierpliwie do końca, uśmiechając się nieznacznie i migając drutami jak zwykle.

— Moje dziecko — rzekła wreszcie, gdy Jadwisia odeszła po skończonej lekcji — na co się to zda owa nauka? jeżeli wejdzie w głowę, to jeszcze prędzej wyleci z niej napowrót. Słów wiele a rzeczy mało, tak to najczęściej w książkach. Nie wielec ja w mojem życiu czytałam, bo za moich czasów kobiety czytywały tylko „Złoty Ołtarz,“ „Gorzkie Żale,“ a co najwięcej pokutne Psalmy, jednak nauczyłam się sama nie wiem kiedy tego wszystkiego, co mogło mi w życiu być potrzebnem. Naucz ty dzieci twoje zapatrywać się własnem okiem na świat Boży, lepiej na tem wyjdą zaprawdę. Jutro oto sobota, Staś po obiedzie

nie pójdzie do szkoły, zabierzmy się z dziećmi w dorożkę i jedźmy z niemi za miasto. Mam oto w Mokotowie znajomą właścicielkę kolonji, udajmy się do niej, obejrzymy dokładnie całe jej gospodarstwo, a zaręczam ci, że jedna taka przejażdżka więcej nauczy dzieci, niżeli całe drukowane foljały.

Zgodziłam się najchętniej na żądanie ciotki, uszczęśliwione dzieci zabrały się w mgnieniu oka w drogę. Dojechaliśmy dorożką do rogatek, ztamtąd zaś puściliśmy się piechotą do Mokotowa, pod przewodnictwem ciotki. Było to w lecie, kołysały się na obszernych łąkach złote kłosa oczekujące sierpa. Pomiędzy zbożem błyszczał gdzieniegdzie modry bławatek lub ostróżka. Miejscami już rozpoczęło się zniwo; żeńcy pochyleni na łanie, zajmowali na wyścigi sierpem wyniosłe żyto. Dzieci w jednej chwili poznały różnicę między kilkorakim gatunkiem zboża, uzbierały na miedzy mnóstwo ziół i kwiatów, które miały zasuszyć w zielnikach. Staś gonił motyle i owady, chcąc niemi zbogacić swoje entomologiczne zbiory. Za przybyciem na kolonję, nowy był powód uciechy; zastaliśmy bowiem naszą znajomą zajętą robieniem masła i ogrzewaniem sera, dzieci przyglądały się ciekawie, zacna kobieta ze swej strony objaśniała im wszystko z największą dokładnością; mąż jej następnie oprowadził nas po męzkim gospodarstwie i wskazał dzieciom użytek pługów, radeł, bron i innych porządków, w końcu wstąpiliśmy do cegielni, gdzie strycharze wyrabiali i wypalali cegłę.

Nie małą korzyść odniosły dzieci z dnia tego; dziwno mi było, że gdy przed dwoma laty bawiliśmy przez sześć tygodni w kaliskiem, nikomu z nas nie przyszło na myśl zwrócić uwagę na tyle przedmiotów, z których prawdziwy

pożytek odnieść było można. Skarżyłam się przed ciotką na własne zaniedbanie.

— Moje dziecko—rzekła — człowiek częstokroć patrzy a nie widzi, gani własną myśl z której mu nie nie przyjdzie, a zamyka oczy na dziwy, co go otaczają do koła. Wreszcie nie załujmy tego co przeszło, starajmy się tylko, żeby odtąd jakieśmy przyszli do upamiętania żaden dzień nie był straconym w życiu naszym.

Za powrotem do domu dzieci nie mogły się dosyć naopowiadać ojcu i dziadkowi o widzianych przedmiotach. Ułożyliśmy oboje z Władysławem, że odtąd korzystając z wolnych chwil, będziemy je kolejną prowadzić do młynów, kuźni i innych pożytecznych rękodzielni, aby im dać poznać praktyczną stronę życia.

— Dobra to myśl zaprawdę — rzekł ojciec — niech dzieci za młodu uczą się oceniać pracę ludzką, której owoce pożywają codziennie. Praca to główny węzeł, łączący ludzi między sobą; pokonanie martwej przyrody przemysłem, to wielki tryumf ludzkości! Człowiek przeznaczony od Boga, aby był współpracownikiem winnicy Pańskiej, niech wzrasta z przekonaniem, że nie wolno na Bożej ziemi być pasożytem lub trutniem, korzystającym wyłącznie z cudzych trudów i usiłowań i niech wie, że każdy musi na wzór pracowitej pszczoły znosić swój ciężar do wspólnego ula, jeżeli ma godnie odpowiedzieć przeznaczeniu swemu na ziemi.

Jedna myśl nasuwa zwykle drugą, zwracając uwagę dzieci naszych na przemysł ludzki, uznaliśmy stokroć ważniejszą potrzebę podnieść dusze ich do Boga. Nie poprzestając na prowadzeniu ich do kościoła, uczyliśmy jak mają wielbić Stwórcę w dziełach jego ręki. Wskazywaliśmy

im w noc letnią miliony iskrzących się w niebie gwiazd, z których każda oddzielnym jest światem. Wśród dalekich przechadzek zwracaliśmy ich uwagę na łąki, pola i drzewa, tak piękne, tak zielone, tak pełne pożytku. Nie zaniedbaliśmy nic, ani lichego robaczka, ani źdźbła trawki, ani marnego kwiatka, wskazując we wszystkim objawiającą się myśl Bożą, Jego nieprzebraną dobroć, Jego mądrą opatrność. Słowem, otwieraliśmy działkom naszym oczy ku widzeniu, uszy ku słyszeniu, myśl ku objęciu cudów świata; a dusza ich korzyła się w proch przed Stwórcą, a w sercu budziła się miłość.

Największą uciechą naszą były niekiedy przejażdżki na Bielany, ojciec i ciotka towarzyszyli nam zwykle. Siadaliśmy na wzgórku ponad Wisłą. Za nami szumiały stare dęby i sosny poruszane wiatrem letnim, ptastwo śpiewało nam nad głową rozliczne pieśni, przed nami płynęła stara Wisła w szerokim swem łożu, wolno, wspaniale, dążąc do szerszego i wspanialszego jeszcze morza. Ileż tu nasuwało się coraz nowych przedmiotów do rozmowy i nauki! Ojciec zwracał myśl dzieci ku przeszłości, rozpowiadając wypadki zaszłe niegdyś na owych wybrzeżach. Ciotka dopomagała mu także, dobywając po trochu z pamięci wspomnień przysypanych pyłem czasu. Ubiegały chwile jak sen, schodziła godzina za godziną i spostrzegaliśmy to dopiero jak zorza wieczorna zrumieniła widnokrąg, a chmurki ozłoczone promieniem zachodu, przepływając po niebie, odbijały się fantastycznie w zmarszczonej powierzchni wody.

Zwiedziliśmy już wszystkie niemal okolice Warszawy, przyszła kolej na Powązki. Wybraliśmy się w niedzielę, dzień był chłodny, jesienny, ale słońce jasno świe-

ciło na niebie. Dziwne wrażenie sprawił na dzieciach ponury widok owego miasta umarłych, gdzie po miejskiej wrzawie tak głucho i milcząco! Przyglądały się obszernej przestrzeni zasianej w grobowce i krzyże, a na czole ich krążyła wyraźnie myśl ponura. Staś zwłaszcza pobladł i posmutniał widocznie.

— O czem tak myślisz? — zapytał go Władysław.

— Myślę ojcze — rzekł chłopczyną — że śmierć to rzecz okropna! Po co Pan Bóg stworzył ów świat pełen cudów, jeżeli wszystko musi uleść zniszczeniu? Po co życie, po co praca i udoskonalenie, jeżeli człowiek umrzeć musi?

— Moje dziecko — rzekł Władysław z łagodnym i smutnym uśmiechem — niezbadane wyroki Boże! człowiek winien ulegać woli Stwórcy, nie wchodząc w jej powody. Śmierć moje dziecko zakończy wprawdzie byt nasz na ziemi, ale przenosi nas do lepszego świata, uwalnia nas z więzów ciała a rozpoczyna dla nas życie, które się nigdy nie skończy. Nic nie ginie, cokolwiek wyszło z Bożej ręki. Ciało wraca do ziemi z której powstało; duch idzie do Boga, którego jest częstką. Patrzmy dzieci kochane na śmierć bez odrazy, na uciekające życie bez żalu. Starajmy się tylko, żeby żadna jego chwila straconą nie była, bo z każdej przyjdzie zdać kiedyś rachunek; starajmy się, żeby życie nasze nie przeszło bez śladu, bez korzyści dla drugich, bez chwały Boga, którą człowiek winien ogłaszać czynem i miłością. Przechodzą wieki, znikają pokolenia, ale świat Boży istnieje zawsze, równie piękny i młody; gaśnie życie w jednostkach, ludzkość jednak płonie niezmiennym światłem, jak cudowna lampa przed tronem wielkiego Boga!

Dzieci słuchały w milczeniu słów Władysława, może nie pojęły dokładnie ich znaczenia, może nie jeden wyraz pozostał w ich duszy, jak ziarno rzucone w nieuprawną jeszcze ziemię, które w danej chwili wschodzi dopiero zielono i pożądanę wydaje plony. Nie troszcząc się jednak rzucaliśmy zasiew ohocho, a pełni wiary i nadziei, powieraliśmy przyszłość Bogu.

Dokończenie w tomie IV-tym „Rozrywek.”

SIOSTRA ROZALJA. X

Była to jedna z tych siostr, których skronie
Święta pokora do ziemi uniża,
Z krzyżem na piersiach, a w gorącym łonie,
Z pełną miłością i ofiarą krzyża,
I przy odblasku jaśniejszego słońca,
Jakiś widnokrąg odkryłem daleki,
A na nim miłość co przetrwa na wieki,
I całą ludzkość ogarnie bez końca.
Co się ofiarą jak bluszczem oplata,
I rodzonego kocha w bliźnim brata.

Henryk Cieszkowski.

Dnia 9-go lutego 1856 roku z wież kościołów paryzkich brzmiały żałobne dzwony. Na ulicach widać było zasepione twarze, słycać było płacz i narzekanie ludu. Nagle rozstały się tłumy przechodzących i długi orszak duchowieństwa ze srebrnym krzyżem na czele ciągnął wąską, uboczną uliczką i zatrzymał się u bramy niepozornej kamieniczki, w której stała trumna ozdobiona krzyżem legji honorowej. Oficerowie wyższego stopnia i urzędnicy

magistratu ze czcią otaczali tę trumnę. Niebawem złożono ją na ubogim karawanie i pochód pogrzebowy, składający się z zakonników, duchowieństwa świeckiego, dzieci i siostr miłosierdzia, ruszył w stronę parafjalnego kościoła. W kościele zebrani byli naczelnicy wszystkich władz i cechów, zaczawszy od prefekta policyi, aż do skromnego wyrobnika.

Patrząc na tak uroczysty obrzęd ¹⁾, mniemałby kto, że to pogrzeb znakomitego wodza, po zaszczytach wojskowych, jakie zmarły odbiera. A jednak skromna trumna zamyka zwłoki kobiety, pokornej siostry miłosierdzia, którą od pół wieku szanował cały Paryż, czciła cała Francya, znała Europa, podziwiałały dwa światy, pod chwalebne a słodkim imieniem siostry Rozalji.

Joanna-Marya, córka Antoniego *Rendu*, zamożnego właściciela ziemskiego, urodziła się w małej wiosce w departamencie *Aix*, nie znała prawie ojca. Owdowiała przedwcześnie matka poświęciła się szczerze wychowaniu trzech córek. Powołanie jednej z nich objawiło się za młodu, w chwili, gdy cesarz Napoleon dźwigał z gruzów obalone ołtarze, wstąpiła do kongregacyi świętego Wincentego à Paulo, przyjęła imię Rozalji i zamieszkała w ubogim domu siostr miłosierdzia, którego wkrótce została przełożoną.

Bóg powierzył jej opiece najuboższą część Paryża, przedmieście Saint-Marceau, główną ostoję żebractwa i nędzy. Tam siostra Rozalja znalazła obszerne pole działa-

¹⁾ W Paryżu pogrzeby odbywają się nadzwyczaj skromnie. Francuzi zachowują tylko wyjątek względem ludzi prawdziwie zasłużonych krajowi.

nia. To też stała się wkrótce aniołem-stróżem i prawdziwą matką nieszczęśliwych.

Bogaci i ubodzy, źli i dobrzy, winni i niewinni, występni i cnotliwi, nieszczęśliwi z własnej winy, czy z woli Opatrzności, słowem wszyscy, brali od niej wsparcie i pomoc, jałmużnę chleba, albo jałmużnę ducha. W każdym cierpiącym widziała bez różnicy własne dziecię, każdy też czerpał pociechę z nieprzebranego źródła jej miłosierdzia.

Wzięła sobie za zasadę, przebaczyć naprzód złe, aby je tym lepiej wykorzenieć z serca bliźniego. Miłość jej ogarniała najczarniejsze nawet dusze, jak promień słońca najciemniejsze rozjaśnia zakąty. Wolną była zupełnie od owej pychy, która częstokroć chodzi w parze z zasługą, a która jam mówi ksiądz Lacordaire, zgubiłaby Boga samego, gdyby Bóg mógł być zgubionym.

Siostra Rozalja była pośredniczką pomiędzy ubogim a bogaczem, szczepiła wzajemną miłość pomiędzy ludźmi, których los postawił na dwóch przeciwnych biegunach społeczeństwa. Darami bogacza ocierała łzy nieszczęśliwego.

Raz zamożny bankier rzekł do niej:

— Gdy będziesz potrzebować pomocy, pamiętaj o mnie siostrzo.

Wkrótce potem, biedny wyrobnik zalił się przed nią, że stracił konia, którym zarabiał na chleb rodzinie. Siostra Rozalja kazała mu przyjść nazajutrz, sama zaś po krótkim namyśle pobiegła do znanego bankiera.

— Potrzebuję konia — rzekła nieśmiało.

— Wybierz sobie siostrzo z mojej stajni jakiego tylko zechcesz — odrzekł bankier, pamiętny obietnicy.

— Mnie nie potrzeba konia do parady — przerwała Rozalja — ale skromnego konika, coby ciągnął dobrze, a miał zdrowe nogi.

— To go kup sobie na targu, a ja go zapłacę.

W pół godziny potem siostra dobiła targu o konia i kazała go odprowadzić biednemu wyrobnikowi, który łzami wdzięczności i modlitwą płacił dobroczynność bogacza i miłosierdzie świątobliwej niewiasty.

Nieprzeliczone były czyny zacnej siostry. Cała Francya na jej ręce przesłała dary na wsparcie ubogich szkółek, ochron, słowem wszystkich przytułków ludzkiej nędzy.

Niedość, że chlebem karmiła zgłodniałych nędzarzy, nieraz miłosierna siostra pożyczyla okrągłą sumkę zadłużonemu uczniowi uniwersytetu, uwikłanemu w jaką niegodną sprawę, nie raz wrywała z przepaści marnotrawnego młodziana, nie raz uwolniła od bankructwa kupca bliskiego zguby, nie raz przywracała dobry byt i spokój uczciwej a biednej rodzinie. Ktokolwiek ujrzał się przyciśnięty nagłem nieszczęściem bez ratunku, powtarzał te słowa, które w końcu stały się przysłowiem:

„Dwie tylko pozostały mi drogi: utopić się w Sekwanie, lub też uciec się pod opiekę siostry Rozalji.“

Razu jednego piękna i młoda kobieta odmówiła jej znacznej jałmużny.

— Żałuj pani — rzekła z uśmiechem siostra Rozalja — że do korony twojej w niebie nie chcesz dodać najpiękniejszej perły.

Obdarzona z natury umysłem wyższym, działalnym i przedsiębiorczym, niemniej niepospolitym darem wymowy, urządziła systematycznie i na wielką skalę miłosierne zakłady; miała swoich urzędników, ministrów, amba-

sadorów i podrzędnych wykonawców we wszystkich warstwach społeczeństwa. Pisywała codziennie po sto listów, przyjmowała nieprzeliczone odwiedziny. Oceniała przede wszystkim jałmużnę, która pochodziła z głębi serca dających, wierzyła bowiem, że taka tylko przyniesie prawdziwe owoce. Nakłaniając bogaczy do ofiary, usiłowała rozbudzić miłość w ich sercu, ubogich zaś skłaniała do uczucia wdzięczności. Celem jej starań i zabiegów była nadewszystko chwała Boża.

Jej ubogi dom ozdobiony krzyżem drewnianym, równie był znany jak wspaniały pałac monarchy. Nigdy królowa nie żyła liczniejszym otoczona dworem, niż owa siostra uboga i cicha. Podwórko jej pełne było zawsze bogatych karet i pojazdów, w pośród nich krążyli żebracy i kaleki, tam łachmany gałganiarza dotykały kardynalskiej purpury, tam biedna matka z dzieckiem u piersi, spotykała wielką panią i otrzymywała złoto z jej delikatnej ręki.

Szlachetna postać siostry Rozalji nosiła piętno świętobliwego jej posłannictwa. Jej spojrzenie pociągało magnetyczną siłą, głos czysty i dźwięczny wnikał głęboko do serca, rysy drobne, miały wyraz dziwnie sympatyczny i nakazujący poszanowanie.

Ta kobieta, rzec można śmiało, stanowiła najwyższą potęgę moralną współczesnej epoki. Święte hasło tej pokornej służebnicy Chrystusa, budziło do działania najwyższej postawione osoby. Dowodem tego księżna d'Angoulême, królowa Anielja, generał Cavaignac, cesarz Napoleon III-ci, cesarzowa Eugenia, słowem, wszyscy wielcy świata, którzy na jej ręce mnogie składali dary i zupełne pokładali w niej zaufanie. Siostra Rozalja nadała niemniej wielki popęd rozwijającemu się stowarzysze-

niu Świętego Wincentego à Paulo, tej pięknej instytucyi, z której po świecie najbujniejsze rozkrzewiły się już plony.

W okropnych wypadkach i przesileniach, jakie trażyły Francję przez ostatnie pół wieku, podczas głodu 1813 i 1847 roku, w czasie cholery roku 1832 i 1849, wpośród wojen i zawichrzeń domowych, odwaga tej dzielnej niewiasty wzrastała potężnie, a poświęcenie jej mnożyło się jak chleb cudowny w Ewangelji.

— Zaraza—mówiła ona—to płomień z nieba, który rozżarza ducha ofiary w sercach siostr miłosierdzia.

Podeczas okrutnej rzezi za dni czerwcowych 1850 roku, gdy przebiegała ulice paryzkie, wśród wzburzonego tłumu, żołnierze widząc ją przerywali zaciętą walkę, składali broń do nogi i wołali z zapałem. „Oto matka ubogich, dajcie jej przejść spokojnie.“

Siostra Rozalja odrzekła na to rozrzewniona:

— Złóście broń francuzi! zaniechajcie bratobójczej walki.

— Ależ siostro — wołały przerażone głosy — narażasz się na śmierć niechybną.

— Mało dbam o życie — odpowiedziała z boleścią -- kiedy dzieci moje ukochane mordują się nawzajem. Małoż mam i tak sierot do żywienia! chciecież koniecznie pomnożyć ich liczbę.

Powstańcy wymierzili broń na gwardzistę stojącego na straży; siostra Rozalja przybiegła mu w pomoc.

— Nie róbcie tego w moich oczach, zaklinam was na wszystko! — zawołała.

— Dobrze siostro—odrzekli — usuniemy się o kilka kroków.

— A więc zabijcie mnie z nim razem!

To mówiąc, zasłoniła sobą nieszczęśliwego, rozbroiła zacieklej i wydarła im ofiarę.

Ścigano oficera ze straży municypalnej, odważna siostra Rozalja, stanęła między nim a tłumem.

— Siostrzo—zawołał lud—czyliż się nie boisz śmierci?

— Boję się tylko Boga — odparła spokojnie. Tem jednym słowem uchroniła od śmierci oficera.

Za tyle poświęceń i szlachetnych czynów dnia 27-go stycznia 1852 roku, p. Persigny przyniósł siostrze Rozalji krzyż legji honorowej, a marszałek Saint-Arnaud przypiął go własną ręką do jej piersi.

Wkrótce potem cesarz Napoleon III-ci i cesarzowa Eugenia odwiedzili sami matkę ubogich, w skromnym i ubogim jej domu. Lud z przedmieścia w łachmanach przyglądał się orszakowi monarchy, ale strażę broniły mu przystępu. Dobra matka wstawiła się za dziećmi swemi, na jej proźby cesarz rozkazał odstąpić strażę. Lud przybiegł z okrzykami radości i dwie potęgi stanęły w obec siebie: Napoleon otoczony świetnym gronem generałów i ministrów i siostra Rozalja okrążona tłumem ubogich, kalek, starców, niewiast i osieroconej dziatwy.

I na ten widok, odważna siostra, która bez trwogi wystawiała pierś na karabinowe pociski, zapłakała rzewnie; zapłakał cesarz z cesarzową, płakała straż monarchy, płakał lud ubogi, płakały biedne sieroty. Tylko święci aniołowie uśmiechnęli się w niebie, patrząc na tryumf chrześcijańskiego miłosierdzia.

Na krótki czas przed śmiercią siostra Rozalja zaniewidziała.

„O mój Boże! — mówiła wtedy— kto po mnie dziećmi memi opiekować się będzie, nie opuszczajcie ich, zaklinam was na Boga!“

Matka jej umarła 4-go lutego 1856 roku w ośmdziesięciu ośmiu latach życia; siostra Rozalja poszła za nią w trzy dni, skończywszy lat 69. Cały Paryż odwiedzał jej zwłoki wystawione na powszechny widok. Pogrzeb jej odbył się z wielką uroczystością. Lud mówił między sobą, że trumna świętobliwej siostry miłosierdzia przesuwać się ulicą wśród ubogich domów, u każdych drzwi zostawiała cząstkę błogosławieństwa Bożego.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



T R E Ś Ć

Tomu III-go.

Życiorysy.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa	178.
Jan Kochanowski	1.
Karolina Skibińska	229.
Siostra Rozalja	308.

Wspomnienia i opowiadania historyczne.

Helena Krępińska i Benedykta z rodu Pilawitów, wspomnienie z roku 1260—1287	24.
---	-----

Powieści i opowiadania.

Pamiętnik rodzinny (ciąg dalszy).	254.
---	------

P o e z y e.

Obrazy przeszłości. Kacper Miaskowski, poeta z epoki Zygmun- tów	30.
Prządka	225.
Siejba.	21.

Zarysy literatury zagranicznej.

Bremer Fryderyka. Życie domowe w Ameryce (ciąg dalszy).	51.
---	-----





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

115996

Biblioteka WSP Kielce



0154058